

7ALBERT WOJT

PRZYSTANEK PRZY

GWIAZDZISTEJ
**WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ**

Projekt okładki JOANNA
CZERWIŃSKA MICHAŁ
BERNACIAK
Redaktor
WANDA WŁOSZCZAK
Redaktor techniczny ANNA I.
ŁASZUK
Korektor
MIECZYSLAW
CHRZANOWSKI
Copyright by Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1980
ISBN 33-11-06612-4

1

Cicho skrzypnęły drzwi i w progu pokoju oficera dyżurnego pojawił się porucznik Mazurek. Nie czekając na zaproszenie wszedł do środka i sięgnąwszy po papierosa, usiadł naprzeciwko tkwiącego za szerokim biurkiem kapitana Zawilskiego.

— Co słyhać? — zagadnął, tłumiąc dyskretnie ziewanie — Na razie chyba spokój?

— Spokój — potwierdził Zawilski — Od dwóch godzin nie było żadnej interwencji. Dobrze, że wpadłeś — dodał, — bo można umrzeć z nudów.

— Widać marcowe roztopy nie sprzyjają wyczynom złodziei i chuliganów.

— Choć jedna dobra strona tej okropnej pluchy — roześmiał się kapitan. — A swoją drogą współczuję chłopakom z prewencji, że przez całą noc muszą tłuc się radiowozami po Żoliborzu!

— Miejmy nadzieję, że do rana nic nie wyskoczy

— Nie mów hop! — Zawilski rozejrzał się za niepolakierowanym kawałkiem biurka. — Jeszcze nie ma północy...

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów nagle rozległ się hałaśliwy brzęk telefonu. Oficerowie spojrzeli ponuro po sobie. O tej porze mogli się spodziewać tylko prośby o interwencję.

— Wykrakałeś, Boluś — westchnął Mazurek. Kapitan wahał się przez moment, czy sięgnąć po słuchawkę, czy włączyć głośnik. W końcu wybrał to drugie rozwiązanie i przysunął mikrofon.

2

— Oficer dyżurny KDMO rzucił z wyraźną niechęcią. — Słucham.

— Chciałem zawiadomić o przestępstwie — ostro zachrobotał w głośniku głos młodego mężczyzny. — Nie jestem pewien, czy dobrze dzwonię, ale..

— Włamanie? — domyślnie zapytał Zawilski.

— Coś znacznie poważniejszego

— Rozbój?

— Chyba jednak nie jest to sprawa na telefon — zawahał się rozmówca Zwłaszcza, że ja zostałem w nią wplątany..

— Proszę podać nazwisko i adres. Jeśli trzeba, przyślemy kogoś do pana.

— Może lepiej sam się zgłoszę?

— Ale, o co właściwie chodzi?

— Będę najdalej za kwadrans..

Kapitan chciał jeszcze o coś zapytać, ale rozległ się trzask odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane.

— Ki diabeł? — Z zakłopotaniem pokręcił głową. — Rozumiesz Michał co z tego?

— Pewno jakiś kawał — zbagatelizował sprawę porucznik.

— A jeśli nie?
— To prędzej czy później facet przyjdzie do komendy.
— Może masz rację — uspokoił się Zawilski. — Nie pozostaje nam nic innego, jak cierpliwie czekać...
— Póki co, poczęstowałbyś mnie herbatą — Mazurek uśmiechnął się przymilnie. — Zapomniałem, że moja wczoraj się skończyła — Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

Kapitan bez słowa sięgnął do jednej z szuflad. Przez dłuższą chwilę przewracał w niej zapamiętałe. Wreszcie wyciągnął niewielką czarną puszkę. Rozglądał się właśnie za grzałką i szklankami, kiedy znowu zadzwonił telefon. Tym razem jakiś spóźniony przechodzień informował o włamaniu do sklepu jubilerskiego. Zawilski bezradnym gestem rozłożył ręce, a Mazurek nie bez żalu pomyślał, że nieprędko wypije obiecaną herbatę. Nie czekając nawet na dyspozycję kapitana porucznik spiesznie podniósł się z krzesła i parę minut później pędził już radiowozem na miejsce przestępstwa..

Prowadzony wprawna, ręka sierżanta Kulikowskiego popielaty fiat 125p któryś już raz z rzędu przemierzał wyludnione żoliborskie ulice, bryzgane spod kół fontannami rzadkiego błota. Zarówno kierowca, jak i towarzyszący mu kapral Sędzisz mieli serdecznie dosyć dzisiejszej służby, zwłaszcza, że jazda po śliskim, pokrytym topniejącym śniegiem asfalcie nie należała do przyjemności, a na domiar złego prawie przez całą noc padało.

Zbliżali się właśnie do skrzyżowania Gwiazdzistej z Podleśną, kiedy z końcowego przystanku ruszył autobus linii sto osiemnaście. Sędzisz odruchowo zerknął na zegarek.

— Piąta — poinformował sennym głosem Kuligowski. — Mimo niedzieli MZK punktualnie zaczyna swoją działalność.

Sierżant w odpowiedzi mruknął tylko coś niezrozumiale pod nosem i skręcił w Podleśną. Chwilę później po prawej stronie zaczerniał skraj Łasku Bielańskiego. Biegącym wzdłuż niego chodnikiem szedł zataczając się jakiś niewysoki, ubrany w wybloną jesionkę mężczyzna. Najwyraźniej musiał mu i poważne pretensje do otaczającego go świata, bo raz no raz wygrażał gniewnie pięściami drzewom, latarniom, a nawet budowanym po drugiej stronie ulicy nowoczesnym wieżowcom.

— Pijany jak bela — zauważył kapral z nic smakiem. — Chyba przydałoby się odstawić go do izby wytrzeźwień...

— Widać trzy lata więzienia niczego faceta nie nauczyły — westchnął Kuligowski. — Znowu będzie przepijał każdą złotówkę...

— Znasz ptaszka? — zdziwił się Sędzisz.

— Owszem — przytaknął sierżant. — To Maciek Siwucha. Kiedyś nie było zamka, którego by nie otworzył.

Radiowóz ostro przyhamował i funkcjonariusze w kilku susach znaleźli się przy mężczyźnie. W pierwszym momencie milicyjne mundury nie zrobiły na pijanym większego wrażenia. Siwucha machnął tylko niecierpliwie ręką i zmełszy w ustach Jakieś przekleństwo chciał odejść w swoją stronę. Dopiero groźne chrząknięcie Sędziszki uprzytomniło mężczyznę, z kim ma do czynienia, bo przepaszającym gestem uderzył się w piersi.

— Ko
chana władzunia wybaczy! — bąknął niepewnie. —
Przechyliłem kielonek i odrobinę mi zaszkodziło -

— Spiliście się na umór — sprostował
Kuligowski, wskazując znacząco na zabłoconą
jesionkę mężczyzny. — To wstyd, żeby w waszym
wieku leżeć pod drzewem albo w rynsztoku

— Co też pan, panie władzo! — zaprzeczył sta-
nowczo Siwucha. — Ja tylko się pośliznąłem...

Sierżant z politowaniem pokiwał głową i miał
właśnie zamiar kończyć niepotrzebną dyskusję, kiedy
zauważył, że kapral przygląda się czemuś intensywnie.
Pobliska latarnia nie dawała zbyt wiele światła, ale
bezlistne drzewa i krzaki nie zasłaniały całkiem
widoku, tak, że kilka metrów od skraju Łaska
Biełańskiego można było dostrzec jakiś leżący na
ziemi ciemny kształt. Skojarzenie wydało się
Kuligowskiemu tak oczywiste, że poczuł na plecach
nieprzyjemny dreszcz.

— Poczekaj tu na mnie! — rzucił Sędziszowi
ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem — Zaraz
wracam!

Zapalił zabraną z radiowozu latarkę i ostrożnie

zagłębił się w lasku. Już po kilku krokach zachlupotało mu w butach, ale sierżant nie zwracał uwagi na błoto. Parę metrów przed nim błysnęły w świetle latarki, jasne włosy i młoda twarz leżącego. Chłopak mógł mieć najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat, a modna, zamszowa marynarka i sztruksowe spodnie, w które był ubrany, świadczyły, że musiał pochodzić z dość zamożnej rodziny. Milicjant przyklęknął tuż obok, chwytając *go* za przegub, zgodnie jednak ze swymi przewidywaniami nie wyczuł pulsu. Przyjrzał się dokładnie leżącemu i po krótkim wahaniu sprawdził zawartość jego kieszeni. Portfela nie znalazł, ale za to spostrzegł na marynarce chłopaka niewielką, rdzawą plamę. Teraz było już wszystko jasne...

Kuligowski biegiem wrócił do wozu i bez zastanowienia włączył radiotelefon.

— W Lasku Bielańskim przy Podleśnej znalazłem zwłoki mężczyzny! — zameldował, kiedy zgłosił się oficer dyżurny. — Na mój gust śmierć musiała nastąpić całkiem niedawno.

— Samobójca? — Informacja najwyraźniej nie zrobiła na Zawilskim większego wrażenia.

— Samemu raczej trudno wpakować nóż we własne plecy — sierżant nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi. — W dodatku ktoś dokładnie wypróżnił denatowi kieszenie — dodał poważnie.

— Zaraz wysyłam Mazurka z ekipą! — głos oficera dyżurnego zabrzmiał znacznie ostrzej i bardziej zdecydowanie. — A ty na razie pilnuj, żeby *a* tam nikt bez potrzeby nie kręcił!

— Jeszcze jedno — przypomniał sobie Kuligów-

— — Przed chwilą zatrzymałem na Podleśnej pijanego Macieja Siwuchę...

— Nie zavrcaj mi teraz głowy pijakami! — uciął Zawilski z wyraźnym zniecierpliwieniem. — Myślisz, że nie mam większych zmartwień?

Sierżant popatrzył niechętnie na stojącego kilka kroków od radiowozu mężczyznę. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, żeby tamten miał coś wspólnego z ujawnionym przed chwilą zabójstwem, ale jednak...

— Właziliście w te krzaki? — zapytał Siwuchę, siląc się na obojętność. — Widzieliście, kto tam leży?

— Że niby ktoś miałby kimać pod drzewkiem? — zatrzymany parsknął głupkowskim śmiechem. — Pan władza kogoś tam znalazł?

— Lepiej sobie nie żartujcie! — Kuligowski gniewnie podniósł głos. — Dobrze chyba wiecie, że zabito człowieka!

— Jezus, Maria! — Siwucha zamrugał gwałtownie powiekami, zrozumiałwszy widać nareszcie, *co* się stało. — Ktoś odstawił mokrą robotę?!

— A wy przypadkiem nie przyłożyliście do tego ręki.

— Boże uchowaj! — Zatrzymany w jednej chwili wytrzeźwiał. — Ja bym nawet muchy nie skrzywdził, a co dopiero człowieka...

— Więc jak to było? Wchodziliście do lasu?

— Moja noga tam nie postąpiła! — Mężczyzna żarliwie uderzył się w piersi. — Nawet nie wiedziałem, czego pan władza szuka w tych krzakach!

— Wobec tego, Skąd wracacie?

— Popiłem trochę z przyjaciółmi.

— Gdzie to było?

— U Mietka.

— Jakiego Mietka?

— Takiego blondyna z kocią bródką...

— Kpicie sobie czy co? — Sierżant z trudem powstrzymał się, by nie huknąć na zatrzymanego. — Jego nazwisko i adres!

— Bóg mi świadkiem, że nie pamiętam, jak on się nazywa — jęknął Siwucha płacząco. — Zawsze

wszyscy mówili „Mietek z Marymontu” i każdy siedział, o kogo chodzi...

— Zatrzymamy was do wyjaśnienia, to i pamięć wam wróci!

— Kiedy ja mogę pokazać, gdzie facet mieszka! To dwa kroki stąd, na Sobockiej...

Kuligowski machnął lekceważąco ręką i odwrócił wzrok od mężczyzny. Podleśną nadjeżdżała właśnie szara, milicyjna nysa. Chwilę później wyspało się z niej kilku funkcjonariuszy. Jako pierwszy ruszył w kierunku zwłok porucznik Małarek.

Oficer szybko przeszukał ubranie denata, ale nie znalazł niczego poza grzebieniem, chustką do nosa i zużytym biletem ulgowym. Zawiedziony >odsunął się nieco, żeby zrobić miejsce technikowi, kiedy nagle jego wzrok padł na pozostawione przez siebie wyraźne ślady. Niemal identyczne widniały po drugiej stronie zwłok.

— Mam nadzieję, że to nie twoje? — Spojrzał badawczo na towarzyszącego mu Kuligowskiego.

— Nie żartuj! — zachnął się sierżant z widoczną urazą. — Przecież spece od kryminalistyki ciągle powtarzają na szkoleniach, żeby nie zacierać śladów na miejscu przestępstwa...

— W porządku! — Porucznik pojednawczo poklepał kolegę po ramieniu. — Zaraz zrobimy odlewy.

Chciał właśnie wydać stosowną dyspozycję, kiedy od strony ulicy dobiegło go wesołe poszczekiwanie. Przypomniał sobie, że Zawilski obiecał przysłać psa z przewodnikiem, i natychmiast zmienił decyzję.

— Dajcie no tu kundla — huknął na całe gardło — Odlewy mogą poczekać.

Prowadzony przez długonogiego kaprała rosły owczarek bez pospiechu zbliżył się do wskazanego mu śladu. Przez dłuższą chwilę wahał uważnie, wreszcie sapnął na znak, że jest gotów, i ruszył niezbyt szybkim truchtem poprzez zarośla. Przewodnik owinął sobie

wokół dłoni koniec linki, przypiętej zamiast smyczy do
psiej obroży, i puścił się za swoim pupilem. W ślady
kaprała poszli natychmiast Mazurek i Kuligowski

Owczarek zatoczył niewielki łuk i wybiegł na Podleśną. Dalej poprowadził milicjantów aż do skrzyżowania z Gwiaździstą, gdzie przystanął na moment, widać jednak bez większego trudu odnalazł właściwy trop, bo pewnie skręcił w lewo. Przebyli kolejnych kilkadziesiąt metrów i pies znowu zatrzymał się, tym razem pod słupkiem przystanku autobusowego. Przewodnik cmoknął zachęcająco na swego pupila, ale ten popatrzył tylko bezradnie na kaprała.

— Diabli nadali! — zaklął ze złością porucznik. — Wsiadł do autobusu i szukaj wiatru w polu!

— I pomyśleć, że ja widziałem ten autobus — westchnął melancholijnie sierżant. — Gdybym mógł przewidzieć...

— Co ty mówisz?! — Mazurek aż podskoczył. I w ogóle skąd wiesz, który autobus wchodzi w grę?

— Była dokładnie piąta, kiedy przejeżdżaliśmy z Sędziszem Gwiaździstą — wyjaśnił spokojnie Kuligowski. — Z pętli ruszało właśnie sto osiemnaście...

— To jeszcze o niczym nie świadczy.

— Ale w niedzielę nie odjeżdża wcześniej z Gwiaździstej żaden autobus, a zanim pojawił się lam następny, ja już znalazłem zwłoki

— Innymi słowy kierowca musiał widzieć zabójcę?

— Niewykluczone, że go nawet zapamiętał. W końcu o piątej nie ma zbyt wielu pasażerów.

Oficer rozejrzał się bacznie dokoła. Po przeciwnej stronie Gwiaździstej stały dwa nowe ikarusy. Jeden z nich miał tabliczkę z numerem linii to osiemnaście. Kierowca szykował się właśnie o odjazdu i porucznik chcąc zdążyć zamienić z im kilka słów musiał podbiec do wozu

— Czyżby znowu jakaś kontrola? — Drobny, niespełna dwudziestokilkuletni blondyn zmierzył

milicjanta nieufnym spojrzeniem, odruchowo sięgając po dokumenty. — Przecież nie dalej jak tydzień temu połowa chłopaków z naszej bazy oberwała mandaty za światła, hamulce i luzy w kierownicach...

— Ja nie jestem z „drogówki” — odparł uspokajająco Mazurek. — Zresztą zawsze żyłem w zgodzie z MZK:

— Więc o co chodzi?

— Chciałem pogadać z kierowcą, który miał dzisiaj pierwszy kurs na tej linii.

— Powinien być tutaj za jakieś pół godziny. —

Blondyn odetchnął z wyraźną ulgą. — Niech pan pyta o Adama Przeciniakiewicza...

Oficer odesłał przewodnika z psem i już tylko we dwóch z Kuligowskim zostali na pętli. Na szczęście oczekiwany autobus przyjechał w miarę punktualnie. Prowadzący go niemłody mężczyzna o o mocno posiwiałych skroniach w przeciwieństwie do kierowcy, z którym uprzednio rozmawiał porucznik, nie spieszył się wcale, na widok funkcjonariuszy. Uprzejmym gestem zaprosił ich do wozu

1 i bez ceregieli poczęstował się papierosem.

— Interesują mnie osoby, które wiozł pan dzisiaj pierwszym kursem — Mazurek postanowił od razu przystąpić do rzeczy. — O piątej nie było chyba zbyt wielu pasażerów, mam więc nadzieję, że przynajmniej niektórych pan zapamiętał...

— Prawdę mówiąc, to ja nie zwracam uwagi, kto wsiada na przystankach — kierowca z widocznym zakłopotaniem potarł czoło. — W końcu wozu się różnych ludzi...

— Ale na pętli stał pan dłużej — nie ustępował oficer. — Nic się panu nie rzuciło w oczy?

— Odjeżdżałem prawie pustym wozem — wzruszył ramionami Przeciniakiewicz., — Miałem wszystkiego cztery osoby.

— Kto to był?

— Jakaś starsza, ubrana trochę z wiejska kobieta, taki brodaty facet ze sporą łysiną i dwóch młodych chłopaków.

— Potrafi pan opisać tych młodych?

— Widzi pan, oni przylecieli w ostatniej chwili i usiedli na samym końcu. — Kierowca bezradnie rozłożył ręce. — Wyglądało na to, że gdzieś wyjeżdżają, bo mieli walizkę i dwie torby podróżne, ale nic więcej nie potrafię o nich powiedzieć.

— Zauważył pan, gdzie wysiedli?

— Niestety nie.

— A ten brodaty mężczyzna?

— On był na lepszym rauszu — roześmiał się Przeciniakiewicz. — Jeszcze na pętli zaczepiał tę babkę, a potem uderzył w kimono, że aż szyby się trzęsły od jego chrapania. Pojechał do końca i dopiero w powrotnej drodze wysiadł przy placu Komuny Paryskiej... Ale, ale! — przypomniał sobie nagle. — Jego to musicie panowie znać!

— Niby skąd?

— W zeszłym miesiącu jechał moim autobusem bez biletu. Wsiedli kontrolerzy i facet oczywiście wpadł. Kazali mu zapłacić gapowe, a on zamiast po portfel sięgnął po parasol innego pasażera i dalej okładać kanarków. Zdaje się, że w końcu został zabrany do komendy.

— W takim razie to Zenek Boncar! — wtrącił się milczący do tej pory Kuligowski — Już kilka razy miał kolegium za awantury z kontrolerami.

— Pamiętasz jego adres? — podchwycił natychmiast porucznik.

— Jeszcze dwa miesiące temu mieszkał przy placu Komuny Paryskiej.

— To by nawet pasowało...

Funkcjonariusze spiesznie wrócili na Podleśną i nie zwracając uwagi na stojącego potulnie Siwuchę wsiedli do radiowozu. Chwilę później dołączył do nich Sędzisz. Kuligowski uruchamiał właśnie silnik, kiedy wąsaty chorąży bezceremonialnie otworzył drzwiczki od strony, z której siedział Mazurek.

— Znowu gdzieś jedziesz? — sapnął z nie tajoną pretensją. — Podobno ty miałeś kierować całą akcją, więc dlaczego ja muszę się sam babrać w tym cholernym błocie? — Wskazał znacząco na lasek.

— Szukam mężczyzny, który zostawił ślady swoich butów przy zwłokach — wyjaśnił oficer.

— Przede wszystkim trzeba znaleźć dwóch mężczyzn — sprostował Pozorski. — A poza tym coś mi się zdaje, że chłopak został zabity gdzie indziej i dopiero później przeniesiono ciało w krzaki.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

17

— Zrobiłem już odlewy tych śladów. Na pierwszy rzut oka widać, że jeden z zabójców nosił co najmniej dziesiątkę, drugi coś koło szóstki, buty denata mają numer osiem

2 — Przystanek

— W takim razie będziemy musieli rozejrzeć się za miejscem, w którym pchnięto biedaka nożem.

— Ameryki nie odkryłeś — zachnął się chorąży. — Tylko że z równym skutkiem moglibyśmy szukać igły w stogu siana!

— Z daleka chyba zwłok nie przynieśli...

— Przespaceruję się z chłopakami po Podleśnej i okolicznych uliczkach, szczerze jednak wątpię, czy coś mi wpadnie w oko.

— Życzę powodzenia!

— Powiedziałbyś lepiej, co zrobić z tym pijakiem.

— Pozorski skinął niechętnie w stronę Siwuchy. — Facet sterczy tu już od godziny, a ja nie mam ludzi, żeby go pilnować.

— Sprawdziłeś jego obuwie?

— Nie pasuje do śladów z lasku.

— Więc puść go do domu. Wystarczy, jeśli przesłucham go jutro albo we wtorek.

— Twoja sprawa...

— Aha, jeszcze jedno! — przypomniał sobie porucznik w chwili, kiedy zatrząskiwiał drzwiczki. — Stań na głowie, żeby sekcji nie odkładali do poniedziałku.

— Sekcja w niedzielę? — Chorąży znaczącym gestem popukał się w czoło. — Który lekarz z Zakładu Medycyny Sądowej zechce zrezygnować z wolnego dnia?

— Ja też mógłbym powiedzieć, że za godzinę kończę służbę!

— My to co innego.

— Musisz coś wymyślić... A najlepiej złóż wizytę samej szefowej — poradził Mazurek koledze. — Ona już to załatwi.

Pozorski chciał jeszcze coś powiedzieć, ale oficer dał znak Kuligowskiemu i radiowóz ruszył jak burza. Na ulicach zaczynał się już normalny ruch i nie żałujący gazu sierżant ściągnął na siebie wiele kłatw innych użytkowników dróg, niemniej po kilku minutach funkcjonariusze byli na placu Komuny Paryskiej.

Bez trudu odnaleźli właściwą klatkę schodową i zostawiwszy na wszelki wypadek Sędziszka przy wejściu ruszyli na ostatnie piętro. Nie musieli nawet nasłuchiwać pod drzwiami, bo dobiegające z mieszkania Boncara skoczne dźwięki jakiejś nadawanej

przez radio melodii świadczyły, że gospodarz jest u siebie. Porucznik energicznie zapukał. Chwilę później rozległ się szcęk otwieranej zasuwki i w progu stanął tęgi, brodaty mężczyzna.

— Czego? — burknął arogancko na widok milicyjnych mundurów. — Grzywnę zapłaciłem w terminie, od tamtej awantury z kanarkami nikogo nawet palcem nie tknąłem, więc po kiego grzyba ta wizyta?

— Coście tacy hardzi. Boncar? — Mazurek uśmiechnął się ironicznie. — A może to przyjacielska wizyta.

— Hardzi nie hardzi — mruknął Boncar już łagodniejszym tonem. — Nic nie poradzę, że takim mnie mamusia wychowała...

— Nie jesteście uprzejmym gospodarzem. Chyba będziemy musieli zabrać was do komendy i pokazać, jak się przyjmuje gości...

— Panowie chcecie mnie zabrać? — Mężczyzna wyraźnie się stropił. — Przecież ja nie mam niczego na sumieniu!

— To się jeszcze okaże

— Ale za co?

— W swoim czasie wszystkiego się dowiecie.

— Po co zaraz jechać do komendy? — Boncar spojrzął na oficera prosząco. — Nie moglibyśmy porozmawiać na miejscu?

— Przed chwilą nie byliście tacy gościnni.

— To przez tego cholernego kaca — jęknął gospodarz z wyraźną skruchą. — Pół nocy zaprawiałem z kumplami i jeszcze teraz we łbie mi się kręci.

— U kogo piliście?

— U Mietka Zatwaruchy.

— Gdzie on mieszka?

— Na Marymoncie, na Sobockiej...

— Kto tam jeszcze był?

— Anka Nowacka, Adam Zabawiec i Maciek Siwucha — wyliczył Boncar jednym tchem — Mietek trafił parę groszy za jakąś partaninkę i zaprosił przyjaciół na kielonka — dodał już z własnej inicjatywy.

— Nie zapomnieliście o nikim?

— Co by mi zależało, żeby nie powiedzieć? — energicznie zaprzeczył gospodarz. — W końcu czy to grzech przechylić trochę gorzałki? Piliśmy w piątkę i nikogo więcej u Mietka nie widziałem... Chociaż zaraz! — Nagle zaczął się nad czymś zastanawiać. — Byłbym zełgał jak pies! Koło północy chyba jeszcze ktoś przylazł...

— Kto taki?

— Byłem taki zaćpany, że Bóg mi świadkiem, nie pamiętam. — Boncar bezradnie potrząsnął głową. — A może w ogóle nikt nie przychodził, tylko ktoś wyszedł...

— Zdecydujcie się wreszcie! — rzucił niecierpliwie oficer. — Przecież chyba pamiętacie, z kim rano wychodziliście od Zatwaruchy?

— Ja się odrobinę zdrzemnąłem i nawet nie wiem, o której towarzystwo zwinęło manatki. Gdzieś

po czwartej Mietek mnie obudził i kazał iść do diabła, więc się wyniosłem...

— Poszliście do autobusu?

— Skąd pan władza wie? — zdziwił się gospodarz.

— Fakt, że popyliłem na Gwiazdzistą — przytaknął skwapliwie. — Wsiadłem do stu osiemnastu...

— Pamiętacie, kto z wami jechał?

— Prawie od razu uderzyłem w kimono.

— Ale na początku nie spaliście?

— Pan władza to jak jakiś czarodziej! — Boncar z niekłamanym podziwem pokiwał głową.

— No więc jak było? — nie ustępował porucznik.

— Potraficie opisać tych ludzi?

— Coś mi odbiło, żeby pogadać z jedną kobitą — zamyślił się gospodarz. — Cóż, baba jak baba, nic szczególnego.

— A tamtych dwóch chłopaków pamiętacie? — zaryzykował Mazurek.

— Pewno, że tak! — Twarz Boncara rozjaśniła się w niespodziewanym uśmiechu. — Zygmunt Saniewski to przez parę ładnych lat mieszkał piętro niżej, u swojej ciotki. Chciałem go nawet zapytać, jak żyje, ale udał, że mnie nie poznaje, więc dałem spokój...

— Jechał z jakimś kumplem?

— Tamtego nie znam. Chyba szykowali się w dalszą drogę, bo widziałem, że mieli od cholery bagażu...

Ciotka Zygmunta Kaniowskiego okazała się drobną, przeszło szesćdziesięcioletnią kobietą o włosach mocno już przyprószonej siwizną. Zmierzyła funkcjonariuszy niezbyt przyjaznym spojrzeniem i bez słowa wpuściła ich do przedpokoju.

— My do pani siostrzeńca - Oficer uznał, że lepiej na samym wstępie wyjaśnić cel wizyty. — Słyszeliśmy, że prze; dłuższy czas tutaj mieszkał

— W zeszłym roku się wprowadził — odparła lakonicznie — Od tej pory odwiedził mnie dwa, może trzy razy

— Zna pani jego aktualny adres?

— A właściwie o co chodzi? - spytała nieufnie.
Odwiedziny milicji na ogół nie wróżą niczego dobrego

— Chcielibyśmy go przesłuchać — bąknął wymijająco porucznik. — Był świadkiem pewnego, niezbyt przyjemnego zdarzenia..

— I po świadka przyjechaliście panowie z taką pompą? — roześmiała się z niedowierzaniem.

— Więc jak, poda pani ten adres? — Mazurek wolał nie wdawać się w dyskusję, zwłaszcza że prawdę powiedziawszy kobieta miała sporo racji.

— Rada by dusza do raju! westchnęła nie-szczerze — Nawet gdybym chciała, to i tak bym nie mogła. Po prostu nie wiem, gdzie teraz mieszka mój siostrzeniec.

Może u kogoś z rodziny? bez specjalnej nadziei podpowiedział Kuligowski.

— W Warszawie nie ma nikogo oprócz mnie, a do Mławy chyba nie wyjechał...

W nie najlepszych humorach wyszli na klatkę schodową. Chcieli już wracać do radiowozu, gdy jedno z drzwi uchyliły się nieco i przygarbiona, chyba przeszło osiemdziesięcioletnia staruszka o pomarszczonej twarzy i rzadkich, siwych włosach zaczęła dawać im jakieś tajemnicze znaki.

— Panowie byliście u Wójcickiej? — szepnęła konfidencjonalnie, kiedy podeszli bliżej. — Zawsze mówiłam, że prędzej czy później powinie się jej noga.

— Tym razem mieliśmy sprawę do jej siostrzeńca — sprostował Kuligowski. — Niestety Saniewskiego nie było u ciotki i teraz prawdę powiedziawszy nie wiemy, gdzie go szukać.

— Znaczy, że Wójcicka niczego nie przeskrobała? — Na twarzy staruszki pojawiło się wyraźne rozczarowanie. — A ja już myślałam, że jest sprawiedliwość na tym świecie i że wreszcie ktoś weźmie zgagę do galopu.

— Przyjdzie i na nią pora — niespodziewanie wtrącił się oficer, mrugając porozumiewawczo do sierżanta. — My dobrze wiemy, co to za jedna!

— Naprawdę macie oko na starą rajfurkę?

— Od paru miesięcy...

— I dlatego szukacie Zygmunta?
— Zgadła pani.
— To zupełnie zmienia postać rzeczy! — ucieszyła się staruszka. — Będę musiała panom pomóc — zdecydowała. — Niech mają za swoje...
— Święte słowa!
— Kiedy Zygmunt mieszkał u ciotki, często zapraszał do siebie taką Zośkę Zakrasicką — zaczęła ze złośliwym uśmiechem. — Aż wstyd powiedzieć, co oni tam wyprawiali. Za przeproszeniem obraza boska i tyle!
— Uważa pani, że zastaniemy Saniewskiego u tej dziewczyny?
— Głowę daję, że żyją tam sobie na kocią łapę.
— A zna pani jej adres?
— No pewnie! — odparła z widoczną dumą. — Musicie panowie pojechać na Gdańską. Zaraz zapiszę adres. — Poczłapała do pokoju i po chwili wyniosła niewielką pokrytą starannym pismem kartkę.

Pokryta ciemnoszarym tynkiem kamienica sprawiała dość ponure wrażenie i Sędzisz nie krył swego zadowolenia, kiedy koledzy zaproponowali mu, żeby tak jak poprzednio pozostał na straży przy wejściu. Kuligowski i Mazurek weszli na wysoki parter, gdzie mieszkała Zakrasicka. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwali pod drzwiami. Dochodzący ze środka szmer niezbyt głośniejszej rozmowy upewnił ich, że gospodyni nie jest sama.

Sierżant nacisnął dzwonek. Rozmowa ucichła, a kilka sekund później rozległ się brzęk zakładanego łańcucha i trzask otwieranej zasuwki. Drzwi uchyliły się nieco i przez powstałą szparę wyjrzała rumiana na twarzy, niespełna dwudziestoletnia dziewczyna. Spostrzegłszy funkcjonariuszy cofnęła się odruchowo, usiłując jednocześnie zatrzasać drzwiami ale Kuligowski w porę naparł na nie całym ciałem

— Gliny! — krzyknęła piskliwie. — Chłopaki, chodu.

Z mieszkania dobiegi gwałtowny łoskot, jak gdyby ktoś w pośpiechu zrzucił doniczki z parapetu. Porucznik nie zastanawiał się ani chwili, wziął krótki rozbieg i uderzył ramieniem w drzwi. Rozległ się

trzask wyrywanego z futryny uchwytu łańcucha i obaj funkcjonariusze wpadli z impetem do środka.

Nie przewidująca takiego obrotu rzeczy dziewczyna straciła równowagę. Padając zdążyła jeszcze podstawić nogę sierżantowi i ten pomimo rozpaczliwych wysiłków runął jak długi. Niewiele brakowało, a i Mazurek wylądowałby na koledze, ale na szczęście w ostatniej chwili udało mu się przeskoczyć. Kuligowskiego.

Szamotanina przy wejściu trwała jednak stanowczo zbyt długo, bo w pokoju zastał porucznik jedynie stertę porzucanej garderoby, pozostawiony na samym środku tranzystorowy magnetofon i kilka potłuczonych doniczek pod oknem. Zmeł w ustach przekleństwo i bez zastanowienia skoczył na parapet. Ładując na podwórku dostrzegł kątem oka, że Sędzisz usiłuje obezwładnić niewysokiego, krepiego chłopaka w skórzanej kurtce. Niestety nie mógł przyjść w sukurs koledze, bo drugi uciekinier wybiegł właśnie z podwórka na ulicę.

Moment później rozległ się przenikliwy ryk klaksonu i Mazurek spostrzegł, jak chłopak z determinacją przemyka tuż przed maską jakiegoś rozpędzonego poloneza. Porucznik co sił w nogach ruszył za uciekinierem i sam o mały włos nie wpadł pod autobus. Poczul na plecach nieprzyjemny dreszcz, słysząc tuż za sobą pisk hamulców, ale nawet się nie obejrzał. Dobrze wiedział, że teraz każda sekunda może zadecydować o powodzeniu pościgu.

Chłopak wpadł do parku „Kaskada” i sadząc wielkimi susami pobiegł na przełaj przez zieleńce. Oficer również przyspieszył kroku, jednak dystans dzielący go o. d. uciekającego bynajmniej się nie zmniejszył. Wyglądało już na to, że gonitwa po krzakach potrwa znacznie dłużej, niż życzyłby sobie Mazurek, kiedy nagle na przechodzącej w pobliżu alejce pojawiła się para młodych ludzi. Mężczyzna był w stalowym mundurze lotnika...

— Trzymaj go! — huknął porucznik na całe gardło. — Trzymaj złodzieja!

Chciał jeszcze raz powtórzyć wezwanie, ale żołnierz niczym wyrzucony z katapulty wyprysnął w

kierunku uciekającego i, nim tamten zdołał się zorientować, jednym wprawnym ruchem powalił go na ziemię.

3

— Dowiem się wreszcie, co robiliście dzisiaj nocy?

— Melduję posłusznie, panie władzo, że nie wychodziłem z wyrka od mojej dziewczyny. Łupacz może zaświadczyć...

— Czyżby wam cały czas asystował?

— Kimał na połówce w przedpokoju. Zbudziłby się, gdybym gdzieś wychodził.

— Takie bajeczki możecie opowiadać swojej cioci.

— Nic innego pan władza ode mnie nie usłyszy.

Mazurek z nie tajonym zniecierpliwieniem zmełł w ustach jakieś przekleństwo. Przed niespełna dwoma kwadransami, kiedy rozpoczynał przesłuchanie Saniewskiego, przez myśl mu nawet nie przeszło, by tamten po nieudanej próbie ucieczki mógł się okazać trudnym przeciwnikiem. Tymczasem porucznika spotkał srogi zawód. Wprawdzie wymyślona na poczekaniu przez zatrzymanego historyjka o rzekomym spędzeniu całej nocy w towarzystwie przyjaciółki była bardzo naiwna, ale Saniewski trzymał się jej uparcie, nie reagując ani na groźne miny, ani na podchwytliwe pytania oficera. Co gorsza przesłuchiwany w sąsiednim pokoju Łupacz również nie wykazywał ochoty do zwierzeń...

— Wasze kręfactwa na nic się nie zdadzą! — rzucił ostro Mazurek. — Widziano was z Łupaczem, jak o piątej rano wsiadaliście do autobusu na przystanku przy Gwiazdzistej.

— Ktoś chce nas zrobić albo mu się pokręciło.

— Czyżby?

— Chyba ja wiem najlepiej, gdzie byłem dzisiaj o piątej. Ile razy mam panu powtarzać, że nie ruszałem się od Zośki?

— Znalazłem dwóch świadków, którzy twierdzą coś przeciwnego.

22

— To jeszcze niczego nie przesądza...

Mazurek sapnął ze złością i chciał już zrezygnować z dalszego przesłuchania, kiedy przypomniał sobie ślady w Lasku Bielańskim.

— Skoro nie wychodziliście od Zakrasickiej, to kto u pioruna włożył się w waszych butach po Żoliborzu dzisiaj nocy? — zaryzykował blef. — Tylko nie mówcie, że wszystkiemu winne są krasnoludki — dodał kpiąco — bo to kawał z cholernie długą brodą...

Słowa porucznika musiały zrobić wrażenie na zatrzymanym bo Saniewski nagle pobladł i zaczął nerwowo wyłamywać sobie palce. Przez dłuższą chwilę mierzył oficera wrogim spojrzeniem, ale w końcu machnął ręką z widoczną rezygnacją.

— Wygrał pan — westchnął ponuro. — Nigdy nie przypuszczałem, że milicja będzie gmerać w błocie koło tamtych bloków...

— Rozumiem, że się przyznajecie?

— Diabli mnie podkusili, żeby posłuchać Łupacza. To on nadał ten skok. Mielśmy trafić fanty za pół miliona, a w rezultacie nie wiem, czy to, co zabraliśmy, jest warte dziesięć patyków. Nie oplaca się skórka za wyprawkę!

— Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyśleliście.

— Rysiek przysięgał, że Lekarka śpi na pieniądzech. Skąd mogłem wiedzieć, że u niej taka bryndza? Dostaliśmy cynk, że mieszkanie będzie czyste, bo babka ma nocny dyżur w szpitalu, i poszliśmy...

— O czym wy mówicie — zniercierpliwił się Mazurek. — Znowu zaczynacie kręcić?

— Jak Boga kocham, wzięliśmy od lekarki tylko trochę ciuchów i stary magnetofon — Przesłuchiwany szerokim gestem uderzył się w piersi. — Fanty są w chałupie u Zośki, więc sam pan może sprawdzić Porucznik spojrział na Saniewskiego z nieukrywanym rozczarowaniem Miał nadzieję, że tamten powie mu coś na temat ujawnionego niedawno zabójstwa, a tymczasem zatrzymany przyznał się do pospolitego włamania.

— Gdzie mieszka ta kobieta? — zapytał bez specjalnego zainteresowania. 23

— Przy Podleśnej, w tym nowym bloku naprzeciwko Lasku Bielańskiego.
— Na którym piętrze?
— Na trzecim
— Wyłamaliście drzwi, czy używaliście wytrychów
— Kto by się tam bawił wytrychami? — parsknął mimowolnym śmiechem Saniewski — Wleźliśmy po rusztowaniu i po krzyku
— Która mogła być wtedy godzina?
— Gdzieś koło czwartej.
— Na pewno?
— O trzeciej wyszliśmy od Zośki — zaczął metodycznie wyliczać przesłuchiwany — Zanim do człapałiśmy na Podleśną, było już wpół do czwartej. Później musieliśmy jeszcze przyfilować, czy któryś z sąsiadów nie kikuje przez okno...
Skrzypnęły drzwi i do pokoju wpadł zdyszany Pozorski. Jego mina świadczyła wymownie, że nie przynosi najlepszych wieści.
— Szkoda twojego czasu — szepnął Mazurkowi na ucho. — Myślę, że możesz odprawić tego klienta.
— Co się stało? — odburknął porucznik.
— Medycy orzekli, że chłopak rozstał się z życiem koło północy, z półgodziną tolerancją w obie strony — wyjaśnił skwapliwie chorąży. — A swoją drogą sam mogłeś porównać obuwie Saniewskiego i Łupacza ze śladami z lasku... — dorzucił nieco głośniejsze.
- Jezus, Maria! — Zatrzymany aż podskoczył z wrażenia. — Pan władza chciał mnie przypasać do mokrej roboty?!
- Nie wasza sprawa! — uciął ostro Mazurek, piorunując jednocześnie spojrzeniem Pozorskiego. — A za włamanie i tak zarobicie parę lat więzienia — dorzucił chłodno. — Mimo wszystko masz widać, synu, pecha...
Mazurek odprowadził zatrzymanego do aresztu i czując wyraźne zmęczenie chciał właśnie wracać do domu, kiedy na korytarzu zatrzymał go major 24 Kłosiński. Szef zaalarmowany wiadomością o zabójstwie nie zidentyfikowanego mężczyzny pół nie-

dzieli spędził w komendzie i teraz nie tał złego humoru.

— Poszkapieś sprawę! — oświadczył porucznikowi z wyrzutem. — Do czego to podobne, żeby w ciemno uganiać się po mieście za jakimiś typami i ni z gruszki, ni z pietruszki ładować ich do aresztu. Ile razy mam ci powtarzać, że taka partyzantka była dobra dwadzieścia lat temu!

— Saniewski i Łupacz nie siedzą za darmo — oponował Mazurek. — Musisz przyznać, że dzięki mojej partyzantce na koncie wydziału będzie o jedno nie wykryte włamanie mniej...

— Ale przy okazji ja wyszedłem na ignoranta!

— Niby dlaczego?

— Nie udawaj, że się nie domyślasz! — Szeł aż poczerwieniał ze złości. — Zawiadamiając komendanta o tych zwłokach nie omieszkałem się pochwalić, że sprawcy siedzą już pod kluczem. Dopiero kiedy dotarło do mnie, o której nastąpił zgon, poczułem się cholernie głupio. Co za wstyd dla wydziału!

— Każdy się może pomylić...

— Ale ty wiedziałeś przecież, że jeden ze sprawców nosił półbuty jak łodzie, a drugi małe adidasy, dlaczego więc nie sprawdziłeś, co mają na nogach Saniewski i Łupacz? W końcu dla ciebie nie byłaby to wielka fatyga, a ja nie musiałbym wysłuchiwać cierpkich uwag.

— Prędzej czy później i tak zatrzymamy zabójcę — bąknął porucznik pojednawczo. — Po co rozdzierać szaty?

— Co dalej zamierzasz?

— Przede wszystkim porządnie się wyspać — ziewnął ostentacyjnie Mazurek. — Już drugą dobę jestem na nogach.

— A kiedy znudzi ci się leżenie do góry brzuchem?

— Pójdę do wróżki, żeby mi powiedziała, kim jest denat. Bez tego daleko nie zajedziemy...

4

W poniedziałek od samego rana prześladował 25 Mazurka wyjątkowy pech. Najpierw spisujący, się dotychczas bez zarzutu budzik z niewiadomego po-

wodu zadzwonił pół godziny później niż należało. Porucznik zostawiając nietknięte śniadanie wypadł jak bomba z mieszkania, by na następny kwadrans utknąć w windzie pomiędzy piętrami. Dwa kolejne autobusy zjeżdżały właśnie do zajezdni, a trzeci popsuł się pokonawszy niespełna dwieście metrów. W efekcie było już dobrze po dziewiątej, kiedy dotarł do komendy. Miał zamiar przemknąć niepostrzeżenie do swojego pokoju, ale jak na ironię losu na korytarzu wpadł prosto na Kłosińskiego.

— Mogłeś mnie chociaż uprzedzić, że ostatnio lubisz wysypiać się do południa! — z gorzkim wyrzutem powitał major podwładnego. — Chciałem już wysłać samochód z honorową eskortą po jaśnie pana!

— Słowo ci daję, że to nie moja wina — bąknął Mazurek niepewnie. — Tak jakoś wyszło...

— Co ty powiesz? — Szef uśmiechnął się ironicznie. — Ciekawe tylko, dlaczego nawalasz zawsze w najbardziej nieodpowiednich momentach?!

— Wyskoczyło coś nowego z tym zabójstwem?
— Jeszcze nie wiadomo, ale zaraz musisz pojechać na Czarnieckiego. Pozorski już czeka w woźnie...

— Tak jest! — Porucznik służbiście stuknął obcasami. — Chciałbym tylko wiedzieć...

— Z samego rana telefonował do mnie mecenas Śmigielski — z wyraźnym zniecierpliwieniem przerwał mu Kłosiński — Podobno syn profesora Suciewskiego przepadł gdzieś bez wieści.

Mazurek już otwierał usta, żeby coś powiedzieć na temat tego telefonu, w porę jednak ugryzł się w język. Mina szefa nie wróżyła nic dobrego. Stuknął więc jeszcze raz obcasami i bez słowa ruszył w kierunku wyjścia. Po chwili siedział już w radiowozie.

— Kto to jest profesor Suciewski? — zagadnął dobrze już zniecierpliwionego oczekiwaniem Pozorskiego. — Kłosiński jest tak wściekły, że nie miałem odwagi go pytać.

— Słyszałem, że profesor dwa lata temu został szefem Centrum Badawczo-Rozwojowego Automatycznego Sterowania — wyjaśnił skwapliwie chorąży. — A dzisiaj w nocy zniknął jego syn. Adwokat mówił coś szefowi o rzekomo rewelacyjnych spostrzeżeniach gosposi Suciewskiego. Musimy tam pojechać i dowiedzieć się, o co chodzi.

Radiowóz zatrzymał się przed sporą, choć nieco zaniedbaną willą. Funkcjonariusze nie zdążyli jeszcze wysiąść, kiedy na ich spotkanie wybiegła drobna, przeszło sześćdziesięcioletnia kobieta.

33

— Panowie do nas? — zawołała z nadzieją w — Przystanek

głosie. — Pan mecenas Śmigielski obiecywał, że przyjedzie policja...

Funkcjonariusze bez pośpiechu weszli do środka, rozebrali się w ciemnym, zastawionym pękatymi szafami przedpokoju i popatrzyli niezdecydowanie na gospozię. Taroniowa w pierwszym odruchu chciała zaprosić gości do widocznego za oszklonymi drzwiami saloniku, ale po chwili wahania wprowadziła ich do kuchni.

— Pan profesor wraca dzisiaj z Moskwy — oświadczyła w formie usprawiedliwienia podsuwając im krzesła. Pół niedzieli pucowałam całe mieszkanie, żeby wszystko lśniło jak lustro

Długo nie było profesora? zagadnął Mazurek, podziwiając w duchu pedantyczny wprost porządek panujący w kuchni.

Równo tydzień. Wyjechał w zeszły poniedziałek...

To młody pan Suciewski mógł skorzystać ze swobody?

— Co też pan! Taroniowa aż poczerwieniała z niekłamanego oburzenia. - Mało kto ma tak dobrze poukładane w głowie jak pan Jureczek! Nawet świętej pamięci pan Dominik Suciewski nie powstydziliby się wnuka, chociaż od ósmego roku życia niebożatko bez matki przyszło nam chować...

— Dlaczego zaalarmowała pani mecenasa Śmigielskiego? Porucznik uznał, że lepiej zmienić drażliwy temat. Co panią tak zaniepokoiło?

W sobotę po południu pojechałam do Pruszkowa do mojej bratanicy — zaczęła z powagą. — Pan Jureczek jeszcze mi przypominał, żebym wróciła w niedzielę, bo na obiad miała przyjść panienska Witwicka...

- Kto taki?

— Narzeczona pana Jureczka.

I w niedzielę nie zastała pani młodego Suciewskiego? — domyślił się oficer

— Już przed domem miałam niedobre przeczucie. Pan Jureczek czy jest u siebie, czy też wyjeżdża gdzieś samochodem, zawsze zakłada łańcuch na bramie i z ulicy wchodzi się przez furtkę.

— Tym razem łańcucha nie było?

- Znalazłam go razem z kłódką koło garażu.
- Może się spieszył i po prostu zapomniał?
- Nigdy w to nie uwierzę! — zaprzeczyła stanowczo, — Od czterdziestu czterech lat służę w tym domu i nigdy żaden z Suciewskich nie zapomniał zamknąć bramy!
- Czy zauważyła pani jeszcze coś niezwykłego?
- Pan Jureczek założył płaszcz swego ojca
Jest pani tego pewna?
Obaj mieli podobne, skórzane okrycia, które pan profesor przywiózł kiedyś z Turcji. Zeszłej jesieni pan Jureczek zawadził o coś rękawem i w rezultacie pół dnia spędziłam nad jego płaszczem. Pan wie co to znaczy cerować skórę? Wszystkie palce miałam pokłute do krwi!
- Czy młody Suciewski brał już kiedyś okrycie ojca?
- Nigdy.
- To wszystko?

— Po południu przysłała panienska Witwicka. Była bardzo zdziwiona, że nie zastała pana Jureczka. Czekaliśmy na niego do ósmej wieczorem, kiedy to odwiedził nas pan mecenas Smigielski.

— Często przychodził do Suciewskich?

— Od czasu do czasu Raczej niezbyt często.

— Czego chciał?

— Podobno był umówiony z panem Jureczkiem.

— W jakiej sprawie?

— Tego nie Wiem.

— Pani opowiedziała mecenasowi o swoich spostrzeżeniach, a on postanowił zawiadomić milicję?

— Przysięgł, że tak zrobi, jeśli pan Jureczek nie wróci do rana.

— No cóż, spróbujemy odnaleźć zgubę — bez specjalnego przekonania obiecał Mazurek. — Gdyby tak jeszcze pożyczyla nam pani jakieś zdjęcie Jerzego Suciewskiego...

— Zaraz przyniosę! — zadeklarowała się obocho — Mam cały album!

Taroniowa wybiegła z kuchni, widać jednak spodziewała się usłyszanej właśnie prośby bo nie minęły nawet dwie minuty, kiedy była już z powrotem. Podejrzliwie przeciągnęła ręką po przykrywającej stół kolorowej ceracie, nim położyła na niej pękaty album z fotografiami Przed dłuższą chwilę ostrożnie przewracała grube karty

— To jest pan Jureczek — powiedziała w końcu, wskazując jedno ze zdjęć — Tak wyglądał przed świętami Bożego Narodzenia kiedy zaręczył się z panienską Witwicką.

Porucznik z niedowierzaniem przetarł oczy. Zerknął ukradkiem na Pozorskiego. ale chorąży również musiał rozpoznać młodą, uśmiechniętą twarz z fotografii, bo nerwowo sięgnął do kieszeni po kopertę z plikiem zdjęć z niedzielnych oględzin. Nie mogło być żadnych wątpliwości Znaleziony w Lasku Bielańskim mężczyzna okazał się Jerzym Suciewskim.

— A jednak Kłosiński miał cholernego nosa — mruknął ponuro Mazurek. — Kto by pomyślał...

— Co się stało? — W głosie Taroniowej zabrzmiała nagie nuta niepokoju. — Skąd macie panowie tyle fotografii pana Jureczka? O Boże, dlaczego on taki jakiś?!

— Poznaje pani Jerzego Suciewskiego? — na wszelki wypadek upewnił się Mazurek

— Powiedźcie wreszcie, gdzie on jest — Chwycała kurczowo porucznika za rękę. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Młody pan Suciewski nie żyje — odparł ze szczerym współczuciem Pozorski. — Wczoraj znaleźliśmy jego zwłoki

— Prowadzimy śledztwo w tej sprawie.. — dodał cicho Mazurek.

Gospośia na moment znieruchomiła, wpatrując się przerażonym wzrokiem w siedzących przy stole mężczyzn. Kiedy wreszcie uprzytomniła sobie sens usłyszanych przed chwilą słów, na jej pomarszczonej twarzy pojawiły się łzy.

— Ale dlaczego? — wyszeptwała bezładnie. — Przecież to było takie dobre dziecko.. A wtedy przy bramie, jak gdybym przeczuła, że stało się coś niedobrego — zasłoniła rękami twarz. — *Jezu!* Po co ja jeździłam do tego Pruszkowa?!

— Zglądała pani do garażu? — przypomniał sobie Mazurek. — Jerzy Suciewski wyszedł z domu pieszo, czy zabrał samochód?

— Pojechał ładą pana profesora.

— To znaczy, że każdy z nich miał własny wóz?

— Owszem, tylko że mały fiacik pana Jureczka ciągle się psuł i ojciec pozwalał mu korzystać ze swego samochodu.

— Garaż był zamknięty?

— Jak zwykle, a klucze wisiały na miejscu w przedpokoju.

Zechciałaby pani opisać ładę profesora? Może pamięta pani numer rejestracyjny

— Kolor miała normalny, taki kremowy odparła z namysłem Taroniowa — Ale na żadne numery to ja już nie patrzyłam...

— Trzeba o tym wszystkim dać znać szefowi. Porucznik na moment odwrócił się od gospośi i mrugnął porozumiewawczo do chorążego Zrobimy

— tak — mówił szeptem — ja zajrzę jeszcze do pokoju młodego Suciewskiego, a ty skocz do wozu i spróbuj złapać szefa przez radiotelefon. Przydałoby się, żeby chłopaki poszukali łady profesora...

Pozorski bez słowa ruszył do wyjścia, a Mazurek spojrział pytająco na Taroniową.

— Zaprowadzi mnie pani do pokoju pana Jurka? — uśmiechnął się przymilnie — Nigdy nie wiadomo, czy nie znajdziemy tam czegoś, co później przyda się w śledztwie.

— Nie wiem, co by powiedział pan profesor — Niezdecydowanie pokręciła głową. — Może poczekać do jego przyjazdu?

— Niczego nie będę ruszał — obiecał Mazurek — Rzucę tylko okiem i zaraz uciekam,

No to chodźmy — ustąpiła gosposia. — Tylko że pan tam niczego nie znajdzie — dodała z przekonaniem. Wczoraj robiłam porządki u pana Jureczka i nie widziałam, żeby trzymał u siebie coś nadzwyczajnego.

Wychodzili właśnie z kuchni, kiedy przy drzwiach wejściowych niecierpliwie zabrzączał dzwonek. Taroniowa zostawiła na moment porucznika, żeby otworzyć, i po chwili w progu przedpokoju stanęła wysoka brunetka w eleganckim, zamszowym płaszczu. Gosposia chciała coś powiedzieć, ale dziewczyna machnęła tylko ręką i bez wahania zwróciła się do oficera

— Pan z milicji? raczej stwierdziła, niż zapytała Czy wiadomo już coś o Jurku?

— Pani Witwicka? — upewnił się Mazurek.

Oczywiście! — Z widocznym zniecierpliwieniem zdjęła rękawiczki i sięgnęła do torebki, jak gdyby miała zamiar wyciągnąć dokumenty, w ostatniej jednak chwili rozmyśliła się, zdecydowanym ruchem cofając rękę. — Niechże pan mówi, do diabła! — W głosie dziewczyny zabrzmiała nie tajona irytacja. — Chcę wiedzieć, co z moim chłopakiem?!

— Bardzo mi przykro, ale musi być pani dzieła. — Porucznik postarał się, żeby jego słowa zabrzmiały łagodnie. — Jerzy Suciewski nie żyje.

— Kłamiesz! — Niespodziewanie jak rozjuszona kotka rzuciła się na oficera. — Powiedz, że to nieprawda! To nie może być prawda! On by mnie tak nie zostawił!!!

Mazurkowi z trudem udało się przytrzymać Witwicką za rękę. Pomyślał z goryczą że niewiele brakowało, aby długie, jaskrawo pomalowane paznokcie pozostawiły na jego twarzy trwałe ślad.

— Niech pani będzie dzielna — powtórzył twardo. — Obiecuję, że znajdę zabójcę...

Przez kilka sekund dyszała ciężko w końcu jednak rozsadzająca ją przez chwilę furia ulotniła się gdzieś bez śladu i Witwicka wybuchnęła płaczem

— Mój Jurek nie żyje! — szepnęła z rezygnacją. — Zabili mi go...

Mazurek delikatnie wziął dziewczynę pod ramię i razem z Taroniową zaprowadzili ją do kuchni. Szklanka zimnej wody i jakieś przyniesione przez gosposię krople uspokoiły nieco Witwicką, ale porucznik przez dobry kwadrans wolał nie ryzykować żadnego pytania na temat Jerzego Suciewskiego. Wreszcie dziewczyna sięgnęła po papierosa i zaciągnąwszy się kilka razy łąpczywie sama zaczęła mówić.

— Ile razy ostrzegałam go, prosiłam, żeby z tym skończył.. Tylko że on nigdy mnie nie chciał słuchać! Miał wielkie plany, obiecywał, że będziemy jeździli po całym świecie, i śmiał się z moich obaw...

— Co to była za działalność? — nie wytrzymał porucznik.

— Jurek lubił wszystkim imponować i szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Nie wystarczało mu tego, co otrzymywał od ojca, więc znalazł sobie inne źródło dochodu.

— Jakie?

— Poznał pewnego waluciarza i zaczął z nim robić interesy. Kiedyś pokazał mi cały plik banknotów. Strasznie się bałam, że złapie go milicja albo że ktoś mu zrobi krzywdę. Prosiłam... Płakałam... A on mnie wyśmiał.

— Jezus, Maria! — Taroniowa nie mogła się powstrzymać od pełnego zgrozy okrzyku. — Co ja słyszę? Pan Jureczek handlował dolarami?!

— Poznała pani tego waluciarza? — Mazurek całkowicie zignorował gosposię. — Może potrafi pani podać jego nazwisko?

— Nie znam nazwiska i nie widziałam tego człowieka — zaprzeczyła stanowczo. — Jurek mówił mi, że spotykają się w „Wenecji”, takiej kawiarni przy Słowackiego, ale ja wolałam się tara nie pokazywać

— Wie pani, jakie kwoty wchodziły w grę?

— Najpierw raczej drobne, to znaczy kilka lub kilkanaście dolarów. Dopiero w zeszłym miesiącu zobaczyłam ten plik. Myślę, że było tego około pięciuset...

— A później?

— Po tamtej awanturze Jurek nie chciał już ze mną rozmawiać o swoich interesach.

— Pięćset dolarów to nie jest jeszcze kwota, dla której zabija się człowieka — zauważył z pewnym sceptycyzmem porucznik. — Chociaż zdarzają się i tacy, którzy dla pięciuset złotych sięgnęliby po nóż...

— Nie wiem, czy to ważne przypomniała sobie nagle dziewczyna — ale w sobotę zagroziłam Jurkowi, że jeśli nie zerwie z tym waluciarzem, to z nami będzie koniec.

— Co pani odpowiedział?

Niestety, nic konkretnego. Po prostu usiłował obrócić wszystko w żart.

— W sobotę też planował spotkanie ze swoim współnikiem?

— Odniosłam wrażenie, że tak.

— Był może bardziej zdenerwowany albo podniecony niż zwykle?

— Nie zauważyłam... Umówiliśmy się, że w niedzielę pogadamy o naszej przyszłości, i odwiózł mnie do domu.

— O której rozstaliście się państwo?

Koło piętnastej.

Trzasnęły drzwi i do kuchni wrócił Pozorski. Jego mina świadczyła wymownie, że załatwił wszystko po swojej myśli.

- Stary trochę zrzędził, ale zaraz puści w ruch całą maszynkę — zakomunikował koledze, odpro-

wadziwszy go na bok. — A ty obejrzałeś już pokój młodego Śuciewskiego?

— No właśnie! — Mazurek ponownie zwrócił się do Witwickiej. — Czy pani chłopak miał zwyczaj trzymać u siebie dolary?

— Prawdę powiedziawszy, to nie wiem. — Dziewczyna bezradnie rozłożyła ręce — Kiedyś pokazywał mi jakąś skrytkę, ale wtedy była pusta...

Tym razem Taroniowa nie zgłaszając już żadnych obiekcji zaprowadziła funkcjonariuszy na pierwsze piętro. Pokój Jerzego Śuciewskiego sprawiał dość niezwykle wrażenie. Obok ciężkiego, stylowego biurka z kilkoma bibelotami i przedwojennym telefonem stały tam dwa nowoczesne regały i wysoki pulpit żywo przypominający dyskotekowe studio, a w rogu zamiast tapczanu leżał gruby na co najmniej trzydzieści centymetrów materac z gąbki. Na ścianach wisiała całkiem bogata kolekcja najrozmaitszych noży, bagnetów i szabli, pomiędzy którymi widniały kolorowe fotosy rozneglizowanych aktorek.

Witwicką nie czekając na pytania podeszła do biurka i bez zastanowienia wysunęła jedną z szuflad. Przez dłuższą chwilę szukała czegoś w powstałym otworze. Wreszcie rozległ się niezbyt głośny trzask zwalnianej sprężyny i kawałek rzeźbionego obramowania, biegnącego poniżej blatu biurka, opadł w dół, odsłaniając niewielką skrytkę. Była pusta.

- W takich starych meblach może być więcej schowków — zauważył rzeczowo Pozorski. — Warto byłoby to sprawdzić.

Porucznik skinął głową i bez słowa przykleknął przy biurku. Przez dobrych kilka minut razem z chorążym pedantycznie opukiwali cały mebel. Witwicka skwapliwie przyłączyła się do mężczyzn i tylko gosposia od czasu do czasu rzucała pod adresem całej trójki pełne dezaprobaty uwagi. Zniechęceni niepowodzeniem chcieli już dać spokój, kiedy Mazurek wyciągnął z kieszeni, niewielki szczyryk i ostrożnie zaczął go wsuwać w co większe szpary. Kolejny trzask ustępującego zabezpieczenia

był nagrodą za wytrwałość, jednak druga z odnalezionych skrytek również okazała się pusta.

Mazurka korciło, żeby przetrząsnąć jeszcze szuflady biurka, ale cierpliwość Taroniowej i najwyraźniej się wyczerpała.

— Wystarczy tego dobrego! — oświadczyła stanowczo. — Przyjedzie pan profesor, to będziecie tutaj grzebać do woli... Tylko że i tak nic nie znajdziecie — dodała z przekonaniem. — Ja tam nie wierzę w żaden handel dolarami. Może i pan Jureczek coś kiedyś kupił albo sprzedał, ale to całe gadanie psu na budę się nie zda. Trzeba Boga w sercu nie mieć, żeby tak zmarłego obszcze kiwać...

Funkcjonariusze uznali, że lepiej nie dyskutować z gospożą. Pożegnali się grzecznie i kilka minut później siedzieli już w radiowozie.

— Co teraz? — zagadnął Pozorski. — Wracamy do komendy?

— Najpierw pogadałbym jeszcze z tym adwokatem. Masz jego adres?

— Podobno mieszka dwa kroki stąd, na Kossaka. Wątpię jednak, żebyśmy go teraz zastali w domu. Pewno jest w sądzie albo w zespole...

— Zobaczymy...

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom chorążego mecenas Śmigielski był u siebie. Uprzejmie zaprosił funkcjonariuszy do eleganckiego, choć niezbyt obszernego gabinetu i od razu przystąpił do rzeczy.

— Dowiedzieliście się już czegoś, panowie, na temat syna mojego przyjaciela?

— Jerzy Śuciewski nie żyje — odparł porucznik — Został zabity w nocy z soboty na niedzielę.

— Mój Boże! — Adwokat z niedowierzaniem pokręcił głową. — Kto by pomyślał... Dla Witolda będzie to okropny cios — dodał ponuro. — Żona umarła mu, zanim Jurek skończył osiem lat. Więcej dzieci nie mieli...

— O ile się nie mylę, pozostawał pan w dość bliskich stosunkach z rodziną Śuciewskich? **36**

— Witolda poznałem wkrótce po wyzwoleniu — przytaknął Śmigielski. — Ja zaczynałem karierę

prawniczą, a on był młodym pracownikiem naukowym na wznawiającej właśnie swoją działalność Politechnice Warszawskiej...

— A co mógłby pan powiedzieć o synu profesora?

— Raczej niewiele. Widzi pan, nawet kiedy Jurek poszedł już na studia, zawsze bardziej kojarzył mi się z chłopcem w krótkich spodenkach niż z dorosłym mężczyzną.

— Zniknięcie Jerzego Suciewskiego bardzo jednak pana zaniepokoiło...

— Jak widać, alarm nie był bezpodstawny.

— Proszę wybaczyć moją dociekliwość, ale jednodniowa nieobecność dwudziestoletniego chłopaka to jeszcze nie powód, żeby zawiadamiać milicję. Czyżby zasugerował się pan spostrzeżeniami Taroniowej?

— To też. — Po twarzy adwokata przemknął pełen zakłopotania uśmiech. - Chociaż nie tylko...

Nie rozumiem?

- W piątek Jurek telefonował do mnie z prośbą o udzielenie mu porady prawnej. W normalnych warunkach czułbym się związany tajemnicą zawodową, skoro jednak chłopak nie żyje..

Sugeruje pan, że młody Suciewski popełnił jakieś przestępstwo?

Z całą pewnością stwierdzić tego nie mogę — zastrzegł się Śmigielski. — Nigdy nie omawiam spraw moich klientów przez telefon, ustaliliśmy więc, że Jurek wpadnie do mnie w niedzielę.

Nie powiedział panu, o co chodzi?

Zorientowałem się tylko, że to nie był problem natury cywilistycznej.

Młody Suciewski nie przyszedł niedzielę, więc pan sam się wybrał na Czarnieckiego?

- W końcu mojej pomocy potrzebował syn wieloletniego przyjaciela. Nie mogłem przejść do porządku nad całą sprawą!

Pożegnali się z adwokatem i wrócili do radio- 37 wozu. Pozorski uruchomił silnik i mieli właśnie zamiar jechać w kierunku komendy, kiedy w radiotelefonie zatrzeszczał głos wywołujący ich numer.

Co jest? — zapytał niecierpliwie Mazurek, nie bawiąc się w regulaminowe zwroty. — Już się za nami stęskniliście?

— Prawie od kwadransa usiłuję was złapać — odparł oficer dyżurny. — Macie jechać z Poborskim do Komendy Stołecznej i zameldować się u porucznika Stefańskiego. Czekają tam na was...

— Ki diabeł? — mruknął niepewnie Mazurek, wyłączając radiotelefon. — Czyżby Komenda Stołeczna przejmowała sprawę?

— Tylko po co ten gwałt? — pokręcił głową chorąży.

Musiało się coś wydarzyć..

Pozorski nie żałował gazu tak że w niespełna dziesięć minut zajechali na miejsce. Zgodnie z zapowiedzią oficera dyżurnego Stefański czekał przy wejściu. Porucznik raz po raz nerwowo zaciągał się papierosem, a na jego twarzy widać było wyraźne podniecenie.

— Zaraz zaczyna się narada u majora Pyteli — zakomunikował kolegom na wstępie. — A swoją drogą wpadliśmy w niezłą kabałę — dorzucił konfidencjonalnie. — Szarże szaleją..

— Z powodu tych zwłok Lasku Bielańskiego? — zdziwił się Mazurek. Przecież to chyba najzwyklejszy pod słońcem napad rabunkowy albo co najwyżej jakieś porachunki między waluciarzami..

— Tutaj chodzi o profesora, a nie o jego syna.

— Nie rozumiem?

— Podobno w kierowanej przez Witolda Suciewskiego placówce naukowej prowadzone są badania mające znaczenie dla obronności kraju. Nic dziwnego, że sobotnie zabójstwo zaniepokoiło wojskowych i Służbę Bezpieczeństwa.

— Nie chce mi się wierzyć, żeby śmierć młodego Suciewskiego mogła mieć jakiś związek z pracą naukową, jego ojca — Mazurek nie chciał zrezygnować ze swojej koncepcji.

— Nic wam nie mogę powiedzieć, bo sam niewiele wiem. — Stefański wprowadził ich do gmachu. — Słyszałem, że śledztwo będzie prowadzone równoległe przez nas i przez chłopaków pułkownika Kuglarza

— Życzę owocnej współpracy!

— Założę się, że zaraz usłyszysz to samo od naszego szefa Kłosiński wypożyczył was obu z Pozorskim do czasu wyjaśnienia sprawy...

Mazurek najwyraźniej nie był zachwycony usłyszaną nowiną. Zdawał sobie sprawę, że to, co od biedy uchodziło mu na Żoliborzu, może spotkać się ze sprzeciwem przełożonych z Komendy Stołecznej. Westchnął z mieszanymi uczuciami, nie zdążył jednak już nic powiedzieć, bo sekretarka poprosiła ich do gabinetu majora Pyteli. W środku oprócz tego ostatniego i pułkownika Kuglarza siedział jeszcze jakiś starszy pułkownik w lotniczym mundurze i ubrany po cywilnemu, niespełna trzydziestoletni sądząc z wyglądu brunet o zbyt długich jak na wojskowego czy milicjanta włosach i starannie przystrzyżonym wąsiku

— Chyba możemy przystąpić do rzeczy — zaczął Pytela, wskazując przybyłym Krzesła. — Mam nadzieję, że przedsięwzięte przez nas środki i czynności okażą się przysłowiową armatą na wróbla, ale sprawa zdaje się być zbyt poważna, żebyśmy mogli ryzykować...

— Słyszeliście zapewne towarzysze o Centrum Badawczo-Rozwojowym Automatycznego Sterowania — wtrącił Kuglarz. — Pod ogólnym kierunkiem szefa tej placówki, profesora Suciewskiego, od kilku lat prowadzone są tam intensywne prace nad różnymi rozwiązaniami czujników termicznych do układów samosterujących. Znajdują one zastosowanie w- wielu dziedzinach przemysłu, komunikacji i żeglugi, a także, co chciałbym szczególnie podkreślić, w wojsku, w systemach broni przeciwlotniczej i przeciwpancernej. Sama koncepcja użycia takich czujników nie jest nowa, są znane we wszystkich rozwiniętych krajach, nawet eksponowane na międzynarodowych targach i wystawach, ale od lat niezmiennie trwa proces ich doskonalenia i miniaturyzacji, słowem, podwyższania walorów użytkowych. Wspomniane wyżej Centrum, c, czym mogę wam zakomunikować, ma na tym polu kilka godnych uwagi osiągnięć.

—Dodam dla jasności — przerwał pułkownik w lotniczym mundurze — utrzymywanych jak dotąd w ścisłej tajemnicy już nie tylko ze względów wojskowych, lecz także, jeśli cykl badań i sprawdzianów praktycznych zakończy się powodzeniem, patentowych. Rywalizacja w projektowaniu nowych układów samosterujących sprawia, że w interesie własnym, w dobrze pojętej trosce o ochronę rodzimej myśli konstrukcyjnej, nie możemy odstąpić od tej zasady i dopuścić do jakichkolwiek przecieków ujawniających stan zaawansowania i rezultatów badań. Z naciskiem powtarzani: nie możemy!

Kuglarz skinął głową, dzielając w pełni opinię pułkownika.

49

—Od siebie dodam — uzupełnił — że stanowiłyby one niezwykle interesujący sygnał dla — Przystanek obcego wywiadu, wojskowego, naukowego czy przemysłowego; te różnice są w istocie bez znaczenia przy skądinąd znanej stałej wymianie informacji. Muszę powiedzieć, że dotychczas nie uzyskaliśmy takich danych i, jak mam prawo sądzić, żadnych przecieków nie było, ale nagła śmierć syna profesora Suciewskiego wnosi do sytuacji zupełnie nowy element. Niczego nie chcę przedwcześnie sugerować, na to nie mam potwierdzenia, lecz okoliczności zdarzenia muszą

być wyjaśnione także i pod tym kątem. On mógł wiedzieć o kierunkach badań prowadzonych w Centrum, bywał tam często, rozmawiał z pracownikami, odwiedzał ojca w jego gabinecie... Zbagatelizowanie tych faktów byłoby co najmniej błędem!

— Innymi słowy mówiąc, sprawa będzie prowadzona dwutorowo — zauważył Pytela. — My zajmiemy się poszukiwaniem zabójcy Jerzego Suciewskiego, a wy swoimi kanałami postaracie się sprawdzić, -czy ta śmierć nie ma przypadkiem jakiegoś związku z działalnością obcego wywiadu. Nie wykluczam, że po rozwinięciu dwustronnych czynności, operacyjnych w którymś punkcie dojdziemy do wspólnego odkrycia.

— Otóż to — przytaknął pułkownik Kuglarz. — Ja również dostrzegałbym taką możliwość. Jeśli idzie o nasz odcinek, to najtrudniejsze zadanie czeka kapitana Grzelaka skierował wzrok w stronę długowłosego bruneta — Musi on w sposób możliwie dyskretny i pozornie naturalny wejść w środowisko denata spenetrować je od wewnątrz, rozpoznać wzajemne powiązania tych ludzi, zdobyć ich zaufanie... Mam nadzieję, że Witold Suciewski wyrazi zgodę, by przedstawić kapitana jako swego kuzyna. Dzięki temu miałby on bardziej dogodną pozycję wejściową, ale z drugiej strony z wiadomych względów nawet profesor nie powinien znać całej prawdy. Nie możemy mu powiedzieć, po co to robimy i do czego zmierzamy. Jest to warunek konieczny, podyktowany szczególną sytuacją. I jeszcze jeden, problem — dodał po krótkim namyśle. — Prawidłowe wykonanie zadania przez towarzysza Grzelaka w znacznej mierze będzie zależało od stałego dopływu informacji uzyskanych przez milicję. Dlatego liczymy na daleko posuniętą współpracę.

— Nie ma sprawy! — zadeklarował się major. — Z naszej strony dołożymy wszelkich starań!

— Proponuję, żeby szczegóły współpracy omawiać na bieżąco, w miarę rozwoju sytuacji.

— Tak chyba będzie najlepiej... Skoro wszystko jasne, bierzmy się do roboty — podsumował Pytela.

— — Za niespełną godzinę na Okęciu wyląduje samolot, którym profesor Suciewski wraca z Moskwy. Musimy się pośpieszyć...

Stefański i Mazurek przyjechali na lotnisko o dobry kwadrans za wcześnie, tak że nim spikerka zapowiedziała oczekiwany samolot, zdążyli jeszcze wypić po szklance herbaty. Bez specjalnego pośpiechu zeszli do holu i ulokowali się w miejscu, z którego mogli obserwować podróżnych wychodzących z komory celnej. Suciewski pojawił się jako jeden z ostatnich pasażerów moskiewskiego samolotu. Profesor przez moment rozglądał się niepewnie, jak gdyby sprawdzał, czy ktoś go nie oczekuje. Nie widząc nikogo znajomego ruszał właśnie do wyjścia, kiedy stanął przed nim Stefański.

— Ogromnie pana przepraszam. — Oficer grzecznie zatrzymał Suciewskiego. — Ale czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut?

— Pan z prasy? — Profesor zmierzył natręta niechętnym spojrzeniem. — Proszę wybaczyć... Jestem bardzo zmęczony i o moskiewskim symposium wolałbym porozmawiać innym razem.

— Porucznik Stefański z Komendy Stołecznej — skwapliwie przedstawił się oficer. — Sprawa jest niestety dość pilna, jeśli więc zechciałby pan skorzystać z naszego radiowozu, moglibyśmy zamienić kilka słów, odwożąc pana do domu...

— A właściwie o co chodzi? — Po twarzy Suciewskiego przemknął cień niepokoju. — Czyżby stało się coś w Centrum?

— Zaraz wszystko panu wyjaśnię — odparł wymijająco Stefański. — Więc jak, zgadza się pan?

— Prawdę powiedziawszy nawet mi to na rękę. Miałem nadzieję, że z lotniska odbierze mnie syn, ale jakoś go nie widzę...

W milczeniu ruszyli do radiowozu. Profesora musiało jednak intrygować niespodziewane spotkanie z funkcjonariuszami, bo ledwo znalazł się w środku, zagadnął Stefańskiego:

— Rozumiem, że podczas mojej nieobecności musiało zajść coś ważnego, skoro przysłano po mnie samochód z Komendy Stołecznej?

— Pański syn został zabity — wyręczył kolegę Mazurek. — Wczoraj rano znaleźliśmy jego zwłoki

— O Boże! — Suciewski z niedowierzaniem popatrzył na oficerów. — To chyba jakaś okropna pomyłka?!

— Bardzo nam przykro, panie profesorze — mruknął ponuro Stefański. — Niestety o żadnej pomyłce nie może być mowy...

— Ale komu zależałoby na śmierci Jurka? Przecież on miał dopiero dwadzieścia lat!

— Z pańską pomocą na pewno to ustalimy.

— Z moją pomocą? — Suciewski bezradnie rozłożył ręce. — Przez tydzień byłem w Moskwie, przedtem brałem udział w kongresie elektroników w Pradze, a od pół roku prawie każdą wolną chwilę spędzam w Centrum...

— Mimo wszystko mógłby nam pan udzielić wielu cennych informacji. W końcu musiał pan słyszeć o kłopotach syna, widywać jego przyjaciół...

— Panowie podejrzewacie, że Jurka zabił ktoś ze znajomych? Przecież to absurd! — Profesor stanowczym gestem potrząsnął głową. — Lepiej poszukalibyście zabójcy wśród zbrodzców i najbardziej zwyrodniałych zbrodniarzy. — Z rozpaczą zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. — Normalny człowiek nie targnąłby się na życie chłopaka, który nigdy nikogo nie skrzywdził!

— Być może ma pan rację — przyznał niepewnie Stefański, klnąc w duchu powierzoną mu misję — nam jednak nie wolno zaniechać sprawdzenia żadnej ewentualności.

— No cóż! — westchnął Suciewski. — Róbcie, panowie, co uważacie za stosowne. W końcu tonic ja prowadzę śledztwo...

— Pragnęlibyśmy właśnie zaproponować panu pewien współudział...

— Współudział?

— Jutro zgłosi się do pana kapitan Stepień. Mamy gorącą prośbę, by zechciał pan potwierdzić wobec znajomych i domowników, że jest on pańskim krewnym.

— Czy to konieczne?

— Ogromnie by nam zależało...

44

— Rozumiem, że pański współpracownik musiałby u mnie zamieszkać?

- Bylibyśmy panu bardzo wdzięczni, gdyby się pan zgodził.
- Prawdę powiedziawszy wcale mi to nie na rękę
- mruknął profesor — ale uprzedzę gosposię..
- Kolega postara się skrócić swój pobyt pod pańskim dachem do niezbędnego minimum. I jeszcze jedno — przypomniał sobie porucznik. — Proszę się nie zdziwić, jeśli w obecności osób trzecich zwróci się on do pana z prośbą o załatwienie mu pracy w Centrum. Po prostu będzie to należało do jego roli...
- Panowie faktycznie chcecie dostarczyć mi nowego pracownika?
- Proszę się nie obawiać. Na razie nie mamy takiego zamiaru. O której nasz kolega będzie mógł zgłosić się jutro na Czarnieckiego?
- Jest mi to najzupełniej obojętne...

— 5

— Wyglądasz, chłopcze, bez zarzutu. —

Kuglarz ostatni raz zlustrował baczny spojrzeniem długie włosy, modne buty na grubej podeszwie i znoszone dżinsy Grzelaka. — Widzę, że pomału zaczynasz wchodzić w rolę błękitnego ptaka, który przyjechał z wybrzeża w poszukiwaniu protekcji wysoko postawionego wuja.

— Staram się, obywatelu pułkownika, ale wygląd to nie wszystko...

— Masz rację — Kuglarz poważnie pokiwał głową. — Poza wyglądem od tej chwili zmieniasz nazwisko i będziesz występował do końca sprawy jako Andrzej Stępień. Zarówno u nas, w wewnętrznym gronie, jak i \y tamtym towarzystwie. Czekał na ciebie zadanie jest trudne i między nami mówiąc niezbyt przyjemne. — Pułkownik zasepił się. — Z naszych informacji wynika, że Jerzy Suciewski miał ostatnio do czynienia z niezbyt ciekawymi ludźmi. Chcąc zdobyć ich zaufanie, będziesz musiał wyrobić sobie równie kiepską opinię.

— Rozumiem...

— Na początku nie pytaj zbyt wiele, tylko obserwuj i staraj się nawiązać jak najwięcej znajomości. Pamiętaj, że wprawdzie jesteś z wykształcenia elektronikiem, ale interesują cię tylko ładne kobiety i szybkie samochody, a pracę traktujesz jako zło konieczne. Przy okazji możesz komuś się zwierzyć, że miałeś kiedyś kłopoty z milicją.

— Jakiego typu?

— Witwicka wspomniała porucznikowi Mazurkowi, że Jerzy Suciewski wpłatał się w jakieś nielegalne interesy dewizowe.

— Innymi słowy, powinienem wyrobić sobie opinię nie tylko błękitnego ptaka, ale i drobnego przestępcy? — zauważył ponuro kapitan

— Dla dobra służby, chłopcze — pułkownik pocieszająco poklepał podwładnego po ramieniu. — Dla dobra służby

— Na co zwrócić szczególną uwagę podczas obserwacji interesującego nas towarzystwa?

— Wiemy jeszcze zbyt mało, żeby ściśle ukie-46
runkować naszą działalność. Przede wszystkim mu-

sisz po7nać ludzi, z którymi obcował młody Suciewski, ustalić źródła ich dochodów i dowiedzieć się, czy utrzymują kontakty z kimś za granicą. Dobrze by również było, gdybyś dyskretnie obejrzał sobie pokój denata Wprawdzie nasi koledzy już to zrobili, ale lepiej jeszcze raz sprawdzić...

— Oczywiście...

— Ciekaw jestem, jak to towarzystwo zareaguje na prowadzone przez milicję śledztwo. Jeśli nie będzie większego oddźwięku, to spróbujemy sprowokować przeciwnika do działania

— A co z profesorem?

— Radziłbym ci postępować nadzwyczaj ostrożnie Nie zapominaj, że stracił jedyne7ego syna!

— Czy mogę się już odmeldować?

— Powodzenia, chłopcze!

Trzy kwadranse później Stępień był już na ulicy Czarnieckiego i przez dobrą minutę naciskał dzwonek przy furtce opatrzonej tabliczką z nazwiskiem profesora Suciewskiego Wreszcie odezwał się brzęczyk, wskazujący, że może wejść. Kapitan bez pośpiechu podniósł z ziemi pękatą torbę podróżną i ruszył przez maleńki ogródek w kierunku wyglądającej zza uchylonych drzwi Taroniowej.

— Pan w jakiej sprawie? — spytała podejrzliwie, mierząc przybyłego niechętnym spojrzeniem. — Profesora nie ma w domu

— Nazywam się Stępień — odparł z odrobiną zażenowania — Miałem przyjechać z samego rana ale pociąg się spóźnił — dodał. — Wujek nic pani nie mówił?

— Znaczy, że to pan jest tym krewnym profesora? — Taroniowa spojrzała na kapitana znacznie przychylniej. — Proszę, mech pan pozwoli do środka. — Zachęcającym gestem otworzyła szerzej drzwi. — Profesor kazał przygotować pokój, więc będzie pan mógł odpocząć po podróży.

— Nie wie pani, o której wujek wraca z Centrum

— Dzisiaj wcale tam nie pojechał — konfidencko7alnie ściszyła głos. — Razem z mecenasem Smigielskim załatwiają formalności pogrzebowe. 47

— Ktoś umarł? — Stępień udał zdziwienie — Wujek nic mi o tym nie pisał.

— Nie słyszał pan, że zamordowali pana Jureczka?

— Niemożliwe?

— W niedzielę znaleźli ciało, a wczoraj przez pół dnia siedziała tutaj policja.

— Okropne nieszczęście

— Pan znał pana Jureczka?

— Prawdę powiedziawszy to nie za dobrze. Z Warszawy do Szczecina kawał drogi, więc i kontakty rodzinne trochę się rozluźniły.

— Faktycznie pan profesor jakoś przedtem nie wspominał, że ma rodzinę w Szczecinie. — W zamyszeniu potarła czoło — Chociaż pana to ja już chyba kiedyś widziałam — dodała niepewnie.

Pewno kiedy byłem takim brzdącem! —

Obrazowo zniżył rękę ku ziemi — Podobno strasznie dawałem się wszystkim we znaki i kto mnie i aż zobaczył, długo nie mógł zapomnieć o moich wyczynach.

— Mam nadzieję, że spoważniał pan od tamtych czasów? — rzuciła z lekką naganą.

Ależ oczywiście! — zapewnił skwapliwie. — Próbuję nawet iść w ślady wujka i robić karierę naukową.

— Nie głodny pan? — Gosposia najwyraźniej przeszła do porządku nad ostatnim stwierdzeniem kapitana. — Może przygotować panu coś do jedzenia?

— Raczej do picia. Po paru szklankach serwowanej przez konduktora lury marzę o prawdziwej herbacie

— Woli pan mocną czy słomkę?

— Raczej mocną...

Taroniowa zaprowadziła oficera do niewielkiego pokoiku na piętrze i obiecawszy solennie, że najdalej za kwadrans herbata będzie gotowa, wróciła do kuchni. Stepień został sam. Na wstępie zlustrował wnętrze badawczym spojrzeniem i nie bez zadowolenia stwierdził, że gospościa posprzątała je nadzwyczaj starannie. Wprawdzie umeblowanie pomieszczenia składało się jedynie z wersalki, regału, dwóch krzeseł i stolika, ale w sumie pokoiłk sprawiał dość przyjemne wrażenie.

Kapitan zabierał się właśnie do rozpakowywania swoich rzeczy, kiedy z parteru dobiegł go donośny brzęk dzwonka. Wyrzwał na korytarz i, usłyszawszy, że Taroniowa otwiera komuś drzwi, bez namysłu ruszył w kierunku schodów. W przedpokoju, przy wejściu, spostrzegł dwóch mężczyzn. Suciewskiego znał tylko z fotografii, ale o żadnej pomyłce nie mogło być mowy..

— Dzień dobry, wujku! — przywitał się z odrobiną starannie ukrywanej tremy. — Serdecznie współczuję wujkowi w związku z Jurkiem...

W pierwszym momencie na twarzy profesora pojawiło się szczere zdziwienie i dopiero po chwili, przypomniawszy sobie widać wczorajszą rozmowę, wyciągnął rękę do oficera

— Cieszy mnie, że przyjechałeś — odparł, pokonując szybko skrepowanie. — Przynajmniej nie będzie tutaj tak pusto...

— Kiedy pogrzeb?

— W czwartek o jedenastej Może trzeba coś pomóc?

Dzięki mecenasowi Śmigielkiemu wszystko jest już załatwione. — Energicznie potrząsnął głową profesor. — O przepraszam cię, Jasiu zwrócił się do adwokata To jest mój kuzyn, Andrzej Stepień...

Śmigielski w milczeniu uścisnął dłoń kapitana i uczynił ruch, jak gdyby miał zamiar wycofać się do wyjścia

— Od dwóch dni biegasz za moimi sprawami, a teraz nie chcesz nawet wypić szklanki herbaty — Suciewski zdecydowanym gestem powstrzymał adwokata — Przecież ja nie mogę cię tak wypuścić...

— Myślę, że im mniej obcych będzie się kręciło w twoim domu, tym lepiej — zauważył delikatnie Śmigielski. — Wyobrażam sobie, co musisz przeżywać..

— Wierzcie mi, że najgorsza jest jednak samotność — westchnął profesor. — Człowiek ma wtedy zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie.

Bez dalszej dyskusji przeszli do urządzonego z pewnym zbytkiem, obszernego salonu i usiedli w wygodnych fotelach przy okrągłym, stylowym stoliku. Po chwili Taroniowa przyniosła trzy filiżanki mocnej, aromatycznej herbaty, a gospodarz wyjął z barku kieliszki i butelkę koniaku. Przez cały ten czas nikt się jakoś nie kwapił do nawiązania rozmowy i minęło dobrych kilka minut, nim wreszcie przerwał milczenie adwokat Śmigielski.

— Pan przejazdem w Warszawie, czy też raczej na dłużej? — zagadnął oficera.

— Prawdę powiedziawszy liczyłem, że uda mi się zaczepić w Centrum — odparł Stępień — Na Wybrzeżu nie wyszło mi z doktoratem, więc może tutaj...

— Witold na pewno panu pomoże.

— Chyba jednak przyjechałem nie w porę i trzeba będzie odłożyć to na później

60 — Po pogrzebie rozejrzę się za czymś — uciął Suciewski. — Nie wiem, czy dam radę załatwić sprawę od ręki, ale z kwitkiem cię nie odprawię!

— Bardzo wujkowi dziękuję!

— Trzeba się nawzajem popierać — sentencjonalnie stwierdził adwokat.

W przedpokoju zabręczał dzwonek i chwilę później do salonu wsunęła głowę Taroniowa.

— Panienska Witwicka pyta, co z pogrzebem — zaanonsowała niechętnie. — Powiedzieć jej, że będzie w czwartek?

— Oczywiście — zdecydował Suciewski. — A w ogóle, to niech Taroniowa poprosi ją do nas...

— Ja bym tam uważała -na taką! — zaburczała pod nosem gospoia. — Najpierw wdzięczy się, uśmiecha przymila, a potem przed policją suchej nitki na człowieku nie zostawi!

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale profesor machnął niecierpliwie ręką i Taroniowa bez słowa wyszła do przedpokoju. Przez moment zza drzwi dochodziły odgłosy ożywionej dyskusji, a po chwili w progu salonu stanęła Witwicka. Towarzyszyła jej niewysoka blondynka o dość wyzywającym makijażu.

— To jest Ludka Nowakowska. — Witwicka przedstawiła koleżankę. — Ona też знаła Jurka...

— Dziękuję wam dzieci, za pamięć. — Po twarzy Suciewskiego przemknął smutny uśmiech. — Nie spodziewałem się...

— Jurek miał wielu przyjaciół...

— Pewno chciałabys mieć po nim jaką pamiątkę?

— **W żadnym wypadku!** — zaprzeczala gwałtownie Witwicką, — **To znaczy nie wiem** — poprawiła się z wyraźnym wahaniem.

— **Przyjdź, jeśli zmienisz zdanie. W pokoju Jurka jest tyle różnych drobiazgów**

— **Taroniowa wydrapałaby mi oczy!**

— **Ja tu jestem gospodarzem, a nie ona!** — Profesor gniewnie zmarszczył brwi. — **A gdybyś mnie akurat nie zastała w domu, to poproś kuzyna** — dodał, wskazując znacząco na kapitana, — **On już ujarzmi gospoie!**

6

Niewysoki, krepny mężczyzna w grubym wełnianym swetrze i porządnie znoszonych dżinsach z nie ukrywanym znudzeniem przewracał karty kolejnego albumu ze zdjęciami przedstawicieli warszawskiego półświatka 51 Siedzący obok porucznik Mazurek dawno już stracił nadzieję, by przywieziony z samego rana do komendy kierowca ostatniego. sobotniego,

**autobusu linii sto osiemnaście rozpoznał na
którejś z fotografii jednego z pasażerów
odjeżdżających z pętli przy ulicy Gwiazdzistej. Co
gorsza wieści z sąsiedniego pokoju, gdzie innemu
kierowcy takie same zdjęcia pokazywał Stefański,
również nie -były zachęcające,**

— **Niedobrze mi się robi, gdy patrzę na te gęby — mruknął ze szczerym obrzydzeniem mężczyzna.** — Za sam wygląd wpakowałbym całe to towarzystwo do pudła.

— Większość z nich i tak spędza połowę życia w więzieniu — wyjaśnił Mazurek. — Prawdę mówiąc nie oplaca się nawet wypuszczać łobuzów, bo zaraz z powrotem trafiają za kratki.

I myśli pan że ktoś z tego towarzystwa jechał w sobotę moim autobusem?

Nawet dwóch

Cholerny świat! — zmartwił się kierowca. — Za chińskiego boga nikogo nie poznaję.

Może jeszcze raz przejrzy pan fotografie?

— Co pan?! Za jakie grzechy? — oburzył się mężczyzna — Od dwóch godzin nic innego nie robię, a przecież takie gęby bym zapamiętał. Chociaż niektórzy są nawet podobni do ludzi — Stuknął palcem w jedno ze zdjęć. — Nigdy bym nie pomyślał, że na przykład ten gość to bandyta.

Kierowca jeszcze przez kilka minut wertował albumy. ale zamknąwszy ostatni z nich bezradnie rozłożył ręce Chcąc nie chcąc Mazurek również zrezygnował. Na wszelki wypadek zapisał sobie personalia mężczyzny i po chwili został w pokoju sam. Zastanawiał się właśnie, czy nie zajrzeć do Stefańskiego kiedy przypomniał sobie, że od blisko godziny czeka na przesłuchanie Siwucha Porucznik ocieżale podniósł się z miejsca i wyrzwał na korytarz.

— Chodźcie no tutaj! zawołał ostrym nie znoszącym sprzeciwu tonem przycupniętego na skraju ławki mężczyznę. — Najwyższy czas, żebyście rozliczyli się ze swoich grzeszków!

— Bóg mi świadkiem. tym razem nie mam niczego na sumieniu! — zapewnił tamten, podrywając się skwapliwie — Czysty jestem jak kryształ, władzuniu kochana!

Weszli do pokoju. Mazurek usiadł za biurkiem i przez dłuższą chwilę mierzył wezwanego groźnym spojrzeniem. Siwucha usiłował zachować spokój, widać jednak było, że pobyt w komendzie działa na niego deprymująco.

— O co chodzi, panie władzo? — wybąkał wreszcie, nie mogąc widać znieść przedłużającego

się milczenia — Czego władza sobie życzy od uczciwego obywatela?

— Taki z was uczciwy obywatel jak ze mnie kacyk perski albo arcyksiążę — parsknął śmiechem Mazurek. — **A** jeśli chcecie, żebyśmy żyli **w** zgodzie, powiedzcie, co wiecie o tym trupie z Lasku Bielańskiego.

— Nawet nie miałem pojęcia, że tam kogoś zaciukali. — Przesłuchiwany teatralnym gestem uderzył się w piersi. — Dopiero kiedy pan sierżant Kulikowski popylił w krzaki i zaczął gmerać **w** błocie, skapowałem się, że coś nie gra...

— Chłopaka oskubali do czysta, a że do biednych nie należał, więc musiało się wam obić o uszy to i owo — zaryzykował porucznik, posługując się żargonem zatrzymanego. — Przy okazji jego łada też gdzieś zniknęła...

— Każdy woli trzymać gębę na kłódkę, kiedy ma na koncie mokrą robotę

— Tam kręcili się jacyś dwaj mężczyźni i prędzej czy później któryś z nich musi coś chlapanąć językiem.

— Władzunia pewno jak zwykle ma rację — beczelnie uśmiechnął się Siwucha — ale czy to ja Duch Święty, żebym wiedział o każdym skoku na Żoliborzu? Przecież gościa mogli stuknąć chłopaki z innej dzielnicy albo nawet jacyś frajerzy z prowincji!

— Tylko mi nie odwracajcie kota ogonem! — oficer niespodziewanie podniósł głos. — Pewno już piliście wóde z tymi bandziorami i teraz nie chcecie ich sypnąć!

— Żebym tak skonał, jeśli co zełgał!

— Uważajcie, bo jeszcze pomyślę, że sami maczaliście w tym palce...

— Pan władza chyba żartuje? — przesłuchiwany z trudem przełknął ślinę. — Przecież ja bym nawet muchy... Pan władza zna mnie nie od dziś...

— Dlaczego miałbym żartować? — Mazurek miał ponurą minę. — W końcu nie podaliście nawet przyzwoitego alibi.

— W sobotę byłem na wódce u Mietka Zatwaruchy — z determinacją wyrzucił z siebie Siwucha. — Opylił fanty z jakiegoś skoku i zaprosił mnie, żeby to oblać...

— Czy Zatwarucha może coś wiedzieć o zwłokach z lasku?

— Prędzej niż ja

65

— Tak czy inaczej wy też popytajcie kumpli — zażądał Mazurek, ale jego głos zabrzmiał już nieco łagodniej. —

■ — Przystanek

— Niech i tak będzie! Pogadam z chłopakami Ł branży, to może coś wyniucham — z rezygnacją ustąpił przesłuchiwany. — Prosiłbym tylko o przyzwoity pogrzeb na koszt państwa, -jeśli mnie ktoś później mojką przeciągnie — dodał pół żartem, pół serio.

— Nawet wam świeczkę co roku zapalę obiecał porucznik, mrużąc porozumiewawczo oko A teraz zmiataj, bratku, do domu!

Ledwo drzwi zamknęły się za Siwuchą, do pokoju wkroczył Stefański. Jego mina świadczyła

wymownie, że nie ma niczego wesołego do zakomunikowania koledze

— Pytela wyobraża sobie, że w jego wydziale pracują sami cudotwórcy! — sapnął ze złością — Sledztwo dopiero się zaczęło, a on nic tylko marudzi. ze to nie zrobione, tamto nie sprawdzone, a najbardziej go boli to, że zabójcy jeszcze nie siedzą!

— Chwała Bogu. że to ciebie kreowano na szefa naszej grupy — na poły ze współczuciem na poły z ulgą zauważył Mazurek - Przynajmniej ominą mnie codzienne kazania szefa

— Do czasu!

— Ustaliłeś coś?

— Gdzie tam — Stefański z rezygnacją machnął ręką. — Kierowca autobusu nie poznał, żadnego z kryminalistów, których zdjęcia tak pracownie kompletowali nasi spece od kartotek, a ekspert od mechanoskopii przysięgał mi na wszystkie świętości, że kłódka zdjęta z bramy do posesji profesora Suciewskiego nigdy nawet nie widziała wytrycha — wyliczył ponuro Stefański. U ciebie też pewno nic?

— Jak byś zgadł! Mój kierowca też cierpiał na amnezję, a od Siwuchy nie wyciągnąłem niczego, co miałoby jakiś związek ze sprawą. Wprawdzie obiecał mi, że popyta znajomych, ale szczerze wątpię, czy czegoś się dowie.

Szlag by to trafił! Gorzej, że stary pytał mnie o Pozorskiego a ten z samego rana poleciał gdzieś i do tej pory nie dał znaku życia

Nie masz większych zmartwień? Jeśli będzie trzeba, to sam się z nami skontaktuje.

■ Stefański mruknął tylko coś pod nosem i ruszał właśnie do wyjścia kiedy na biurku zabrzączał telefon. Mazurek sięgnął po słuchawkę i na jego twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiech Jak gdyby na potwierdzenie wypowiedzianych przed momentem słów porucznika dzwonił właśnie choraży.

— Nareszcie coś mamy — Pozorski nawet nie próbował ukryć swego podniecenia. — Przyjeżdżajcie piorunem do Józefowa

— Co tam znalazłeś? — zainteresował się Mazurek

Ładę Suciewskiego — rzeczowo poinformował chorąży. — Koledzy z Otwocka zainteresowali się warsztatem samochodowym, którego właściciel handlował częściami. Wpadli dzisiaj do niego i okazało się, że facet ma dwa skradzione niedawno wozy, i tę ładę

— Szafa grał — Porucznik radośnie zatarł ręce.
— Teraz śledztwo ruszy z kopyta!

— Czekam!

Niecałą godzinę później Stefański i Mazurek byli już w okazałym i nowocześnie urządzonym warsztacie samochodowym Antoniego Wogina. W środku aż roilo się od milicyjnych mundurów.

— Nie myślałem, że ten paser to taka ważna persona — wysoki sierżant nie bez zdziwienia powitał przybyłych. — Chorąży Pozorski wspominał wprawdzie, że macie jakieś zabójstwo, ale mówiąc szczerze to nie pasuje mi do Wogina...

Wogin był barczystym, przeszło pięćdziesięcioletnim mężczyzną o szerokiej, czerwonej twarzy. Ze stoickim spokojem siedział w małym kantorku i zdawał się nie zwracać uwagi ani na pedantycznie przeszukujących wszystkie kąty funkcjonariuszy, ani nawet na pilnującego go kaprała. Mazurka i Stefańskiego zmierzył na poły znudzonym, na poły aroganckim spojrzeniem i, nie odpowiadając na powitanie, zaczął ostentacyjnie dłubać w nosie.

— Jak długo prowadzi pan ten interes? — spokojnie przystąpił do rzeczy Stefański.

— Od dziesięciu lat — odparł Wogin niechętnie. — Najpierw miałem wspólnika, a teraz to wszystko moje...

— Wspólnik zrezygnował, czy też pan wykupił jego udział?

— Powiedzmy, że zrezygnował.

— Może pan podać jego nazwisko?

— To mój szwagier. Teraz siedzi w Kanadzie.

— Kiedy pierwszy raz zdecydował się pan przyjąć do siebie kradziony samochód?



— Pan mnie w nic nie wrobi! — Właściciel warsztatu ironicznie wydał wargi. — Już tamtemu sierżantowi mówiłem, że to nie moje wozy. Klient przywozi gablotę z takim czy innym felerem, a ja muszę doprowadzić ją do porządku. Miałbym nierówno pod sufitem, gdybym kazał każdemu pokazywać akt kupna!

— Ale dowód rejestracyjny powinien pan obejrzeć.

— Cholernie trudno się z panem dogadać — prowokacyjnie westchnął Wogin. — Lepiej już zmienimy temat... Ładną pogodę mamy dzisiaj — uśmiechnął się bezczelnie. — Wiosna idzie...

Stefański na moment zaniemówił z irytacji. Wiedział, że nie może dać się sprowokować. Chciał właśnie powiedzieć coś niecoś ostrzejszego przesłuchiwanemu, ubiegł go jednak Mazurek.

— Co to ma znaczyć, Wogin! — rzucił groźnie do właściciela warsztatu. — Jak wy się odzywacie do oficera milicji?!

Wogin ostentacyjnie wzdrygnął ramionami, ale miny już nie miał tak pewnej. Przez moment spoglądał na funkcjonariuszy z nie tajoną niechęcią, w końcu jednak widać doszedł do wniosku, że lepiej nie przeciągać struny, bo drwiący grymas zniknął z jego twarzy.

— No dobrze Porozmawiajmy spokojnie — mruknął, siląc się na uprzejmość. — Można wiedzieć, o co właściwie panom chodzi?

— Chcielibyśmy, żebyście nam wyjaśnili, czy wiecie, co stało się z właścicielem tej kremowej lady? — Stefański wskazał przez otwarte drzwi kantorka samochód Suciewskiego. — Ten człowiek nie żyje i wcale byśmy się nie zdziwili, gdybyśmy się dowiedzieli, że przyłożyliście rękę do jego śmierci — dodał z naciskiem.

— Ależ, panie władze! — W oczach Wogina po raz pierwszy pojawił się strach. — Ja nie mam zielonego pojęcia o żadnej mokrej robocie!

— Bzdura!

— Jak Boga jedyne go kocham, pierwsze słyszę, że kogoś zaciukali....

— Skąd macie ten wóz? — Teraz znów inicjatywę przejął Mazurek.
Przesłuchiwany przez dłuższą chwilę spoglądał niezdecydowanie na obu oficerów.

— Te trzy gabloty podrzucił mi Fredek Pryszczalkowski z Wesolej — wyznał z rezygnacją.
— Podobno kombinuje z facetem, który potrafi otworzyć każdy wóz. Ale ja tamtego drugiego nigdy na oczy nie widziałem..

— Wiedzieliście, że to kradzione samochody?
— Pryszczalkowski mi nie mówił.
— Nie bądźcie śmieszni! Kto wam w to uwierzy.
— Niech już będzie — ustąpił Wogin. — Ustaliśmy, że on załatwi gabloty, a ja je rozbiore na części albo wyszykuje na giełde.

— Chcieliście przebić numery na silniku i ramie?
— Niby tak..
— Kiedy dostaliście tę ładę?
— Przedwczoraj wieczorem
— Skąd ją wytrzasnął Pryszczalkowski?
— Diabli go wiedzą. — Przesłuchiwany bezradnym gestem rozłożył ręce. — **Ja Fredka nie pytałem.**

— Nie wspominał wam, że musiał przy okazji pchnąć kogoś nożem?
— Broń Boże! — zaprzeczył Wogin żarliwie.
— -gdybym przewidział, że przez tę ładę będzie taka poruta. pogoniłbym Pryszczalkowskiego na zbitą mordę! Za zwykłą paserkę obskoczyłbym trzy, najwyżej cztery lata. a tak...

— Ile was kosztowały te samochody?
Na razie tylko pięćdziesiąt **Kafli**. Resztę pieniędzy obiecałem Fredkowi po opyleniu wozów...

— Znacie adres tego Pryszczalkowskiego?
— Mieszka razem z bratem w takim parterowym, nie otynkowanym domku przy linii kolejowej na Sulejówek. Mogę pokazać..

Oficerowie postanowili skorzystać z propozycji Wogina i nie tracąc czasu zabrali go do radiowozu. Niespełna pół godziny później byli już w Wesolej. Odnalezienie domu Pryszczakowskiego nie sprawiło „przewodnikowi” żadnego kłopotu i oficerowie nie mogli się oprzeć wrażeniu, że właściciel warsztatu

niezadko musiał składać wizyty dostarczycielowi kradzionych samochodów. Sam budynek wyglądał dość niechlujnie. Nie otynkowane ściany, brudne, pokryte łuszczącą się farbą drzwi i wielkie bajoro na środku podwórka świadczyły wymownie, że gospodarze nie troszczyli się zbyt o swą własność.

M

Na wszelki wypadek zaparkowali radiowóz dobrych dwieście metrów dalej i zostawiwszy Wogina pod strażą Pozorskiego ruszyli piechotą w kierunku domu Pryszczakowskich Klnąc na czym świat stoi, przebrnęli przez sięgające kostek błoto i Stefański energicznie zapukał do drzwi Dłuższą chwilę nasłuchiwali uważnie, ale wewnątrz panowała kompletna cisza. Mazurek podszedł do najbliższego okna i zajrzał do wnętrza budynku, nie spostrzegł tam jednak nikogo. Wszystko, niestety, wskazywało na to, że nie zastali żadnego z domowników.

— Diabli nadali! — westchnął Stefański z nie ukrywanym zawodem. — Ptaszek wyfrunął z gniazdką i nie wiadomo, kiedy wróci...

— Trzeba na niego poczekać — zauważył ponuro Mazurek. — W końcu musimy brać pod uwagę, że Alfred Pryszczakowski maczał palce w zabójstwie młodego Suciewskiego.

— Nie mamy żadnej gwarancji, że dziś lub jutro facet zajrzy do chałupy.

— Załatw z szefem, żeby przysłał wywiadców albo chłopaków z miejscowego komisariatu. Niech na niego poczekają.

— Spróbuję, ale to trochę potrwa...

— Ostatecznie godzinę lub dwie mógłbym posiedzieć w tym błocie — zadeklarował się Mazurek. — Tylko niech zmiennik przypadkiem nie nawali, bo umrę z nudów albo reumatyzm mnie pokreści...

Stefański wrócił do radiowozu i Mazurek został sam. Przez kilka minut krążył w pobliżu domu Pryszczakowskich, poczuwszy jednak na policzkach pierwsze krople deszczu doszedł do wniosku, że nie ma to większego sensu i rozejrzał się za jakimś schronieniem. Niespełna pięćdziesiąt metrów dalej, przy nasypie kolejowym, spostrzegł na poły rozwaloną budkę. Bez wahania ruszył w tamtym kierunku. Z bliska budka wyglądała nieco bardziej zachęcająco. Dwie ściany miała w zupełnie dobrym stanie, a co ważniejsze ocalała prawie połowa kryjącego ją dachu. Oficer z ulgą przysiadł na niezbyt wygodnej ławeczce i już po chwili pogratulował sobie pomysłu. Deszcz zamienił się w porządną ulewę, a na niego padały jedynie nieliczne kropie.

Po dwóch godzinach deszcz nieco ustał, ale za to zerwał się ostry wiatr. Mazurek w dalszym ciągu wołał nie wyściubiać nosa z budki. Miejsce, w którym siedział, stanowiło zresztą nie najgorszy punkt obserwacyjny.

Porucznik zerknął, niecierpliwie na zegarek i pomyślał, że traci tylko niepotrzebnie czas. Powoli zaczynał zapadać zmrok, a Pryszczalkowski jak dotąd nie pojawił się w pobliżu swego domu. Co gorsza, wbrew obietnicom Stefańskiego, nikt jakoś nie przyjeżdżał, żeby złuzować oficera.

Mazurek z determinacją sięgnął po ostatniego papierosa i zaczął się właśnie zastanawiać, co dalej począć, kiedy nagle spostrzegł na drodze sylwetkę niewysokiego, barczystego mężczyzny. Tamten wolnym krokiem minął dwa domki i niezdeterminowanie zatrzymał się przed tym, który znajdował się pod obserwacją porucznika. Przez kilka sekund czujnie rozglądał się dookoła i najwyraźniej miał już zamiar skrócić do wejścia, ale w ostatnim momencie coś go powstrzymało. Zaintrygowany porucznik wychylił głowę z budki i natychmiast zrozumiał, co zaniepokoiło mężczyznę. Gdzieś za zakrętem błysnęły reflektory samochodu i rozległ się cichy warkot silnika.

Mężczyzna jak gdyby nigdy nic ruszył dalej jednak po kilku krokach zawiodły go widać nerwy, bo podbiegł do nasypu kolejowego i nie zwracając uwagi na błoto przycupnął za jakimś krzakiem. Tymczasem samochód zatrzymał się i zgasił światła, a w chwilę później wysiadło z niego dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn. Z pokorną obojętnością przeszli kilkanaście metrów, p» czym jeden z nich skręcił w kierunku nasypu.

Tego było już za wiele dla mężczyzny, który wybierał się do domu Pryszczalkowskich Wyskoczył jak z procy ze swojego ukrycia i co sił w nogach zaczął uciekać w stronę budki. Najwyraźniej miał zamiar przebiec przez nasyp. Nie podejrzewał nawet, że ktoś może mu w tym przeszkodzić.

Porucznik nie wahał się ani chwili. Doskonale zdawał sobie sprawę, że trudno byłoby o lepszą okazję do zatrzymania uciekiniera. Odczekał moment

i kiedy tamten mijał budkę, dopadł go w dwóch susach. Jeden zdecydowany ruch i ścięty *x* nóg mężczyzna runął na ziemię. Usiłował jeszcze poderwać się na kolana, ale zanim to uczynił, porucznik trzymał go już od tyłu za ręce.

— Gdzie ci tak spieszo, synku? — Mazurek roześmiał się ironicznie. — Na pociąg i tak nie zdążysz...

— Nikt nie lubi sypiać na dołku — odburknął ponuro pochwycony. — A wizyta władzy zawsze się tym kończy!

— Masz, Pryszczalkowski, cholernie dobrego nosa! — zaryzykował porucznik. — Dzisiaj nie zobaczysz własnego łóżka... Nie powiesz chyba, że cię z kimś pomyliłem? — upewnił się na wszelki wypadek.

— Oczywiście, że nie! — sapnął pierwszy z nadbiegających właśnie milicjantów, których przyjazd skłonił Pryszczalkowskiego do ucieczki.

— To dobrze. — Odetchnął z ulgą Mazurek. — Zabieram go ze sobą — zwrócił się do funkcjonariusza w cywilu. — Musimy sobie porozmawiać o samochodach...

— Samochody, to nie moja specjalność! — obruszył się zatrzymany. — Szkoda byłoby mojej głowy na taką zabawę... A może panowie przyjechaliście po mojego braciszka? — zapytał domyślnie. — Jesteśmy z Fredkiem podobni jak dwie krople wody, ale w kiciu go nie zastąpię...

7

Zaczynało się właśnie ściemniać, kiedy Stępień Doczekawszy się końca ulewy opuścił willę profesora Suciewskiego i wolnym krokiem ruszył w kierunku „Wenecji”. Nie liczył wprawdzie, że już za pierwszym razem uda mu się sprawdzić prawdziwość informacji o rzekomym handlu dolarami uprawianym przez zabitego, ale chciał poznać atmosferę miejsca, w którym bywał często Jerzy Suciewski. Nie czekając na tramwaj pomaszerował przed siebie. Po kwadransie dotarł do kawiarni. Miał właśnie zamiar wejść do środka, kiedy w drzwiach stanął oko w oko z dopiero co poznaną Nowakowską.

— Co za spotkanie? — Roześmiała się wesoło na widok kapitana. — Czyżby wujaszek dał panu wychodne?

— Przez cały czas mówił tylko o pogrzebie Jurka — westchnął oficer. — Nie mogłem już wytrzymać...

— I w poszukiwaniu przygód wybrał się pan na spacer?

— Dobry duch podszeptał mi, że spotkam tu panią!

— Wpadłam panu w oko? — Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Jeszcze jak! — przytaknął skwapliwie. — Teraz już się nie dziwię, dlaczego moi koledzy z wybrzeża jeżdżą po dziewczyny do Warszawy.

— A my nie możemy odżałować, że wilki morskie mają takie powodzenie w stolicy — wtrącił się stojący za Nowakowską wysoki szatyn. — Zwracacie w głowach naszym paniom, rozpieszczacie je, a potem porzucacie dla swojego morza!

— Poznajcie się! — skwapliwie zaproponowała dziewczyna. — To jest kuzyn profesora — przedstawiła kapitana — a to mój chłopak...

— Stefan Rosiecki...

— Andrzej Stępień...

— Myślę, że nową znajomość wypadałoby oblać.

— Bez tego chyba się nie obejdzie!

— Innymi słowy, zabieramy pana do Wesołej! — zdecydowała Nowakowska — Nasz przyjaciel, Mirek Lewicki, organizuje tam spotkanie towarzyskie Trochę pogadamy, trochę wypijemy...

— Nie będę przeszkadzał?

— Ależ skąd! Kupi pan pół litra, jako wpisowe, i po krzyku.

— Skoro tak, to chętnie pojedę!

Mężczyźni kupili alkohol i nie minęło nawet pół godziny, kiedy cała trójka siedziała już w cytrynowym volkswagenie Rosieckiego. Właściciel uruchomił silnik i wprawną ręką poprowadził samochód w kierunku najbliższego mostu przez Wisłę.

— Jak długo zabawi pan w Warszawie? — zagadnęła oficera Nowakowska, uśmiechając się kokieteryjnie. — Mam nadzieję, że nas pan tak szybko nie opuści?

— Jeśli wujaszek załatwi mi pracę w Centrum, to może zostanie na stałe.

— Jest pan elektronikiem?

— Owszem, zapewniam jednak panią, że nie ma w tym zawodzie niczego pasjonującego. — Stępień uznał, że lepiej nie rozwijać tematu. — Człowiek prawie przez cały czas ma do czynienia z cyframi i tylko liczy je z lewej na prawo i z powrotem...

— Ależ to okropne!
— Przede wszystkim beznadziejnie nudne. Całe szczęście, że istnieją i inne sposoby zdobywania pieniędzy.
— Ciarki mnie przechodzą, kiedy pomyślę, że może kiedyś będę musiała wziąć się za jakąś robotę.
— Piękne kobiety zostały chyba stworzone do bardziej wzniosłych celów!
— Miły jesteś. — Niespodziewanie przeszła na ty. — Szkoda, że nie wszyscy mężczyźni rozumują w ten sposób.
— Na głupotę nie ma lekarstwa — zauważył sentencjonalnie kapitan. — Ale między nami mówiąc, to nie chce mi się wierzyć, żeby jakikolwiek facet pozostał nieczuły na twoje wdzięki. Ludeczko!
— Andrzeju, nie podrywaj mi dziewczyny! — zażartował Rosiecki, który podobnie jak Nowakowska zwracał się już do oficera po imieniu — Fakt, że z Ludki klasa babka, lepiej jednak, żeby nikt poza mną jej o tym nie mówił!
— Zazdrosny tyran! - prychnęła Nowakowska, wydymając wargi w zabawnym grymasie — Ledwo usłyszę od kogoś miłe słówko, zaraz się wtrąca!
Lewicki mieszkał w eleganckiej, choć położonej nieco na uboczu, willi. Kilka zaparkowanych tuż obok samochodów zachodnich marek' świadczyło wymownie o zamożności zbierającego się tutaj towarzystwa. Stępień miał szczerą ochotę obejrzeć nieco dokładniej najbliższe otoczenie willi i szukał właśnie odpowiedniego pretekstu, ale Rosiecki zatrzymał swego volkswagena przed samym wejściem. Co gorsza z zachmurzonego nieba ponownie zaczęły padać krople deszczu. Przestraszona tym najwyraźniej dziewczyna z piskiem wyskoczyła z samochodu i przez nie domknięte drzwi bezceremonialnie wbiegła do przedpokoju. Chcąc nie chcąc kapitan ruszył za nią, odkładając zaplanowany rekonesans na- później, zwłaszcza że i Rosiecki nie zdradzał ochoty, by pozostawać dłużej na dworze.
Gospodarz okazał się niskim, nienaturalnie otyłym mężczyzną o nieco posiwiałych skroniach i szerokiej, błyszczącej potem twarzy. Raz po raz wyglądając wypuszczoną na spodnie haftowaną

koszulę wylewnie powitał przybyłych i na samym wstępie zmusił każdego do przyjęcia pękatej szklanicy z jakimś mocnym koktajlem.

— Jedzenie to nie zbawienie, picie to jest życie! — wyrecytował z emfazą, jak gdyby wygłaszał myśl filozoficzną, a nie pijackie zawołanie. — Pijesz, znaczy żeś porządny człowiek, nie pijesz., to idź do diabła!

Oficer posłusznie wysączył połowę zawartości szklanki i z ciekawością ruszył za Lewickim w głąb willi, skąd dobiegały ostre dźwięki nagranych na taśmę magnetofonową przeboju. Weszli do obszernego, jaskrawo oświetlonego pomieszczenia Zgromadzone tu sprzęty, choć w większości stylowe i starannie dobrane, nie były w najlepszym stanie, za to porozstawiane wszędzie butelki o różnych kształtach i etykietach wskazywały jednoznacznie, że alkoholu w tym domu nigdy nie brakowało

— Chodź, pokażę ci kto jest kto. — Koło Stępnia pojawiła się znowu Nowakowska. — Przekonasz

się, że trudno o bardziej zwariowaną menażerią.

— Zwłaszcza gospodarz wygląda, jak gdyby dopiero wrócił z cyrku — zauważył cierpko kapitan.

— Te koszule podobno wyszczuplają — konfidencjonalnie ściszyła głos. — Mirek ma dobrze ponad cztery dychy na karku, a nosi się jak młodzieżowiec!

— Skoro go na to stać..

— Stary zostawił mu w spadku dwa hektary pod szkłem. Mirek najął ogrodnika z prawdziwego zdarzenia, który rządzi całym interesem, a sam goli wódę albo ugania się za dziewczynami. Wprawdzie okropny z niego pokraka, ale dzięki swojej forsie bez trudu znajduje sobie sympatie. Spójrz tam — wskazała oficerowi stojącą przy oknie wysoką brunetkę w obcisłym sweterku i džinsach. — Aśka Malina była striptizerka. Głupek obsypuje ją złotem więc czasem pozwala mu na to i owo...

— A ten stojący obok Aśki gladiator?

— Adam Zabawiec. Jak widzisz, podoba się dziewczynom, bo wygląda niczym bokser wagi ciężkiej. Ale to nieciekawy typ Nawet nie wiem, z

czego żyje. Kiedyś przytaszczyła go do nas Monika
Witwicką i jakoś się przylepił
— Twój chłopak gada z jakimiś dwoma face-
tami w wieku Lewickiego...

— Wielki duet braci Zatwarskich! —
Nowakowska parsknęła nieco przyduszonym śmiechem. — Blacharstwo i lakiernictwo samochodowe. poniekąd konkurencja ojca Stefana.. Zony zostawili w domu, a tu jak zwykle przyjechali z małolatka-mi — lekceważąco skinęła głową w kierunku dwóch siedzących na niskiej kanapce dziewczyn w niezbyt modnych sukienkach. — Skądinąd cholernie skąpi goście.
— Została nam jeszcze trójka przy barku...
— Tej wiewiórki w zielonej kiecce nigdy przedtem nie widziałam — przyznała z nie ukrywanym żalem — Pewno ściągnął ją Leszek Maliszewski, chociaż diabli wiedzą..
— To pewno ten niższy blondyn w aksamitnej marynarce?
— Zgadza się.
— A tamten trochę wyższy, w golfie?
— Włodek Malina, brat Aśki Fajny facet, a poza tym gdybyś chciał kupić albo sprzedać trochę zielonych to cię ucziwie załatwi.
— Cenna znajomość.
— No myślę! — porozumiewawczo przymrużyła oko. — Dla ludzi z Wybrzeża. Tylko nie siadaj z nim do pokera — dodała ostrzegawczo — Ma niesamowity fart i już niejednego puścił z torbami.
— Ja też nie jestem ostatni!
— Jak chcesz, żebyś jednak później nie żałował..
— Oplotkowałaś całe towarzystwo? —
Rosieckiego najwyraźniej znudziła rozmowa z właścicielami warsztatu samochodowego, bo zostawiwszy ich podszedł do Stępnia i Nowakowskiej. — Znam ciebie i jestem pewien, że każdemu przypięłaś jakąś łatkę.

81

— Z wyjątkiem Moniki — Odparła zaczepnie.
przystanek

— Szkoda, że nikt jej tu dzisiaj nie przywiózł.
Przynajmniej rozerwałaby się trochę dziewczyna...

— W czym problem? Mógłbyś przecież jeszcze po nią pojechać.

— Jestem po kilku wódkach...

— A co to ma do rzeczy? — Niecierpliwie wzruszyła ramionami — Pamiętam, jak kiedyś prowadziłeś wóz, nie będąc w stanie utrzymać się na nogach!

No dobrze! — Rosiecki ustąpił nadspodziewanie łatwo. Powiem Mirkowi, żeby uprzedził Monikę telefonicznie, i już jadę.

— Życzę powodzenia — dorzucił kapitan. Ale wątpię, czy po tym, co przeszła, da się namówić.

— Lepiej nie kracz! — fuknęła Nowakowska — Stefan byłby niepocieszony, gdyby choć raz w życiu oparła mu się jakaś dziewczyna...

—
ie, że ją przywiozę!
buńczucznie Rosiecki.

Zobaczyc
zapewnił

Przyjaciel Nowakowskiej ruszył do wyjścia, a Stępień, widząc, że dziewczyna wysączyła już swoją szklanke, bez namysłu sięgnął po stojącą w pobliżu butelkę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nic tak skutecznie nie rozwiązuje języków jak alkohol, i postanowił wykorzystać chwilową nieobecność Rosieckiego do zdobycia kolejnych informacji o zebranych towarzystwie. Butelka zawierała nie najgorszą gatunkowo whisky i Nowakowska przyklasnęła z aplauzem inicjatywie kapitana. Podnosiła właśnie szklanke do ust.. kiedy spod okna dobiegł ich podniesiony głos Zabawca.

- Czuję się. Asiu, jak na zebraniu emerytów.
Rozruszaj ich na miłość boską, dziewczyno, bo w końcu wszyscy pomrzemy z nudów!

Malina bez słowa wyszła na środek pokoju i w takt płynącej z magnetofonu melodii zaczęła prowokująco kołysać biodrami. Moment później kilka wystudiowanych ruchów sprawiło, że sweterek i dżinsy znalazły się na podłodze. Zebrani umilkli jak na komendę. Wprawdzie kobiety przyjęły początek striptizu bez większego zainteresowania, ale

mężczyźni przyglądali się zgrabnej dziewczynie z wyraźną przyjemnością

— Zapraszam do zabawy! — Przeciągnęła się jak kotka. — Nie bądźcie tacy cnotliwi!

Któryś z mężczyzn z aplauzem klasnął w dłonie, rudowłosa dziewczyna w zielonej sukience zachichotała frywolnie, ruszając w ślad za Maliną na środek pokoju.

Nie przewidujący takiego obrotu rzeczy Stępień zerknął, niepewnie na Nowakowską. Ta odstawiła trzymaną w rękę szklankę i niespodziewanie objawszy go za szyję mocno pocałowała w usta.

— Może być fajnie, zanim Stefan wróci z Moniką — szepnęła z niedwuznacznym uśmiechem.

Kapitan stracił na moment rezon.

- Może się przejdziemy? — zaproponował nieśmiało. — Deszcz chyba już przestał padać...

Najwyraźniej miała ochotę rzucić coś uszczypliwego pod jego adresem, ale machnęła tylko ręką i nadąsana ruszyła do przedpokoju. Stępień odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że nie będzie musiał brać udziału w rozpoczynającej się właśnie orgietce.

Na dworze faktycznie przestało padać, temperatura spadła jednak w okolice zera, co odczuł nawet ubrany w ciepłą kurtkę i zahartowany kapitan. Raz po raz spoglądał ze współczuciem na modny, ale wiatrem podszyty, płaszczyk Nowakowskiej, wyrzucając sobie, że nocny spacer może się dla niej skończyć przeziębieniem. Zastanawiał się właśnie, jak udobruchać urażoną dziewczynę, kiedy drogę zastąpiło im dwóch barczystych, dwudziestoparoletnich chłopaków.

— Zmiataj, frajer, do chałupy! — lekceważąco rzucił pierwszy z nich do oficera. — Szkoda twojej gębusi, a my i tak wygarbujemy skórę tej dziwce.

— Monikę też prędzej czy później któryś z nas mojką przeciągnie — dodał drugi pozornie bez związku. — Będą wiedziały, że braci Morczyków nikt bezkarnie w trąbę nie puszcza!

Pierwszy z napastników błyskawicznym ruchem odpiął szeroki, skórzany pas zakończony masywną klamrą i zakręcił nim ostrzegawczego młynka tuż nad głową Stępnia.

— Zjeżdżaj stąd, bo i ty oberwiesz! — wychrypiał groźnie. — Ile razy mam ci to, baranie, powtarzać?!

Klamra ponownie przemknęła nad głową kapitana, ale ten nie czekał już, aż Morczyk zakreśli trzeciego młynka. Precyzyjnie wymierzył mu potężnego kopniaka w podbrzusze i chwyciwszy go za przegub zdecydowanie pociągnął ku sobie. Półobrót i rzut wykonał niczym podczas ćwiczeń z samoobrony, a głuchy jęk padającego na ziemię chłopaka świadczył wymownie że w najbliższym czasie nie będzie on już w stanie zrealizować swojej groźby.

Kapitan pomyślał z satysfakcją, że długie godziny treningów nie poszły na marne. Miał właśnie zamiar zająć się drugim z braci Morczyków, kiedy nagle zrobiło mu się jasno przed oczami i poczuł tępy ból w okolicy lewego Ucha. Stracił równowagę i runął jak długi w głęboką kałużę. Bardziej odruchowo niż świadomie przyłgnął do błotnistej mazi i niczym na zwolnionym filmie spostrzegł but napastnika mijający dosłownie o milimetry jego głowę. Tamten zachwiał się i Stepień zdał sobie sprawę, że jest to jedyna szansa. Ostatkiem sił sięgnął obcasem kolana Morczyka. Kopnięcie było słabe i dość nieporadne, na szczęście jednak wystarczyło, by i przeciwnik przewrócił się na ziemię.

Chłopak poderwał się pierwszy i z furją ruszył na leżącego jeszcze oficera.

— Zakatrupię cię, draniu! — ryknął z wściekłością, wyciągając zza pazuchy nóż. — Powąchasz sobie trawkę od spodu!

Stepień podniósł się z ziemi i zrobił krok w kierunku napastnika. Chłopak machnął nożem, jak gdyby chciał nim pchnąć kapitana, ale tym razem oficer był zdecydowanie szybszy. Z całej siły uderzył kantem dłoni w nadgarstek Morczyka. Ten zawył z bólu i wypuszczając nóż z ręki cofnął się do tyłu. Sekundę później wymierzony przez Stepnia precyzyjny cios w szczękę powalił chłopaka na ziemię.

— Idziemy! — zdecydował Stepień, odwracając się do Nowakowskiej. — Starczy już wrażeń na dzisiaj.

Bez słowa ruszyła za nim w kierunku Willi Lewickiego. Była bardzo poruszona tym, co zaszło, ale przez całą drogę wołała zachować milczenie. Dopiero kiedy znaleźli się pod drzwiami, objęła kapitana za szyję i kilka razy pocałowała w policzki.

— Silny jesteś! — szepnęła z nie ukrywanym podziwem. — Nie wiem, co oni by ze mną zrobili, gdyby nie ty... Dziękuję ci...

— Nie przejmuj się, mała — zbagatelizował sprawę — Takim typom czasami coś odbija!

Weszli do przedpokoju. Nowakowska chciała ponownie pocałować oficera, spojrzawszy jednak na niego parsknęła nagle niepohamowanym śmiechem.

— Jak ty wyglądasz?! — Wskazała wymownie na jego spodnie i kurtkę. — Jeszcze nie widziałam kogoś tak unurzanego w błocie!

— Rzeczywiście — przyznał z zażenowaniem. — Łachy kwalifikują się do wyrzucenia.

— Raczej do prania — sprostowała pocieszająco. — Poczekaj chwilę, zaraz coś wymyślę...

Stepień posłusznie dał się zaprowadzić do kuchni i ściągnawszy zabłocone ubranie bez protestu oddał je dziewczynie. Obiecała, że wróci za kilka minut, i zostawiła kapitana samego.

Nie minął nawet kwadrans, kiedy do kuchni wkroczył Lewicki. Miał na sobie luźny, pstrokaty szlafrok, ale za to przyniósł jakiś sweter i znoszone dżinsy.

— Myślę, że powinny na ciebie pasować — oznajmił z nadzieją w głosie. — Brat Aśki ma podobną figurę... Zresztą, radzę ci, zostaw te ciuchy i chodź do nas. Tylko pospiesz się, bo zabawa już się rozkręciła.

Lewicki zachichotał i nie czekając na odpowiedź wybiegł z kuchni. Kapitan sięgnął po spodnie. Mówiąc szczerze był z siebie bardzo niezadowolony. Na udział w orgii zupełnie nie miał ochoty, a wyglądało na to, że w przeciwnym wypadku straci szansę na nawiązanie bliższych kontaktów ze znajomymi Jerzego Suciewskiego.

— Cholerni erotomani! — zaklął ze złością. — A swoją drogą ciekawe, co by powiedział mój szef, gdyby ktoś mu kazał świecić gołym tyłkiem w tym zwariowanym towarzystwie!

Załóżył sweter, wyszedł do przedpokoju i przystanął niezdecydowany przed drzwiami, zza których dochodziły śmiechy i wulgarne pokrzykiwania. Nie widząc innego wyjścia miał już zajrzeć do środka, kiedy drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich Witwicka. Na jej twarzy malowała się furia. Spostrzegłszy oficera dziewczyna jak gdyby się zawahała, ale prawie natychmiast chwyciła go kurczowo za rękę.

— Ty jesteś kuzynem profesora — raczej stwierdziła, niż zapytała.

— Owszem — przytaknął skwapliwie. — Przywiozła mnie tu Ludka..

— Zabierz mnie do domu! — zażądała z determinacją. — Zabierz mnie od tego bydła! Dla nich nie ma świętości... Dla nich nic się nie liczy...

— Jedziemy! — Stepień nie zastanawia! się ani przez moment. — Chyba zdążymy jeszcze na pociąg.. A swoją drogą kanalia z tego Rosieckiego!

— Zabrałam mu kluczyki od wozu. Umiesz prowadzić?

— Oczywiście. Wprawdzie trochę piłem, ale już dawno...

8

Zrozumcie wreszcie, Pryszczalkowski, że wasz upór na nic się nie zda — tłumaczył cierpliwie Mazurek. Prędzej czy później Fredek i tak trafi za kratki, a wy zupełnie niepotrzebnie możecie napytać sobie biedy.

— Do kogo ta mowa? — Zatrzymany kolejny już raz beznamiętnie wzruszył ramionami. — Władza wie swoje, a ja swoje. Szukacie Fredka, więc wam krzyżyk na drogę. Choćbyście jednak na głowach stanęli, ja braciaka nie sypnę...

— Mielście przy sobie fałszywe dolary

— Znalazłem je kwadrans przed tym, jak mnie pan dorwał.

— Gdzie?

— Powiedzmy, że na drodze — przesłuchiwany uśmiechnął się bezczelnie. — A może w rowie? Zresztą, czy to takie ważne?

— Dwa i pół roku siedzieliście za rozpowszechnianie portretów Jerzego Waszyngtona własnoręcznej produkcji!

— Skoro mnie wypuścili, znaczy, że jestem zresocjalizowany — oświadczył Pryszczalkowski z emfazą. — Jak pan władza nie wierzy, to proszę zajrzeć do moich papierów. Ze świecą można szukać bardziej zdyscyplinowanego więźnia

— Wasza sprawa — zrezygnował porucznik — A o tych fałszywych dolarach porozmawiają z wami koledzy z innej sekcji...

Oficer odprowadził zatrzymanego do aresztu i wracał właśnie do siebie, kiedy na korytarzu natknął się na Stefańskiego

— Poszkapieś sprawę! — Tamten nie mógł się powstrzymać od uszczypliwej uwagi. — Złapałeś nie tego Pryszczalkowskiego, co trzeba...

— Krytykować każdy potrafi — mruknął niechętnie porucznik, gdy chwilę później znaleźli się w pokoju Stefańskiego. — Wielka szkoda, że to nie ty sterczałeś przez cały wieczór na deszczu. Nie byłbyś teraz taki mądry

— Dobrze wiesz, że miałem inną robotę.

— Robiłeś oględziny łady Suciewskiego?

— Trwało to do drugiej w nocy.

— Chociaż ze skutkiem?

— Wyobraź sobie, że na tylnym siedzeniu znaleźliśmy ślady krwi. Eksperci twierdzą, że jest to krew tej samej grupy co denata

— Innymi słowy chłopaka zabito w samochodzie?

— Chyba raczej ktoś przewoził wozem zwłoki — sprostował Stefański — Z samego rana skontaktowałem się z Zakładem Medycyny Sądowej. Lekarz, który robił sekcję młodemu Suciewskiemu, bardzo kręci nosem na koncepcję zabójstwa w samochodzie. Jego zdaniem sprawca musiał zadać cios od tyłu, prawie pod kątem prostym, tyle że nieco z dołu...

— Tak czy inaczej trzeba znaleźć Fredka Pryszczalkowskiego, a na to w najbliższym czasie się nie zanosi.

— Z braciszka nic nie wydusiłeś?
— Niestety.
— Znaczący, że cała nadzieja w Pozorskim?
— On też z pustego nie naleje.
— Ale może znajdzie coś w kartotekach.
— Na razie poczęstowałbyś mnie herbatą —
poprosił Mazurek przymilnie. — Prawdę
powiedziawszy nie zdążyłem jeszcze zjeść
śniadania...

Stefański sięgnął do szuflady biurka po sporą
blaszaną puszkę i rozglądał się właśnie za szklan-
kami, kiedy do pokoju wkroczył chorąży. Był w nie
najlepszym humorze, co świadczyło wymownie, że
nie przynosi żadnych rewelacyjnych wiadomości.

— Diabli nadali z tym Fredkiem
Pryszczałkowskim — rzucił ze złością na samym
wstępie. — Wiemy o nim tyle, co kot napłakał!
— Widocznie facet nie lubi rozgłosu — zauwa-
żył cierpko Mazurek.

— Jakbyś zgadł! — przytaknął Pozorski. —
Prawie nie notowany. Ma na koncie tylko jeden
wyrok za przywłaszczenie fiata i bardzo sprytnie
wywinął się z dewizowej sprawy swojego
braciszka...

— Sam ukradł tamten samochód?
— Pomagał mu szatniarz z „Wenecji”, niejaki
Rysiek Nowacki.

— Młody Suciewski też bywali w „Wenecji”...
— To jeszcze o niczym nie świadczy — wtrącił
Stefański. — Sprawdźcie, oczywiście, Nowackiego,
ale i tak będę musiał załatwić z szefem, żeby patrol
rozejrzały się za Pryszczałkowskim. Mam nadzieję,
że znajdziemy jakieś w miarę aktualne zdjęcie

Mazurek zrezygnował z herbaty i razem z
Pozorskim ruszył do wyjścia. Niespełna dwadzieścia
minut później zaparkowali radiowóz w pobliżu
„Wenecji”. W kawiarni było prawie pusto i nie-
wysoki, pucołowaty szatniarz powitał ich z przesadną
grzecznością. Milicyjne legitymacje stropiły go
wprawdzie wyraźnie, usłyszawszy jednak, o kogo
chodzi funkcjonariuszom, natychmiast odzyskał
rezon.

— Ryśka wyrzucili jakieś dwa miesiące temu — wyjaśnił z zadowoleniem. — Teraz urzęduję tu na zmianę ze szwagrem.

— Co przeskrobał Nowacki? — zainteresował się Mazurek.

— Urznął się jak świnia i skłął od ostatnich jednego z gości. Miał pecha, bo facet był jakąś szycią z urzędu dzielnicowego.

— Poprzednik pańskiego szwagra często pijał podczas pracy? —

— Ściśle rzecz biorąc, to on prawie nie trzeźwiał.

— Nie wie pan przypadkiem, gdzie mieszka obecnie Nowacki?

— Na Wrzecionie...

— A tego mężczyznę pan zna? — Porucznik wyciągnął z kieszeni zdjęcie Jerzego Suciewskiego. — On tu podobno często bywał...

— Faktycznie, nieobca gęba — przyznał szatniarz, choć bez specjalnego przekonania. — Ale kto on zacz, tego panu nie powiem. Jakoś nie wpadł mi w oko.

— Szkoda...

— Pan władza zostawi fotkę. Jak gościa przyniesie, to dam cynk.

— Myślę, że poradzimy sobie inaczej — odparł wymijająco oficer. — Zresztą, prawdę powiedziawszy, bardziej zależy nam na kimś innym.

— Na kim?

— Na Fredku Pryszczalkowskim.

— Widziałem go w sobotę — ożywił się szatniarz. — Chociaż zaraz — z wyraźnym zakłopotaniem podrapał się w głowę. — Chyba jednak było to w czwartek...

— Przyszedł sam?

— Owszem, ale później siedział przy stoliku razem z takim świńskim blondynem o posturze Tarzana.

— Nie wie pan, co to za jeden?

— Widziałem go pierwszy raz w życiu.

— Czyli nie bywał przedtem w „Wenecji”?

— Szczerze wątpię. Takiego trudno nie zauważyć...

Nowoczesny blok przy ulicy Wrzeciono sprawiał z zewnątrz dość przyjemne wrażenie. Niestety klatka schodowa nie wyglądała już tak zachęcająco, a nieczynna winda skutecznie popsowała im humory. Klnąc dozorcę i konserwatorów wdrapali się na ostatnie piętro. Mazurek z mieszanymi uczuciami nacisnął dzwonek. Na szczęście Nowacki był akurat u siebie.

—Panowie w jakiej sprawie? - Zmierzył funkcjonariuszy niechętnym spojrzeniem.

—Mamy interes do Fredka Pryszczalkowskiego — odparł porucznik, wchodząc bez zaproszenia do przedpokoju. — To wasz dobry znajomy, więc jesteśmy

—Nie widziałem chłopaka od pół roku — potrząsnął głową gospodarz. — A zresztą on tutaj nigdy nie przychodził.

—Kiedyś jednak kochaliście się jak bracia — zakpił Pozorski. — Nawet wspólny wyrok wam się trafił.

— Stare dzieje!

— Historia lubi się powtarzać...

— Czyżby Fredek znów coś przeskrobał?

—Powiedźcie, gdzie go szukać, to chętnie zapokoję waszą ciekawość — obiecał Mazurek. — Więc jak, umowa stoi?

— Kiedy ja nie mam z nim żadnego kontaktu.

— Trudno w to uwierzyć — uśmiechnął się porucznik. — Tacy z was byli przyjaciele i raptem nic o nim nie wiecie.

—Przyjaciele, przyjaciele — z nagłą złością wybuchnął gospodarz. — Bodażby łobuza szlag trafił! Niedawno miałem przez bydlaka kłopoty, a i teraz widzę, że znowu zaczyna się polka...

— Po co więc nadstawiacie za niego skórę?

— A da mi pan spokój, jeśli go przypuszczam?
— Czemu nie?
— Ja o Fredku właściwie nic nie wiem — przezornie zastrzegł się Nowacki. — Ale Anka niejedno mogłaby o nim powiedzieć...
— Jaka Anka?
— Moja siostra. Przez kilka miesięcy chodzili ze sobą.
— Jesteście pewni, że będzie chciała z nami gadać?
— Ona? Jasne! Jest na niego cięta.
— Gdzie znajdziemy waszą siostrę?
— W ogóle to mieszka na Stołecznej, ale teraz pewno siedzi u nowego kochasia.
— Kto to taki?
— Włodek Malina. Cholernie dziany facet Ma willę na Saskiej Kępie.
Mazurek skinął głową na pożegnanie i miał właśnie zamiar ruszyć do wyjścia, ale zatrzymał go jeszcze chorąży.
— Pokaż mu fotografię Suciewskiego — zaproponował. — Do niedawna pracował w „Wenecji”, mógł więc zapamiętać chłopaka.
Mazurek bez słowa wyciągnął zdjęcie i podał je Nowackiemu. Tamten przez kilka sekund przyglądał się bacznie fotografii, w końcu jednak bezradnie rozłożył ręce.
— Nie pamiętam — westchnął z żalem. — Niby twarz nie jest mi obca, ale czy gość bywał w „Wenecji” tego panu nie przysięgnę.
— Może widzieliście go kiedyś w towarzystwie Fredka Pryszczalkowskiego? — podpowiedział Pozorski
— Niewykluczone zawahał się gospodarz. — Chociaż diabli wiedza
Dochodziła piętnasta, kiedy zatrzymali radiowóz przed starą niepozornie wyglądającą willą przy Berezyńskiej. Przez dłuższą chwilę chorąży naciskał dzwonek, nim cichy brzęczyk oznajmił funkcjonariuszom, że mogą otworzyć furtkę i wejść na teren posesji. W drzwiach willi powitała ich rudowłosa dziewczyna otulona w gruby, męski szlafrok Spocona, nie umalowana twarz i potargane

włosy świadczyły wymownie, że właśnie musiała wstać z łóżka.

Pani Anna Nowacka? - domyślił się Pozorski

— Owszem — ziewnęła ostentacyjnie nie zasłaniając ust. — Panowie przyjechaliście, żeby mnie o tym poinformować?

— Mamy do pani kilka pytań — rzucił ostro Mazurek — Możemy porozmawiać tutaj albo w komendzie. Jak pani wygodniej

— Po co jechać do komendy? — bąknęła pojednawczo. — Pozwólcie, panowie, do środka.

Zapraszającym gestem otworzyła drzwi i wpuściła ich do przedpokoju. Spodziewali się jeśli nie luksusowego, to przynajmniej dostatniego wyposażenia, tymczasem wewnątrz było niezwykle ciemne i brudne

— Włodek mieszka tu dopiero od miesiąca — wyjaśniła widząc zdziwione miny funkcjonariuszy.

— Nie było czasu, żeby doprowadzić wszystko do porządku...

— Zwłaszcza że po nocach się hula i w dzień trzeba to odespać? — zakpił porucznik, wskazując wymownie na szlafrok Nowackiej.

— Trudno żyć jak w zakonie! — odparła z lekką urazą — Znajomy urządził wczoraj prywatkę i zabawa potrwała do rana.

— Można wiedzieć, gdzie było to przyjęcie?

— W Wesolej, u Mirka Lewickiego

— Fredek Pryszczalkowski też tam był?

— Ten głupi cham? — pogardliwie wydeła wargi.

— Wyrzuciliby go na zbity pysk, gdyby się tylko pokazał!

— Kiedyś jednak pozostawała z nim pani w bardzo bliskich stosunkach — wtrącił uszczypliwie Pozorski.

— Kiedyś znałam wielu mężczyzn — stwierdziła z prowokującą szczerością. — Ale teraz tacy jak Fredek mnie nie interesują.

— Teraz ma pani bogatego przyjaciela.

Prawdę powiedziawszy dopiero go poznałam.

— A Fredka już pani nie widuje?

— Wypytujecie, panowie, jak gdyby Pryszczalkowski zdrowo narozrabiał — Po prostu mamy do niego interes — wyjaśnił oględnie Mazurek. — Może pomogłaby nam pani go odszukać?

— Czemu nie? — Po twarzy dziewczyny przemknął złośliwy uśmiech. — Urządził mnie bydlak na cacy, więc wypadałoby mu się odwdziżyć...

— W domu go nie zastaliśmy

— Jasna sprawa — ze zrozumieniem skinęła głową. — Jeśli czuje pismo nosem, to pewno zamelinował się u któregoś z koleśków.

— Jak pani myśli, u którego?

— Najprędzej u Mietka Zatwaruchy albo u Zenka Boncara.

— To on ich zna?

— Ma się rozumieć! Kiedyś nie było tygodnia, żeby nie ucieli sobie zakrapianego pokerka.

— Jasna cholera! — zaklął porucznik. — Teraz rozumiem, dlaczego Pryszczalkowski zniknął! Przecież w niedzielę byliśmy u Boncara. To on musiał ostrzec Fredka, że się nim interesujemy.

— Jeśli drań prysnął z Warszawy, to szukaj wiatru w polu — westchnęła Nowacka z wyraźnym zawodem. — Szkoda...

— Myślę, że go znajdziemy — mruknął Mazurek. — Proszę się nie martwić. Ale zaraz! — przypomniał sobie nagle. — Pani zdaje się była w sobotę u Zatwaruchy?

— Skąd pan wie? — przyznała zaskoczona. — Owszem, poszłam zobaczyć starych znajomych, a że akurat trafiłam na bibke..

— Malina nie miał nic przeciwko temu?

— Załatwiał u siebie jakieś interesy i dał mi wychodne...

— Pryszczalkowski się tam nie pokazał?

— O ile pamiętam, byli tylko Boncar, Zabawiec i Siwucha.

— Popiliście?

— Jeszcze jak! Jedynie Adam jako tako trzymał się na nogach. Ja przed jedenastą byłam już

Przystanek

7ugotowana i gdyby nie on, nie doszłabym nawet do
kałapki.

— Mniejsza o to — zbagatelizował sprawę
Mazurek. — W końcu co za różnica, kto z kim pije i
dlaczego...

— Życiowy z pana facet!

— Zaraz damy pani spokój — stwierdził po-
rucznik. — Niech pani jeszcze tylko obejrzy foto-
grafię tego chłopca. — Bez specjalnej nadziei ko-
lejny już dzisiaj raz wyciągnął zdjęcie Jerzego
Suciewskiego. — Widziała go pani kiedyś?

— Pewno, że tak! — ucieszyła się dziewczyna.

— To znajomy Włodka W zeszłym tygodniu na-
mawiał mnie nawet na wycieczkę za miasto. Mie-
liśmy pojechać we czwórkę, z jego dziewczyną i z
Leszkiem Maliszewskim.

— Do wycieczki nie doszło

— Malina mi nie pozwolił. Czasami jest trochę
zazdrosny...

— Rozmawiała pani później z Suciewskim?

— Jakoś nie było okazji.

— O której wraca pani przyjaciel? — zmienił
temat oficer.

— Diabli wiedzą — bezradnie rozłożyła ręce.
Może za godzinę, a może dopiero jutro rano... Coś
mu przekazać?

— Nie. Myślę, że nie będzie mi już potrzebny —
skłamał Mazurek.

— Chwała Bogu! — odetchnęła z wyraźną ulgą.

— Pan wie, jakie są chłopcy. Miałabym się z pyszna,
gdyby mu pan nadał o mojej znajomości z
Pryszczalkowskim...

Zatwarucha zajmował połowę parterowego, dość
niechlujnie wyglądającego domku przy ulicy
Sobockiej. Dawno już minęła osiemnasta i w sąsied-
nich oknach paliły się światła. Na pierwszy rzut oka
wyglądało, że gospodarza nie ma w domu, ale me
zrażeni tym funkcjonariusze zaparkowali radiowóz i
ruszyli do wejścia. Pozorski miał właśnie zamiar
zapukać, w ostatniej jednak chwili porucznik
powstrzymał go znaczącym gestem.

— Lepiej zobaczy- od tyłu — zaproponował kole-
ledze. — Z takimi nygusami nigdy nic nie wiadomo...

Choraży skinął potakująco głową i funkcyjona-
riusze nie bacząc na błoto pomaszzerowali dookoła
budynku. Jak gdyby na potwierdzenie słów oficera
przez jedno, nie dość dokładnie zasłonięte od
wewnątrz okno sączyła się smuga światła. Mazurek
spróbował zerknąć do środka, ale szpara w zasłonie
była zbyt wysoko.

— Sam nie dam rady! — rzucił szeptem do
Pozorskiego. — Podsadz!

Choraży stękając z wysiłku spełnił prośbę kolegi
i porucznik zajął do niewielkiego, zastawionego
tandetnymi meblami pokoiku. W rogu klęczał na
podłodze jakiś tęgi, szpakowaty mężczyzna. Oficer
domyślił się, że jest to sam Zatwarucha, i chcąc
zobaczyć, co tamten robi, przybliżył twarz do szyby.
W tym momencie podtrzymujący go Pozorski stracił
nagle równowagę i obaj wylądowali na ziemi.

— Bodajby cię! — Mazurek, niezgrabnie
gramolił się z błota. — Teraz moja stara nie wpuści
mnie do domu! — Wymownym gestem wskazał na
swoje spodnie.

Choraży, który wybłocił się jeszcze gorzej od
porucznika, odburknął tylko coś pod nosem i po-
nownie podsadził kolegę. W kącie, gdzie jeszcze
przed chwilą klęczał Zatwarucha, stała obecnie
opasła szafa, a gospodarz spiesźnie wrzucał do niej
jakieś stare szmaty.

— Wchodzimy! — zdecydował Mazurek. —
Coś mi się zdaje, że dokonałem cennego odkrycia...

Pozorski został jeszcze przez moment pod ok-
nem, a Mazurek wrócił do drzwi i energicznie za-
pukał. Zatwarucha otworzył prawie natychmiast.

— Co sprowadza kochaną władzę w moje
skromne progi? — powitał porucznika z przesadną
grzecznością, udając, że nie dostrzega świeżego błota
na jego spodniach. — Gość w dom. Bóg w dom! O,
jest i pański kolega — dodał tym samym tonem na
widok wylaniającego się zza rogu budynku
chorążego. — Proszę szanownych panów do
środeczka...

Gospodarz miał zamiar wprowadzić funkcjonariuszy do sporej kuchni po prawej stronie od wejścia, ale Mazurek bezceremonialnie odsunął go na bok i ruszył do pokoju.

— Powiedźcie, co jest pod tą szafą? — rzucił ostrym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Co tam schowaliście?

— Ależ panie władzo! — Po twarzy Zatwaruchy przemknął cień niepokoju. — To musi być jakieś nieporozumienie!

— Czyżby?

— Kiedy, jak Boga kocham, tam nic nie ma!

— Przekonamy się?

Gospodarz chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale zniecierpliwiony porucznik podszedł do szafy i zdecydowanym ruchem odepchnął ją od ściany. Okazała się nadspodziewanie lekka i oficer nabrał pewności, że Zatwarucha musiał często przestawiać ją z miejsca na miejsce. Mazurek przyklęknął i przez dłuższą chwilę lustrował podłogę baczny spojrzeniem. Jedna z desek leżała nieco niżej od pozostałych. Spróbował ją przesunąć i aż sapnął z zadowolenia. Pod deską znajdował się prymitywny schowek, w którym leżały cztery banknoty dziesięciodolarowe, dwa damskie zegarki i tani pierścionek.

— Nie powiecie mi chyba, że to prezent od ciotki z Ameryki? — roześmiał się porucznik, spoglądając kpiąco na Zatwaruchę. — Ciekawe tylko, czy przedmioty, które sprzedaliście w sobotę, pochodzą z tego samego skoku? — dodał przypominając sobie informację Siwuchy.

Przez kilkanaście sekund w pokoju panowało milczenie. Gospodarz wyraźnie poblądł i nerwowo wyłamując sobie palce, na poły ze strachem, na poły z niedowierzaniem wpatrywał się w funkcjonariuszy.

— Zapomnieliście języka w gębie? — Pozorski przyszedł w sukurs koledze. — Chyba sami widzicie, że żadne wykręty nie zdadzą się na nic.

— Niech już będzie — wyjąkał z rezygnacją Zatwarucha. — Cały ten chłam zwinąłem jednemu ogrodnikowi z Powązek.

- Wiemy! — zablefował Mazurek.

— CZEŚĆ towaru sprzedałem Julkowi Mogielnickiemu z Wrzeciona...

— A pieniądze przepiliście w sobotę ze znajomymi — siląc się na spokój uzupełnił porucznik. — To wszystko nie jest dla nas żadną rewelacją.

— No więc czego *jeszcze* ode mnie chcecie?

— Alfreda Pryszczalkowskiego.

— Nie rozumiem?

— Nie musicie. — Lekceważąco wzruszył ramionami oficer. Po prostu mamy do niego interes.

— Fredek jest specjalistą od samochodów — z determinacją wyrzucił z siebie gospodarz. — Przy ostatniej gablocie cc - mu się nie poszykowało, bo mówił, że będzie musiał pryskać z Warszawy.

— Bał się, że zostanie zatrzymany?

— Raczej nie on, a jego wspólnik. Ale to na jedno wychodzi...

— Powiedział wam, kto był tym wspólnikiem?

— Fredek nie lubi strzepić sobie języka...

— Chyba jednak nie z każdym chodził na robotę?

— Kiedyś kombinował z Nowackim, później z Zabawcem...

— Zabawiec był u was w sobotę? — przypomniał sobie porucznik. — Tylko nie zaprzeczajcie, bo są na to świadkowie — dodał ostrzegawczo

— Dlaczego niby miałbym odwracać kota ogonem? — Zatwarucha potrząsnął głową z widoczną urazą — Owszem, Adam siedział z nami przez jakąś godzinę, może dwie...

— Tak krótko?

— Przed północą ktoś po niego przyjechał.

— Alfred Pryszczalkowski?

— Nie wiem. Adam zobaczył przez okno gablotę i powiedział, że musi iść.

— Wychodziliście z nim?

— Nie chciało mi się...

Szkoda, że nie widzieliście tego drugiego...

— Było ciemno, a ja miałem już zdrowo w czubie. Przyfilowałem przez okno jakiegoś fiata czy ładę, ale kto siedział w środku, tego nic wiem.

— Zapamiętaliście numery rejestracyjne?

— Nawet na nie nie spojrzałem.

— A kolor?

— Pan żartuje? Przy takim ómoku?
— W takim razie może się chociaż dowiem,
gdzie szukać Pryszczalkowski ego?
— Jutro jesteśmy umówieni w kawiarni, więc
jeśli władza sobie życzy...
— O której?
— Wpół do siódmej wieczorem..
Nie cyganisz?
— Dostanie pan władza Fredka jak na patelni,
tylko niech mi pan daruje tego ogrodnika. —
Żatwarucha popatrzył przymilnie na oficera.
Mazurek z lekkim znieczcierpliwieniem wzruszył
ramionami.

Punktualnie o ósmej Taroniowa wkroczyła do pokoju zajmowanego przez Stępnia i bezceremonialnie potrząsnęła śpiącego za ramię.

— Czas wstawać, panie Andrzeju! — oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Śniadanie na stole.

— Przecież jeszcze wczesnie. — Oficer ziewnął, zerkając sennie na stojący przy łóżku budzik. — Do południa i tak nie mam nic do roboty...

— Słyszane to rzeczy?! — Gospoia z nieklamany oburzeniem załamała ręce. — Pan Jureczek też ciągle wracał nad ranem, sypiał do obiadu i jak skończył? Wystarczy, że jednego z rodziny zabili!

Stępień nie mógł się jakoś dopatrzeć związku między późnym wstawaniem a śmiercią młodego Suciewskiego, uznał jednak, że z Taroniową lepiej nie dyskutować. Posłusznie opuścił łóżko i pobiegł do łazienki. Biorąc prysznic pomyślał nie bez rozrzewnienia, że gospoia bardzo szybko zaakceptowała go jako członka rodziny Suciewskich.

Niespełna pół godziny później kapitan zszedł do kuchni, gdzie czekało już na niego śniadanie. Właśnie zabierał się do jedzenia, kiedy w przedpokoju zadzwonił telefon.

— Do pana — konfidencjonalnie zakomunikowała mu po chwili Taroniowa. — Ciekawe, czego może chcieć ta Witwicką?

Prawdę powiedziawszy oficer był nie mniej zdziwiony niż gospoia. Bez wahania zostawił śniadanie i wyszedł do przedpokoju.

— Jak się masz? — miło zadzwęczał w słuchawce głos Moniki. — Chyba cię nie obudziłam?

— O ósmej zrobiła to już Taroniowa — westchnął Stępień. — Coś czuję, że w tym domu nigdy się nie wyśpię...

— Widać, że z waszej gosposi ranny ptaszek.

— Tylko dlaczego ja mam cierpieć z tego powodu?

— Jakoś się przyzwyczaisz — dziewczyna pocieszyła żartobliwie kapitana. — A w ogóle to dzwonię, żeby ci podziękować za wczorajsze —

dodała poważniej. — Do końca życia tego nie zapomnę...

— Drobiazg! — zbagatelizował sprawę oficer. — Odwiozłem cię do domu, ot i wszystko.

— Przecież prawie się nie znamy. Mogłeś wysłać mnie do diabła i zostać z tamtymi.

— Przy okazji dasz mi buzi i będziemy kwita.

— Wpadłbyś do mnie?

— Teraz?

— Raczej po południu. Muszę ci się przyznać, że jestem jeszcze w rosole...

— Umowa stoi!

— A samochodu nie musisz oddawać Stefanowi — dorzuciła mimochodem. — Niech drań poniesie jakąś karę za to, że mnie wczoraj zawiózł do Wesołej...

— W takim razie moglibyśmy wyskoczyć gdzieś za miasto.

— Czy ja wiem? — w głosie Witwickiej zabrzmiała nutka niezdecydowania. — Pewno wszędzie jest okropne błoto... Zresztą jeszcze się namyślę. Przyjedź koło trzeciej...

Stępień odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni skończyć śniadanie. Taroniowa spojrzała na niego spod oka i chrząknęła zachęcająco, ale kapitan bynajmniej się nie kwapił do powtarzania rozmowy z dziewczyną. Poirytowana tym gospośnia gniewnie cisnęła pokrywką o jakiś garnek.

— Za grosz wstydu nie mają te dzisiejsze panice! — wymamrotała ni to do siebie, ni to do oficera. — Jeszcze jednego chłopaka nie pochowali, a już drugiemu w głowie zawraca!

— O której wujek będzie w domu? — Stępień wolał udać, że nie dosłyszał wypowiedzi Taroniowej.

— Jak zwykle, o czwartej — odparła wyniośle. — A pan to powinien chociaż zobaczyć, gdzie pracuje profesor, skoro prosił pan o posadę...

— Dobra myśl — zgodził się skwapliwie. — Zaraz pojedę do Centrum

— I po drodze niech pan odbierze gazety od Molemy — dodała odrobinę łagodniej. — Zawsze robił to pan Jureczek, a teraz, kiedy biedaka zabili, nie ma już komu pójść do kiosku...

— Gdzie jest ta budka?

— Zaraz za rogiem

Kapitana aż korciło, żeby powiedzieć coś uszczypliwego pod adresem gosposi, pomyślał jednak, że nie warto z nią zadzierać, i dał spokój

— Nie wiem, czy ten Molemba zechce mi wydać czasopisma zauważył niepewnie — W końcu gość nigdy mnie na oczy nie widział.

Powie pan, że to dla profesora i kioskarz wyciągnie teczkę. Będzie pan musiał tylko zapłacić...

Chcąc nie chcąc oficer założył płaszcz i wyszedł na ulicę. Zgodnie z zapowiedzią Taroniowej budkę Ruchu spostrzegł po kilku krokach. Podeszedł bliżej i zauważywszy kioskacza za zasuniętą szybką energicznie zapukał. Już pierwsze słowa szczupłego, czterdziestokilkuletniego mężczyzny o wydatnym nosie i wystających kościach policzkowych uświadomiły Stępniowi, dlaczego gosposia wołała nie mieć do czynienia z Molembą.

— Nie widzisz pan, do jasnej cholery, że zamknięte?! — burknął ze złością. — Diabli nadali! Nie ma człowiek ani chwili spokoju, bo mu ciągle ktoś głowę zawraca jakimiś duperelami!

— Przyszedłem po prasę dla profesora Suciewskiego — wyjaśnił cierpliwie kapitan. — Podobno sporo się tego nazbierało.

Czemu od razu pan nie powiedział? — Molemba wyraźnie złagodniał. — Ja dla profesora wszystko! Taki porządny gość, tylko gosposię ma okropną megierę...

— Nie przeczę — ugodowo przyznał oficer, choć prawdę powiedziawszy był raczej skłonny wziąć stronę Taroniowej.

— Czy to prawda, że profesorowi kropnęli syna? — zainteresował się kioskarz. — Ludzie gadają, że chłopaka napadły jakieś bandziory...

— Podobno — mruknął Stępień wymijająco.
 — Złapią mordercę?
 — Nie wiem Nie znam się na tym...
 — Pewno złapią — pokiwał głową Molemba. —
 A swoją drogą szkoda pana Jurka — westchnął ze
 szczerym żalem — Równy był facet. Nosa nie
 zadzierał, od czasu do czasu łufkę człowiekowi po-
 stawił... Muszę wybrać się na pogrzeb.
 — To już jutro...
 — O której?
 — O jedenastej.
 — Pan zdaje się mieszka teraz u profesora?
 — Owszem Wujek obiecał mi załatwić u siebie
 robotę, więc przyjechałem.
 — Można wiedzieć skąd
 — Z Wybrzeża.
 — To my krajanie — rozpromienił się kioskarz.
 — Kupę lat przeżyłem w Szczecinie, później sie-
 działem pod Sopotem. Musimy kiedyś pogadać przy
 kielichu o starych Kątach!
 — Chętnie postawię panu kielicha — obiecał
 kapitan. — W końcu my, ludzie morza, powinniśmy
 trzymać ze sobą..
 — Znaczy jesteście umówieni! — Niewiele bra-
 kowało, żeby Molemba wyskoczył z budki uściskać
 oficera — Do rychłego zobaczenia!
 Stępień wrócił do willi Suciewskiego z okazałym
 plikiem czasopism, a pół godziny później
 uruchomiwszy volkswagena Rosieckiego skierował
 samochód w stronę Bielán. Pomyślał, że taktycznie
 warto zobaczyć miejsce pracy swego przyszywanego
 wujka.

Centrum Badawczo-rozwojowe

Automatycznego Sterowania mieściło się w wielkim,
 ponurym gmazysku z czerwonej cegły. Otaczał je
 niewysoki murek, na którym były umocowane
 żelazne, ostro zakończone sztachety blisko
 trzymetrowej wysokości. Pilnujący wejścia strażnik
 zmierzył kapitana nieufnym spojrzeniem,
 usłyszawszy jednak, że przybyły jest krewnym
 profesora Suciewskiego, wypisał mu przepustkę

Oficer wszedł do środka i po kilkunastu minutach błądzenia po korytarzach Centrum dotarł wreszcie do gabinetu dyrektora.

- Szef jest w laboratorium docenta Bieguna — poinformowała rzeczowo młodziutka modnie ubrana sekretarka, o drobnej, nieco dziecinnej twarzy i długich, jasnych włosach. — A pan w jakiej sprawie? — zapytała po chwili, widząc, że Stępień nie kwapi się do wyjścia.

— Przyszedłem zobaczyć, jaka to ważna figura z mego kochanego wujaszka — roześmiał się kapitan — Gdybym wiedział, że pracują tu takie ładne dziewczyny, już dawno złożyłbym te **Wizytę**

— Profesor wspominał mi dzisiaj o panu — sekretarka uśmiechnęła się przyjaźnie. — Zaraz dam mu znać, że pan czeka..

— Ależ po co? — gwałtownie zaoponował oficer. — Wujek nie zając, nie ucieknie, a ja przy- najmniej będę miał okazję napatrzeć się na pani buzie!

— Pan to zupełnie jak pan Jurek...

— Mój kuzynek miał niezły gust! — pochwylił natychmiast Stępień. — Szkoda tylko, że mi nic o pani nie powiedział. Takiego skarbu nie wolno przecież ukrywać przed światem!

— Niech pan nie przesadza — Spuściła oczy z udaną skromnością. — Zresztą wy mężczyźni przy każdej okazji bałamucicie dziewczęta!

— Może inni, ale nie ja — Teatralnym gestem podniósł do góry dwa palce. — Zawsze mówię tylko szczerą prawdę!

Nie wierzę.

Jestem pewien, że potrafiłbym panią przekonać.

Niby w jaki sposób?

— Na przykład gdybyśmy się tak umówili na kawę..

Dwie minuty znajomości i już randka?

— Czemu nie? Nasi przodkowie najwyżej cenili sobie miłość od pierwszego wejrzenia.

— Przecież pan nawet nie wie, jak się nazywam!

Na pewno ślicznie

Marzena

— Właśnie tak pomyślałem skłamał bez zająknięcia. — To imię znakomicie do pani pasuje.

— A pan?

— Po prostu Andrzej.

— Też ładnie

— Skoro się pani podoba, to może jednak wyskoczmy gdzieś po pracy?

— Jestem niestety Zajęta — odmówiła z odrobiną żalu. — Ale wie pan co? — ożywiła się nagle — Sześć wróci nie wcześniej niż za godzinę, a ma u siebie świetną kawę. Moglibyśmy na miejscu uczcić naszą znajomość

— Świetnie!

Bez wahania ruszyła do gabinetu dyrektora Centrum, ale w tej samej chwili na korytarzu zadudniły czyjeś spieszne kroki.

— To chyba profesor — bąknęła wyraźnie speszona, wracając natychmiast na swoje miejsce. — Cóż, kawy napijemy się innym razem...

Skrzypnęły drzwi i, tak jak przewidywała Marzena, w progu sekretariatu stanął Suciewski

— Widzę, że zdecydowałeś się mnie odwiedzić — powitał Stępnia bez specjalnego entuzjazmu. — Proszę, pozwól do gabinetu — dodał siłąc się na uprzejmość. — Pogadamy o twoich sprawach

Kapitan skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Gabinet dyrektora Centrum nie zrobił na oficerze zbyt imponującego wrażenia. Pomieszczenie było obszerne, ale ciemne i raczej skromnie urządzone. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki wypełnione po brzegi książkami, a naprzeciwko wejścia stało masywne, nieco staroświeckie biurko, na którym piętrzył się okazały stos najrozmaitszych papierów. Nie licząc fotela i paru krzeseł umeblowania dopełniała niedokładnie zasłonięta kotarą szafa pancerna.

— Czyżby śmierć mojego syna miała jakiś związek z prowadzonymi w Centrum pracami naukowymi? — zapytał niespokojnie Suciewski, ledwo oficer usiadł na wskazanym mu krześle — Pańska wizyta w naszych progach nie jest chyba przypadkowa?

— Na razie nie ma powodu do paniki — odparł Stępień wymijająco — Po prostu przyszedłem, żeby ustalić, jak częstym gościem był tutaj pan Jerzy.

— Czy to istotne — zdziwił się profesor.

— Zdarza się, że z pozoru nic nie znaczące szczegóły decydują o pomyślnym zakończeniu śledztwa.

— Skoro tak pan twierdzi... — Suciewski z nie tajonym sceptycyzmem pokręcił głową. — Syn faktycznie często bywał w Centrum

— Odwiedzał tylko pana, czy może jeszcze kogoś?

— Ma pan na myśli panią Marzenę? — domyślnie uśmiechnął się profesor. — Moja sekretarka cieszy się podobno dużym powodzeniem, nie zauważyłem jednak, by Jurek należał do jej wielbicieli. Przychodzie tutaj zupełnie z innego powodu,

— Mianowicie?

— Syna pasjonowały problemy automatycznego sterowania różnymi mechanizmami. Prawdę powiedziawszy liczyłem nawet, że po ukończeniu studiów pójdzie w moje ślady.

— Czy brał również udział w badaniach prowadzonych w Centrum?

— W ostatnich miesiącach stał się prawie nieetatowym pracownikiem zespołu docenta bieguna...

— A jak to godził z zajęciami na uczelni?

— Nie słyszałem, żeby miał jakieś poważniejsze kłopoty z zaliczeniami

Kapitan chciał jeszcze o coś zapytać dyrektora ale w uchylonych drzwiach pojawiła się sekretarka

— Doktor Waligórski do pana profesora — zaanonsowała, jak gdyby z wahaniem. — Czy ma poczekać?

— Na razie niech wraca do siebie — burknął Suciewski z nieoczekiwaną złością. — Później sam go poproszę
Marzena błyskawicznie wycofała się i w gabinecie przez moment panowało milczenie. Oficer przez kilka sekund spoglądał badawczo na zachmurzonego profesora, w końcu jednak uznał, że lepiej odłożyć dalszą rozmowę na później.

— Nie będę już dłużej panu przeszkadzał — uklonił się grzecznie, wstając z miejsca. — Dziękuję za informacje..

Suciewski nie zatrzymywał Stępnia i kapitan nie wahając się dłużej ruszył do wyjścia. Do umówionego spotkania z Witwicką pozostało jeszcze sporo czasu, oficer postanowił więc zajrzeć na Politechnikę Warszawską.

Wydział Elektroniki mieścił się w nowym, przeszklonym gmachu. Stępień bez trudu odnalazł dziekanat, ale spotkało go rozczarowanie jako że drzwi były zamknięte na klucz. Po kilku minutach bezskutecznego pukania chciał już zrezygnować, kiedy szcęknął zamek i w progu stanęła nieco przygarbiona, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta.

— Pan dziekan dzisiaj nie przyjmuje — oschle poinformowała kapitana. — Wyjechał do Budapesztu i wraca dopiero w przyszłym tygodniu...

— A pani nie mogłaby mi pomóc? — poprosił

oficer uśmiechając się przymilnie. — To sprawa osobista...

Na twarzy pracownicy dziekanatu pojawił się grymas niechęci, wpuściła jednak kapitana do środka.

— O co chodzi? — spytała zamykając drzwi

— Nie chciałbym pani sprawiać kłopotu, ale gnębi mnie sprawa mojego kuzyna....

— Jego nazwisko? — kobieta chciała jak najszybciej pozbyć się natręta.

— Jerzy Suciewski.

— Prawdę powiedziawszy sama nie wiem, co o nim myśleć — pokręciła głową z wyraźnym zakłopotaniem. — W każdym razie syn dyrektora Centrum nie przynosi raczej chluby swemu ojcu.

— Co pani przez to rozumie?

— Początkowo pana kuzyn nie wyróżniał się zbyt wiele spośród innych studentów. Wprawdzie do orłów nigdy nie należał, od czasu do czasu miał kłopoty z zaliczeniami, ale w ostatecznym rezultacie nie repetował żadnego semestru...

— Uzdolnienia nie muszą być dziedziczne - zazartował Stępień.

— Oczywiście — przytaknęła pracownica dziekanatu — nie o to jednak idzie... Widzi pan, jakieś pół roku temu chłopak bardzo się zmienił — konfidencko ściszyła głos — Na uczelni stał się rzadkim gościem, nauka zupełnie przestała go interesować, a za to nabrały rozgłosu jego hulanki w podejrzanym towarzystwie. Na domiar złego Jerzy Suciewski kilka razy pozwolił sobie na nietaktowne zachowanie w stosunku do pracowników naukowych wydziału. Pan dziekan chciał go nawet skreślić z listy, studentów...

Pozostał jednak na uczelni?

— Tylko dzięki interwencji swego ojca...

— Zdaje się, że mój wujek dość bezkrytycznie traktował swego jedynaka — westchnął Stępień.

Słyszałem, że umożliwił mu nawet prowadzenie jakichś badań u siebie w Centrum.

A to dobre! — pracownica dziekanatu nie mogła się powstrzymać od ironicznego uśmiechu. — Jerzy Suciewski i praca naukowa! Pan wybaczy, ale nigdy nie uwierzę.

Kapitan zerknął dyskretnie na zegarek. Minęła już czternasta, nie chcąc więc spóźnić się na spotkanie z przyjaciółką Jerzego Suciewskiego podziękował pracownicy dziekanatu za informację i ruszył spiesznie do samochodu.

Witwicka mieszkała na drugim piętrze w jednym z bloków przy ulicy generała Zajączka. Do piętnastej brakowało jeszcze paru minut, ledwo jednak oficer dotknął dzwonka drzwi natychmiast otworzyły się, jak gdyby dziewczyna czekała przy nich na Stępnia.

Dobrze, że przyszedłeś — uśmiechnęła się radośnie na powitanie. — Nie mogłam już dłużej znieść samotności.

— Gdybym wiedział, złożyłbym ci wizytę z samego rana.

— Miły jesteś.

— Dla takiej ślicznej dziewczyny każdy powinien być miły.

— Ale ja wcale nie jestem ładna — zaprzeczyła z odrobiną kokieterii. — Zanim się zjawiłeś, dwie godziny spędziłam przed lustrem i dobrze wiem, że wyglądam okropnie!

— Mnie się podobasz — zapewnił kapitan.

— Naprawdę?! — W nagłym odruchu chwyciła go za szyję i pocałowała w policzek. — Chodź, pokażę ci mieszkanie — zgrabnie zmieniła

temat. — A potem zabierzesz mnie gdzieś na obiad...

Weszli do niewielkiego, ale przytulnego i urządzonego z dużym smakiem pokoiku. Naprzeciwko drzwi stał nowoczesny regał. Witwicką bez wahania otworzyła klapę barku i wyjęła z niego dwa kieliszki.

— Napijemy- się? — znaczącym gestem wskazała butelkę bułgarskiego koniaku. — I tak nie mam ochoty na jazdę samochodem — dodała, jak gdyby dla rozwiania wątpliwości oficera — więc z czystym sumieniem będziesz, mógł zostawić wóz Stefana pod moim blokiem...

Stępień nie oponował. Sięgnął skwapliwie po butelkę i nalał koniaku do kieliszków.

— Za naszą przyjaźń! — z uśmiechem wznosił toast.

— Żebym już nie była taka samotna — powiedziała jakoś miękko. — Żebyś zawsze umiał mnie tak zrozumieć, jak wczoraj...

- Niech pan siada, panie Zabawiec. — Stefański beznamiętnym gestem wskazał wezwanemu na przesłuchanie krzesło po drugiej stronie biurka.
- Czeka nas dłuższa rozmowa.
- Prawdę powiedziawszy nie bardzo wiem o czym.
- Znał pan Jerzego Suciewskiego?
- Owszem, widywaliśmy się od czasu do czasu.
- Wie pan, że został zabity?
- Idę dzisiaj na pogrzeb...
- Niewykluczone, że mógłby nam pan pomóc w odnalezieniu zabójcy
- A to w jaki sposób? — nerwowo roześmiał się Zabawiec.
- Na początek niech pan spróbuje opowiedzieć coś o samym Suciewskim — zaproponował przesłuchiwanemu porucznik. — Co to był za człowiek? Z kim się przyjaźnił?
- Lepiej proszę zapytać o Jurka Monikę Witwicką. W końcu kupę czasu chodzili ze sobą, dowiedziałyby się więc pan od niej znacznie więcej niż ode mnie...
- Stanowili dobraną parę?
- Raczej tak. Nawet kiedy Suciewski wyjechał na dwa miesiące do Włoch, nie przygruchała sobie nowego chłopaka.
- Czy Suciewski lubił szastać pieniędzmi?
- Jeszcze jak! Jeśli tylko trafił trochę grosza,

zaraz organizował jakąś bibkę. Wszyscy go teraz żałują...

— Nie wie pan, skąd miał gotówkę?

— Od starego.

— I z handlu dolarami? — odpowiedział oficer.

— Plotki!

— W każdej plotce tkwi zawsze ziarnko prawdy — zauważył sentencjonalnie Stefański. — Przy odrobinie wprawy można to ziarnko wyłuskać...

— Trochę racji to pan ma — przyznał niechętnie Zabawiec. — Chłopak jeździł za granicę, więc od czasu do czasu spuścił komuś trochę zielonych.

— Na przykład komu?

— Pan żartuje, panie poruczniku? — w głosie Zabawca zabrzmiała drwiąca nuta. — Takie rzeczy załatwia się w cztery oczy, a ja Jurka nigdy za rękę nie złapałem.

— Szkoda.

— Ja tam nie żałuję...

— Kiedy ostatni raz widział się pan z Alfredem Pryszczalkowskim? — zmienił temat oficer. — Czy przypadkiem nie w sobotę?

Przesłuchiwany nagle poblekł, nerwowo przygryzając wargi. Przez moment spoglądał na Stefańskiego z wyraźnym strachem, po kilku sekundach odzyskał jednak pewność siebie.

— To chyba jakieś nieporozumienie — zaprzeczył stanowczo — Braci Pryszczalkowskich znałem, kiedy byłem takim szczunem — zniżył rękę do ziemi. — Później oni zaczęli coś kombinować i ja chcąc mieć spokojne sumienie przestałem się z nimi zadawać

— A co pan robił w sobotę? — nie ustępował Stefański.

— Wieczorem byłem u znajomego.

— U Mietka Zatwaruchy?

— Skoro pan wie, to po co pan pyta?

— O której stamtąd pan wyszedł?

— Nie pamiętam...

— Uczestnicy tego spotkania twierdzą, że przed północą.

— Być może...

— Kto po pana przyjechał?

— Nie rozumiem? — Zabawiec udał zdziwienie, ale wypadło to jakoś mało przekonywająco. — Niby kto miał po mnie przyjeżdżać? Najpierw szedłem piechotą, a na Marymonckiej trafiła mi się wolna taksówka.

— Będziemy musieli sprawdzić — mruknął porucznik ni to do siebie, ni do przesłuchiwanego. — Na razie niech pan nie wyjeżdża z Warszawy — dodał głośniejszym głosem. — Najprawdopodobniej poprosimy pana na jeszcze jedną rozmowę..

— W najbliższym czasie nie planuję żadnych wojaży..

— Dobrze się składa.

— Znaczy, że teraz jestem już wolny?

— Proszę poczekać chwilę na korytarzu. Muszę wypisać przepustkę.

Oddychając z wyraźną ulgą Zabawiec ruszył do drzwi. W progu o mały włos nie zderzył się z Po-

żorskim. Grzecznie przeprosił i szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

— Chwała Bogu, że jesteś — sapnął oficer, kiedy zostali z chorążym sami w pokoju — Skocz do majora Pyteli i zaproponuj, żeby wysłać za Zabawcem wywiadowcę. Coś mi się wydaje, że on nie ma czystego sumienia.

— Spróbuję to załatwić. — Pozorski był już przy drzwiach. — Aha! — przypomniał sobie jeszcze. — Czekam na ciebie ten adwokat, który zawiadomił nas o zniknięciu młodego Suciewskiego.

— Smigielski?

— Właśnie.

— Czego on chce?

— Nie wiem. Może ma znowu jakieś informacje? Stefański zaintrygowany poprosił adwokata do pokoju. Smigielski skłonił się grzecznie i skwapliwie wyciągnął z kieszeni staroświecką, srebrną papierosnicę z wygrawerowanym na wieczku wielkim monogramem.

— Pan porucznik pozwoli marlboro? — zaproponował z uśmiechem. — Wprawdzie nasze, krajowe, ale zawsze to lepsze od sportów...

— Co pana mecenasa sprowadza do komendy? — Oficer odruchowo przyjął papierosa.

— Oczywiście śledztwo w sprawie tragicznej śmierci Jerzego Suciewskiego.

— Czyżby uzyskał pan informacje, które mogłyby nam pomóc?

— Niestety! — Adwokat bezradnie rozłożył ręce.

— Raczej chciałbym się dowiedzieć, czy panowie zdołaliście coś nowego ustalić. Witold jest bardzo podenerwowany śmiercią syna, dobrze więc byłoby dla niego, gdyby szybko nastąpił koniec śledztwa.

— Robimy, co w naszej mocy.

— Rozumiem! — westchnął Smigielski. — Tajemnica służbowa! Jesteśmy wprawdzie po tej

samej stronie barykady, pan ma jednak swoje przepisy..

— Skądże znowu! — energicznie zaprzeczył Stefański, chociaż w duchu musiał przyznać racje adwokatowi. — Po prostu na wyniki naszej pracy trzeba będzie jeszcze poczekać

— Jest jeszcze jedna znacznie drobniejsza sprawa — zawahał się Smigielski. — Jak pan wie, został skradziony samochód profesora. Oczywiście ma to pewno jakiś związek z zasadniczą sprawą. chciałbym jednak zapytać czy Witold ma szansę na odzyskanie swojej łady?

— Jak najbardziej! Przedwczoraj odnaleźliśmy ten samochód — nie omieszkał pochwalić się porucznik. — Kiedy tylko eksperci skończą sprawdzanie wozu, profesor będzie mógł go odebrać

— Naprawdę? — adwokat wyraźnie się ożywił. — Trudno o lepszy dowód, że nasza milicja nie marnuje czasu

— Miło mi że nie wróci pan od nas z niczym...

— A ten wystraszony wielkolud na korytarzu, to przypadkiem nie złodziej łady Witolda? — Smigielski porozumiewawczo przymrużył oko. — Nos adwokacki mówi mi, że będzie on niebawem **P**otrzebował obrońcy

— Pan Zabawiec jest tylko świadkiem — odparł nieszczercze oficer. — Aparat ścigania nie ma do niego żadnych pretensji...

— Znowu tajemnica służbowa! — parsknął śmiechem Smigielski. — Ko cóż, niech i tak będzie... Myślę, że kiedy spotkamy się następnym razem, pokaże mi pan zabójcę Jurka już za kratkami — dodał powabniej — A na razie moje uszanowanie.

Adwokat ukłonił się na pożegnanie i bez pośpiechu ruszył do wyjścia. Widać było, że mimo wszystko jest bardzo zadowolony z rozmowy ze Stefańskim.

Nie minęły nawet dwie minuty, kiedy do pokoju wrócił Pozorski.

— Zabawiec jest już pod troskliwą opieką — zakomunikował porucznikowi. — Będziemy wiedzieli o każdym jego kroku.

— Żeby się tylko nie urwał...

— Nie ma obawy. Pilnują go Tadek Zielak i Antek Modzelewski, a oni zjedli zęby przy takiej robocie.

— A ty co dzisiaj zwojowałeś?

— Prawie tyle co wczoraj.

— Nie żartuj?

- Z samego rana pojechałem do śródmiejskiej komendy i poprosiłem o pomoc tamtejszych chłopaków. Dowiedziałem się, że w zeszłym roku, po powrocie z wycieczki do Włoch, Jerzy Suciewski nawiązał bardzo ożywione kontakty z braćmi Pryszczalkowskimi. Podobno cała trójka poszukiwała nabywcy na większą ilość dolarów. Nie wiadomo do kogo konkretnie one należały ani w jaki sposób znalazły się w Polsce. Z nieznanych powodów do finalizacji transakcji nie doszło i nagle wszelki śluch o tych dolarach zaginął...

— Może zostały skradzione?

— Całkiem prawdopodobne...

— O jaką kwotę chodziło?

— Podobno o parę tysięcy

— Ładny kapitalik!

— To jeszcze nie wszystko — chorąży zrobił efektowną pauzę. — Na początku bieżącego roku kilka razy widziano młodego Suciewskiego w towarzystwie Kajetana Hrybuta!

— Tego waluciarza?

— Zgadza się

— Mamy pecha! — oficer wyraźnie spochmurniał

— Kiedy w jakiejś sprawie przewija się Hrybut, zawsze są kłopoty.

- Wyjątkowo cwany typ — przytaknął Pozorski
 - ale przecież w końcu każdemu się noga powinie...
 - Tak czy inaczej musimy z facetem pogadać.
 - Znasz jego aktualny adres?
 - Mieszka u przyjaciółki przy Hauke Bosaka.
 - Po sąsiedzku z Suciewskim?
 - Prawie
 - No to szkoda czasu!
- Tego dnia Stefański przyjechał do komendy własnym fiatem 126p, nie musieli więc pertraktować z przełożonymi o przydział radiowozu. Po kilku minutach byli już na Żoliborzu. Porucznik skręcił w Czarnieckiego, ale zamiast skierować się na Hauke Bosaka, zaczął metodycznie przemierzać okoliczne uliczki. Chorąży cierpliwie obserwował poczynania kolegi, kiedy jednak któryś raz z kolei mijali okazałą willę, należącą do przyjaciółki Hrybuta, postanowił zaspokoić swoją ciekawość.
- Czego ty szukasz? — zagadnął oficera. — Czyżbyś wygrał w totka i miał zamiar kupić jeden z tych domków?
- Stefański łagodnie przyhamował naprzeciwko budki Ruchu.
- Ten kiosk widać zarówno z willi Suciewskiego, jak i sprzed domu naszego waluciarza — wyjaśnił po krótkim namyśle Pozorskiemu. — Jeśli właściciel budki ma głowę na karku, to powinien sporo wiedzieć...
 - Chcesz z nim pogadać?
 - Wydaje mi się, że warto.
- Chorąży z nie tajonym sceptycyzmem pokręcił głową, ale porucznik bez dłuższego wahania wysiadł z samochodu i podszedł do kiosku.
- Dzień dobry panu! — pozdrowił grzecznie Molembe, pokazując mu z daleka swoją legitymację.
 - Pozwoli pan, że zadam panu kilka pytań?

— Chodzi panu o syna profesora Śuciewskiego?
— domyślił się kioskarz.
— Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa...
— Chętnie bym pomógł, ale Bóg mi świadkiem, że o niczym nie mam zielonego pojęcia. — Molemba bezradnie rozłożył ręce. — W sobotę rano pan Jurek odebrał ode mnie gazety i więcej go nie widziałem.
— Nie zauważył pan niczego dziwnego w jego zachowaniu?
— Jak zwykle gdzieś się spieszył. Powiedział mi tylko, że musi wykorzystać ostatnie dni swobody przed powrotem ojca, i poleciał
— Widywał pan znajomych młodego Śuciewskiego?
— Ja widuję wielu ludzi...
— Tych również? — Oficer wyciągnął z kieszeni kilkanaście fotografii i podsunął je kioskarzowi.
— Niech pan rzuci okiem Może kogoś pan sobie przypomni.
Molemba skwapliwie sięgnął po zdjęcia i zabrał się do ich przeglądania. Większość odłożył zaraz na bok, nie interesując się zbytnio widniejącymi na odbitkach twarzami, ale co do trzech najwyraźniej nie był pewny.
— Jakież znajome gęby — mruknął wskazując fotografie braci Pryszczałkowskich i Zabawca. — Musieli się tu kiedyś kręcić, tylko kiedy i czy akurat w towarzystwie pana Jurka, tego panu nie powiem..
— Tyle to i myśmy wiedzieli — westchnął Stefański. — Może przynajmniej usłyszę od pana, w jakich stosunkach pozostawał Jerzy Śuciewski z panem Hrybutem?
— Pan Kajetan mógłby być ojcem pana Jurka
— zauważył kioskarz nie bez rozbawienia. — Mówili sobie dzień dobry, ot i wszystko.
— Odwiedzali się

— Chyba nie — potrząsnął głową Molemba. —
Chociaż ma pan rację! — sprostował prawie
natychmiast, stukając się z rozmachem w czoło —
Kiedyś widziałem, jak pan Hrybut wchodził do willi
profesora...

— Dawno to było?
Tak ze dwa miesiące temu...

Porucznik miał właśnie zamiar zadać kolejne
pytanie, kiedy stojący obok w milczeniu Pozorski
chwycił go nagle za rękaw. W głębi ulicy Hauke
Bosaka pojawiła się sylwetka Antoniego
Pryszczałkowskiego.

— Czego on tu u diabła szuka? — Oficer spoj-
rzał ze zdziwieniem na kolegę. — Przecież dopiero
wypuścili go chłopcy z dewizówki!

— Dokładnie nie zauważyłem, ale chyba właśnie
wyszedł od Hrybuta — odparł niepewnie choraży. —
Spóźnił się — dodał z wyraźnym żalem. —
Jeszcze pięć minut temu moglibyśmy go tam zastać!

— Zamiast gadać, lepiej przespacerowałbyś się za
nim — zaproponował Stefański. — Tylko uważaj, bo
gość jest kuty na cztery nogi...

Pozorski bez wahania ruszył za znikającym
właśnie za rogiem Pryszczałkowskim i porucznik
został sam. Z pewnym zniecierpliwieniem pomyślał,
że nie warto tracić czasu na dalszą rozmowę z
Molembą. Skinął kioskarzowi na pożegnanie i po-
maszerował w kierunku willi przyjaciółki Hrybuta.

Drzwi otworzyła oficerowi tęga, pięćdziesięcikilkuletnia kobieta w szarej sukience i kolorowym fartuchu. Zmierzyła Stefańskiego nieufnym spojrzeniem, ale na widok milicyjnej legitymacji bez-słowa zaprowadziła go do pomieszczenia przypominającego bardziej poczekalnię niż pokój mieszkalny. W chwilę później pojawił się tam Hrybut.

— Witam unieżenie w moich skromnych progach!
— Z galanterią uklonił się porucznikowi — Czym mogę służyć przedstawicielowi aparatu ścigania
— Kilkoma informacjami — Oficer uznał, że lepiej od razu przystąpić do rzeczy — Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kiedy poznał pan Jerzego Suciewskiego?

— Chyba najpierw powinien pan zapytać, czy w ogóle *go* znam — gospodarz uśmiechnął się zagadkowo — Przecież mógłbym po raz pierwszy słyszeć to nazwisko..

— Myślę, że jest pan zbyt poważnym człowiekiem. aby żartować w ten sposób.

— Ma pan rację — Hrybut ustąpił nadspodziewanie szybko — Trudno byłoby nie znać sąsiada.

— Czy łączyły panów również interesy?

— Pan wybaczy, ale nie bardzo rozumiem?

— O ile wiem, zawsze interesował się pan obrotami tak zwanymi walutami wymiennymi...

— Teraz pan raczy żartować

— Na pańskim koncju figuruje niejeden wyrok z tego powodu.

— Bardzo pana przepraszam zaoponował gospodarz z widoczną urazą. — Tylko w jednym przypadku, i to przez pomyłkę, sąd uznał mnie winnym. Pozostałe procesy okazały się zwykłymi nieporozumieniami..

— Mniejsza o szczegóły — Stefański wzruszył ramionami. — Niech mi pan powie, czy Jerzy Suciewski handlował dolarami, i dam panu spokój!

— Przykro mi, ale nigdy nie interesowałem się poczynaniami sąsiada.

— Słyszał pan, że chłopak nie żyje?

— Owszem, ktoś mi wspominał.

— Można wiedzieć kto?

— Zdaje się, że kioskarz... Zresztą, już nie pamiętam.

— Widzę, że nie ma pan ochoty, by pomóc milicji w poszukiwaniu zabójcy syna profesora.

— Życzę powodzenia, dziwi mnie jednak, dlaczego poszukiwania te prowadzi pan pod moim dachem!

— W sobotę został zabity młody Suciewski — twardo powiedział porucznik. — Nie wiadomo, kto może być następną ofiarą...

— Sugeruje pan, że i mojej skromnej osobie grozi jakieś niebezpieczeństwo? — Hrybut z niedowierzaniem pokręcił głową. — Przecież to absurd!

— Jeszcze parę miesięcy temu pański sąsiad dysponował większą sumą w dolarach! — ryzykował oficer.

— Dla zwykłego śmiertelnika może to była duża kwota — zachnął się gospodarz — ale nie dla człowieka z branży.

— Pan coś wie!

— Sąsiadowi oświadczyłem, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego, i to samo powtarzam panu! — wyrzucił z siebie Hrybut z niespodziewaną złością. — Interes śmierdział mi na odległość, więc pogoniłem gówniarza... A jeśli chce pan usłyszeć więcej, musi pan spytać Zabawca. Przyszedł wtedy do mnie razem z Suciewskim i więcej się mądrzył ©d tamtego... Zresztą na mój gust to właśnie on był motorem całej imprezy, a nie sąsiad.

Choraży prawie biegiem dotarł do rogu ulicy, za którym zniknął przed chwilą Antoni Pryszczalkowski. Tamten skręcał właśnie na kolejnym skrzyżowaniu i Pozorski z mieszanymi uczuciami zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, aby już na samym wstępie jego misja zakończyła się fiaskiem. Funkcjonariusz nieco zwolnił, ale nauczony doświadczeniem wolał trzymać się stosunkowo blisko sadzącego wielkimi krokami mężczyzny. Nie minął nawet kwadrans, kiedy dotarli do baru „Kosmos”. Pryszczalkowski bez wahania wszedł do środka, a idący drugą stroną ulicy choraży zatrzymał się niezdecydowanie. Prawdę powiedziawszy, aż go korciło, żeby sprawdzić, czy obserwowany przypadkiem się z kimś nie spotkał, było to jednak dość ryzykowne. Wprawdzie Antoni Pryszczalkowski nie miał dotąd okazji, żeby przyjrzeć się dokładniej Pozorskiemu, ale wspólny pobyt w niewielkiej salce mógł bardzo utrudnić dalszą obserwację.

Choraży odczekał kilkanaście minut i był już niemal zdecydowany, by wejść do baru, kiedy w progu pojawił się Pryszczalkowski w towarzystwie Siwuchy. Mężczyźni, nie zwracając uwagi na otoczenie, pomaszrowali w kierunku najbliższego sklepu spożywczego. Zabawili tam niespełną minutę i chwilę później Pozorski spostrzegł, jak otwierają w bramie butelkę taniego wina. Po pierwszej butelce przyszła kolej na następną, jednak nie usatysfakcjonowało to widać jeszcze Pryszczalkowskiego i Siwuchy, bo wypiwszy wino niezwłocznie wrócili do baru.

Tym razem choraży już się nie zastanawiał Korzystając z głośniejszej dyskusji, która wybuchła pomiędzy barmanką i paroma bywalcami „Kosmosu”, wślizgnął się do salki i usiadł koło tęgiego, łysego jak kolano mężczyzny z wydatnym mocno zaczerwienionym nosem.

— Łyknij se koleś! — wybelkotał tamten, podsuwając Pozorskiemu z pijacką gościnnością jedną ze stojących przed nim butelek piwa. — Nie ma, jak dobry browar!

— Święte słowa! — przytaknął zgodnie choraży, chociaż nawiązywanie znajomości z łysym mężczyzną nie było mu na rękę. — Cóż może być lepszego niż małe jasne?

Oczywiście, że duże jasne! — hałaśliwie roześmiał się ze swojego dowcipu. — No to zdrówko!

Mężczyzna chwycił butelkę i wypił ją jednym haustem. Przez dłuższą chwilę gładził się z lubością po brzuchu i nagle nieoczekiwanie posmutniał.

Cóż warte jest nasze życie! — westchnął nachylając się Pozorskiemu do ucha. — Każdy tylko patrzy, żeby podłożyć człowiekowi świnię. Nawet własnej starej nie można dowierzać...

— A to czemu? — machinalnie zapytał choraży.

— Wczoraj schowałem sobie zaskórniaka, ale babsko wyciągnęło mi całe pięć stów z portfela. Gdyby nie kumple, nie przechyliłbym dzisiaj ani jednego piwka... Tylko że ja jej jeszcze pokaże! — Z niespodziewaną złością grzmotnął pięścią w blat stolika. — Do czego to podobne, żeby człowiek nie mógł sobie wypić za własne pieniądze?! Może za często zaglądasz do butelki?

— Nie żartuj, koleś! Kilka piwek dziennie przecież mi nie zaszkodzi...

Mężczyzna sięgnął po kolejną butelkę i tym razem już bez pośpiechu pociągnął kilka łyków. Zachęcającym gestem skinął na chorążego, ale ten, udając, że nie dostrzega zaproszenia, zerknął dyskretnie w stronę Pryszczalkowskiego i Siwuchy, którzy dopijali właśnie swoje piwo i szykowali się do wyjścia. Uprzedzając ich zamiary, bez żalu pozostawił nowo poznanego bywalca „Kosmosu” i spiesznie opuścił bar.

Wyszedłszy na ulicę odruchowo rozejrzał się dookoła i nagle poczuł lekki dreszczyk emocji. Od placu Komuny Paryskiej nadchodził właśnie Boncar Pozorski cofnął się błyskawicznie do wejścia sąsiadującej z barem restauracji. Chwilę później, dokładnie, naprzeciwko oszklonych drzwi, przez które obserwował ulicę, rozegrała się scena wylewnego powitania Pryszczalkowskiego i Siwuchy z Boncarem. Mężczyźni przez dobrą minutę obejmowali się i poklepywali po ramionach, nim wreszcie ruszyli w kierunku, z którego nadszedł Boncar.

Odczekawszy kilkanaście sekund chorąży podążył za interesującą go trójką. Niestety i tym razem nie było mu dane zaobserwować niczego przydatnego dla śledztwa. Mężczyźni zakupili kolejną porcję taniego wina i pomaszerowali prosto do mieszkania Boncara. Na wszelki wypadek Pozorski wsunął się za nimi na

klatkę schodową. Nie minął nawet kwadrans, Kiedy z ostatniego piętra dobiegły go donośne odgłosy libacji...

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co dalej robić. Korciło go, żeby zostawić Antoniego Pryszczalkowskiego i jego kompanów własnemu losowi, z drugiej jednak strony nie chciał sprawić zawodu Stefańskiemu. Przy wyjściu na ulicę spostrzegł automat telefoniczny. Bez wahania wykręcił numer porucznika, licząc na to, że tamten wrócił już do komendy. W automacie coś zazgrzytało, moneta wpadła do środka z głośnym brzękiem, ale chorąży połączenia nie uzyskał.

— Szkoda pieniędzy! — z widocznym współczuciem poinformowała go schodząca właśnie po schodach tęga dozorczyńni o rumianej twarzy. — Od czterech miesięcy nie można się doprosić, żeby ktoś zreperował tego grata. Niech pan idzie na plac. Tam pewno pan znajdzie jakiś czynny automat...

— Chyba będę musiał tak zrobić — zgodził się Pozorski.

— Ile połknął panu złotych?

— Na razie tylko jedną.

— To miał pan szczęście. W zeszłym tygodniu pewien gość stracił tutaj półtorej dychy!

— Może warto byłoby przylepić kartkę, że aparat jest nieczynny.

— Jeszcze czego?! — zachnęła się dozorczyńni. — Zaraz dostałabym mandat, że nie dbam o klatkę schodową... Ale pan chyba też z milicji, chociaż po cywilnemu? — dodała z nagłą obawą. — Niedawno widziałam tu pana z takim drugim w mundurze...

— Ma pani rację — przytaknął chorąży. — Ale mnie nie interesuje stan klatek schodowych. Próbuje czegoś się dowiedzieć o jednym z lokatorów...

— Idę o zakład, że chodzi panu o Boncara — rzuciła kobieta domyślnie. — Zresztą najwyższy już

czas, żeby powędrował za kratki. Bez przerwy zaprasza do siebie znajomków spod ciemnej gwiazdy albo upija się w jakichś spelunkach. Rzadko kiedy bywa trzeźwy.

— Poznałaby pani jego kumpli? — Pozorski bardziej odruchowo niż z widocznej potrzeby wyjął z kieszeni plik fotografii.

— Pewno, że tak! — Chwyliła skwapliwie zdjęcia i zaczęła je spiesznie przeglądać. — Siwucha i Antek Pryszczalkowski są właśnie na górze — poinformowała konfidencko milicjanta. — Fredka Pryszczalkowskiego nie widziałam już ze dwa tygodnie, a reszty nie znam po nazwisku...

— Znaczy, że jednak kręcili się tutaj?

— Tych dwóch, to nawet ostatniej niedzieli. —

Z przekonaniem wskazała fotografie Jerzego Sucińskiego i Zabawca.

— Czyżby? — Chorąży z niedowierzaniem pokiwał głową. — Coś tu chyba nie gra. Widzi pani, my bardzo dokładnie wiemy, co się działo z jednym z nich w niedzielę od piątej rano — dodał oględnie, uznając, że lepiej nie informować dozorczyńni o losie syna profesora.

— W takim razie musieli przyleźć do Boncara w sobotę albo w piątek. — Ze szczerym zakłopotaniem potarła brwi. — Ciągłe jestem okropnie zaganiana i widocznie wszystko pokręciłam...

— Zdarza się!

— Tak czy inaczej jestem pewna, że byli we dwójkę.

— Długo siedzieli u Boncara?

— Tego nie wiem.

— A często widywała ich tu pani?

— Niezbyt często. Ściśle rzecz biorąc, to byli na mojej klatce dwa lub trzy razy..

Pozorski podziękował dozorczyńni i skinąwszy jej na pożegnanie wyszedł na ulicę. Poszukiwania czynnego automatu telefonicznego nie zajęły mu więcej niż pięć minut, ale ani Stefańskiego, ani Mazurka nie zastał w komendzie. Chorąży domyślił się, że oficerowie są zajęci zastawianiem pułapki na Alfreda Pryszczakowskiego i klnąc swoje zadanie wrócił pod blok Boncara.

Przez kolejne dwie godziny chorąży kręcił się bez celu przed wejściem na klatkę schodową. Od śniadania nie miał nic w ustach i zdażył już porządnie zgłodnieć, wolał jednak nie ryzykować opuszczenia swego posterunku na kilka minut potrzebnych na zjedzenie czegoś w barze lub dokonanie jakichś zakupów w sklepie spożywczym. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno, kiedy Pozorski dostrzegł wreszcie wychodzącego z bloku Antoniego Pryszczalkowskiego. Tym razem był sam. Zatrząskując drzwi ziewnął ostentacyjnie i nie oglądając się za siebie ruszył bez specjalnego pośpiechu w kierunku Powązek.

Chcąc nie chcąc chorąży podążył za Pryszczalkowskim. Po blisko półgodzinnym marszu dotarli na ulicę Burakowską, gdzie obserwowany przystanął przed jednym z warsztatów samochodowych. Przytwierdzona do płotu kolorowa tablica informowała przechodniów, że właśnie tutaj bracia Lucjan i Antoni Zatwarscy świadczą usługi w zakresie blacharstwa i lakiernictwa. Ku zaskoczeniu chorążego Pryszczalkowski zaczął gwałtownie dobijać się do solidnie wyglądającej bramy, jak gdyby przyszedł w odwiedziny do kogoś dobrze sobie znanego. Chwilę później drzwi od warsztatu uchyliły się, ale na powitanie obserwowanego zamiast któregoś z gospodarzy wyszedł Zabawiec.

Pozorski rozejrzał się bacznie dookoła, nigdzie jednak nie zauważył żadnego z wywiadowców, co oznaczało, że Zabawiec zdołał im umknąć. W pobliżu nie było również ani jednej budki telefonicznej, chorąży nie miał więc możliwości skontaktowania się z kimkolwiek z komendy. Co gorsza obserwowani mężczyźni po krótkiej rozmowie ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą dotarł tu Pryszczalkowski, i Pozorski, aby nie zostać zauważony, musiał ukryć się

na podwórku sąsiedniego warsztatu, gdzie po ciemku rozerwał płaszcz, zawadzając nim o jakieś żelastwo.

Minęło dobre pół minuty, nim mógł ruszyć w ślad za Pryszczalkowskim i Zabawcem. Tamci dochodzili właśnie do rogu Burakowskiej i skręcali w kierunku najbliższego przystanku tramwajowego. Chorąży przyśpieszył kroku, a ostatnie metry przebiegł prawie biegiem. Dzieliła go od przystanku już tylko jezdnia, kiedy z głośnym brzękiem nadjechał tramwaj. Obserwowani mężczyźni zaczęli się żegnać ze sobą. Pozorski przez moment spoglądał na nich z wahaniem, szybko jednak podjął decyzję. Zabawiec był niewątpliwie ważniejszy dla śledztwa i chorąży wskoczył za nim do wagonu, zostawiając Pryszczalkowskiego własnemu losowi.

W tramwaju nie było zbyt wielu osób i Pozorski musiał trzymać się jak najdalej Zabawca. Na szczęście tamten, stanąwszy przy przednim wyjściu, zupełnie nie zwracał uwagi na współpasażerów. Po kilkunastu minutach dojechali do przystanku przy ulicy Marymonckiej, naprzeciwko Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego. Tutaj Zabawiec zdecydował się wysiąść i szybkim krokiem ruszył w dół Podleśną. Oczywiście mógł być to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, ale podążający za Zabawcem chorąży skojarzył sobie natychmiast, że zwłoki Jerzego Suciewskiego zostały znalezione niedaleko stąd...

Przeszedłszy jakieś czterysta metrów, Zabawiec skręcił w wąską uliczkę biegnącą pomiędzy niewielkimi damkami. Nieco dalej widniały kontury nowoczesnych wieżowców, a stan niektórych starych zabudowań świadczył wymownie, że już wkrótce cały ten teren zajmie wznoszone właśnie osiedle.

Jeden z domków wyglądał na całkowicie opuszczony. Zabawiec na moment zatrzymał się przed nim i po chwili pchnął na poły urwaną furtkę. Bez

pośpiechu przebył mały ogródek i spróbował otworzyć drzwi. Początkowo nie chciały ustąpić, w końcu jednak skrzypnęły głośno i obserwowany przez Pozorskiego, zerknąwszy odruchowo za siebie, zniknął we wnętrzu domku.

Chorąży odczekał kilka sekund i bez zastanowienia ruszył za Zabawcem. Trochę go zaniepokoiło, że tamten nie zapalił żadnego światła, ale równie dobrze mógł być to przecież dodatkowy środek ostrożności z jego strony. Na wszelki wypadek postanowił okrążyć domek i sprawdzić, czy nie ma jeszcze kogoś na jego tyłach. Jak umiał najciszej, przeszedł wzdłuż jednej ze ścian i ostrożnie wyjrzał zza rogu. Również i w tej części ogródka nie dostrzegł nikogo. Miał właśnie zrobić kolejny krok, kiedy nagle poczuł, że domek wali mu się na głowę...

12

Tradycyjna garść ziemi uderzyła o wieko trumny i obecni na pogrzebie zaczęli składać kondolencje profesorowi Suciewskiemu. Stępień zerknął dyskretnie na stojącą obok niego Witwicką. Była blada i raz po raz nerwowo zagryzała wargi, ale na jej policzkach nie spostrzegł nawet śladu łez.

Jakaś dziwna dziewczyna, pomyślał kapitan. Mazurek opowiadał, że urządziła istną scenę, dowiedziawszy się o śmierci młodego Suciewskiego, a przecież wczoraj w „Trojce” — tryskała humorem. Dzisiaj też zachowuje się jak na egzaminie, a nie na pogrzebie swojego chłopaka...

Oficer miał właśnie zamiar podejść do profesora, ale zdołał uczynić tylko jeden krok, kiedy poczuł, że Monika kurczowo chwyta go za ramię.

— Zabierz mnie stąd! — szepnęła prosząco. —
Ja już dłużej nie mogę

— No to chodźmy — ustąpił, powstrzymując się od jakichkolwiek pytań czy uwag. — Mały spacer dobrze ci zrobi

Nie żegnając się z nikim ruszyli powoli w kierunku wyjścia z cmentarza i już po kilku sekundach Stępień zauważył na twarzy dziewczyny wyraźną ulgę.

Dziękuję ci, kochanie! — Z wdzięcznością musnęła go wargami w policzek. — To było okropne!

— Wyobrażam sobie, co czułaś

— Teraz chciałabym jak najszybciej o wszystkim zapomnieć — przyznała szczerze. — Pomożesz mi?

— obiecuję!

— Szkoda, że oddałeś Stefanowi samochód.

Dzisiaj chętnie pojechałabym za miasto.

— Ja też żałuję tego volkswagena — westchnął kapitan. — Oczywiście większość facetów marzy o volvo albo mercedesie, ale skoro nie ma się żadnego wozu, człowiek oddałby duszę diabłu za poczciwego garbusa — dodał nieoczekiwanie dla samego siebie

— Nie wiedziałam, że taki z ciebie samochodziarz

— Jakoś nigdy nie było o tym mowy.

— Może profesor pożyczylby ci swoją ładę albo przynajmniej fiacika Jurka?

— Bardzo wątpię. Od przeszło pół roku nigdzie nie pracuję i wujek patrzy na mnie cholernie krzywym okiem. Na początku kręcił nawet nosem, kiedy go prosiłem o załatwienie roboty w Centrum.

— Ale w końcu obiecał ci pomóc?

— Podobno za tydzień mam już się zameldować w laboratorium u docenta Bieguna.

— Tego nudziarza?

— Ty go znasz? — zdziwił się oficer.

— Tylko z opowiadań Jurka — stwierdziła dziewczyna — On całymi godzinami mógł opowiadać

o pomysłach swojego starego, naukowych dysputach z Biegunem i świętej wojnie tej dwójki z trzecim pracownikiem Centrum, niejakim Waligórskim — odparła nie wykazując większego zainteresowania tematem. — Ja się nie znam na elektronice, ale musiałam słuchać...

Z mojej strony nie grożą ci żadne opowiadania o sprawach zawodowych — zapewnił Stępień — Zresztą Bogiem a prawdą, jest mi zupełnie obojętne, co będę robił w Centrum Równie dobrze mógłbym projektować automatyczne kurniki, bylebym dostał odpowiednią zapłatę...

— Masz rację. W dzisiejszym świecie tylko pieniądz się liczy...

Mijali właśnie cmentarną bramę, kiedy dogonili ich Rosiecki i Malina. Obaj mężczyźni byli w dość kiepskich humorach i nie starali się nawet tego ukrywać.

— Cholernie nie lubię takich uroczystości — mruknął ponuro Rosiecki. — Człowiek zaraz sobie wyobraża, że to jego ładują do piachu.

— Szczerze mówiąc, żałuję, że w ogóle przyszedłem — podchwycił Malina. — Jurkowi życia to nie przywróci, a ja się czuję okropnie. Może chlapiemy po małym dla kurażu? — dorzucił nieśmiało.

— Jeśli chcecie pić, to idźcie sami do knajpy. — Witwicka wzruszyła niechętnie ramionami. — Ja nie mam ochoty.

— Jeden kieliszek czegoś mocniejszego dobrze by ci zrobił — poparł kolegę Rosiecki.

— Dajcie mi spokój! — ucięła ostro. — Powiedzcie lepiej, co się stało z Adamem? — zmieniła temat, widząc, że Rosiecki nie zamierza ustąpić. — Wczoraj obiecywał, że przyjdzie na pogrzeb, a dzisiaj go nie widziałam.

- Pewno wlażł do mysiej dziury i trzęsie portkami przed Mirkiem zażartował Malina.
- Niby dlaczego?
- Nie pamiętasz, że na ostatniej prywatce Aśka nie chciała nawet spojrzeć na Lewickiego?
- Zabawiec też w końcu dostał od niej kosza — zachnęła się Witwicka. — A miejsce Mirka i Adama zajął u boku Aśki Leszek Maliszewski...
- Niezbadane są wyroki niebios — zauważył sentencjonalnie Rosiecki. — Myślę jednak, że przyczyna nieobecności Adama jest znacznie bardziej prozaiczna — dodał poważnie. — Ktoś mi wspominał, że Zabawiec dostał wezwanie do komendy.
- U mnie też wczoraj byli — przypomniał sobie Malina. — Na szczęście zastali tylko Ankę, bo niewykluczone, że i ja nie mógłbym przyjść na ten pogrzeb.
- Leniej nie kraczcie! — Stepień udał, że rozgląda się za kawałkiem nie malowanego drewna — Na Wybrzeżu miałem kłopoty z tymi panami, wolałbym więc teraz się z nimi nie stykać...
- Przyłapali cię na jakimś handelku? — Malina porozumiewawczo przymrużył oko.
- Głupia sprawa! — Machnął ręką kapitan. — Kiedyś w porcie zaczepił mnie jeden gość, czy nie mam zielonych. Zaczęliśmy się dogadywać, gdy z jakiejś dziury wyskoczyli milicjanci. Całe szczęście, że zdążyłem schować większość dolców. Znaleźli przy mnie tylko jednego „Waszyngtona”.
- Gdybyś miał trochę waluty na zbyciu, to wal prosto do mnie. Załatwimy sprawę bez żadnych dodatkowych kłopotów.
- Właśnie kończą mi się złotówki i w przyszłym tygodniu chętnie opchnąłbym trzy lub cztery setki — zaryzykował Stepień.
- W jakich odcinkach?

— Wolalbym najpierw zhandlować drobnicę, ale jeśli dasz dobrą cenę, to znajdą się i grubsze.

O interesach pogadacie sobie kiedy indziej — przerwała im Witwicka. Chyba że wolisz iść z nimi na wódkę, niż odprowadzić mnie do domu — spojrzała pytająco na Stępnia.

— Przecież wiesz, że cię nie zostawię — odparł kapitan z lekkim zakłopotaniem. — A zresztą zielone nie zając, mogą poczekać

— Dobrze robisz! — Rosiecki przyjaznym gestem poklepał oficera po ramieniu. — Takiej dziewczyny jak Monika ze świecą można szukać. Wszyscy zazdrościliśmy jej Jurkowi...

— Wypijcie za nasze zdrowie.

Jasna sprawa.

Malina i Rosiecki ruszyli w swoją stronę, a Stępniewi po kilku minutach oczekiwania udało się zatrzymać wolną taksówkę. Niespełna kwadrans później byli już w mieszkaniu Witwickiej. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom dziewczyna natychmiast wyjęła z barku butelkę jakiegoś koniaku i nalała sobie spory kieliszek. Spróbowała wypić alkohol jednym haustem, najwyraźniej jednak przeliczyła się ze swoimi możliwościami, bo przełknąwszy spory łyk zakasłała gwałtownie, nie mogąc złapać tchu, i po policzkach pociekły jej łzy. Po chwili przyszła nieco do siebie i z rezygnacją usiadła na brzegu wersalki. Wyglądała tak żałośnie, że kapitan ze współczuciem objął ją ramieniem.

— Jesteś taki kochany, -taki dobry... — wyszeptała z dziecinną ufnością. — Szkoda, że nie poznałam cię wcześniej...

— Zobaczysz, mała, że wszystko się jeszcze ułoży — delikatnie* pogłaskał Monikę po włosach. — Lepiej nie rozpamiętywać tego, co minęło...

— Jak ty nic nie rozumiesz! — wyrzuciła z siebie z nagłą pretensją. — Wdarłeś się w moje życie w

takim momencie! Boże, przecież to okropne. Tamtego dopiero co pochowali, a ja..

Niespodziewanie objęła oficera za szyję i mocno pocałowała w usta. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, odwzajemnił pocałunek i przytulił dziewczynę. Przyłgnęła do niego całym ciałem, ale moment później równie nieoczekiwanie szarpnęła się do tyłu

— Zostaw mnie! Odejdź! — jęknęła prosząco.

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje...

— Ależ kochanie! — Stępień chciał ją jakoś pocieszyć, coś wyjaśnić, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

— Teraz idź! - powtórzyła stanowczo.

— Zrozum, Moniko...

— Nic nie mów! — przerwała mu gwałtownie.

— To może być jeszcze piękne. Przyjdź jutro.

Obiecuję, że robię wszystko, co zechcesz.. No, prawie wszystko — bezradnym gestem zasłoniła rękami twarz. — Po prostu chcę być szczęśliwa! Z tobą...

Kapitan z mieszanymi uczuciami opuszczał mieszkanie Witwickiej. Niezbyt dobrze rozumiał zachowanie tej niezrównoważonej dziewczyny, ale podświadomie zaczynały go już dręczyć wyrzuty sumienia. Bądź co bądź bez żadnych skrupułów starał się pozyskać sympatię Moniki, aby wyciągnąć od niej jak najwięcej w miarę rzetelnych informacji o Jerzym Suciewskim i jego znajomych. W swoich pianach nie brał do tej pory pod uwagę ewentualnego zaangażowania się uczuciowego Witwickiej, a tymczasem mogło ono przecież ogromnie skomplikować sytuację.

Taroniowa wyszła akurat po coś z domu i profesor Suciewski, wyraźnie rozdrażniony, powitał oficera z nie ukrywaną niechęcią.

— Nawet w takim dniu nie może człowiek znać spokoju — mruknął z wyrzutem. — Ja ro-

zumiem, że władze śledcze mają swoje metody, z których nie lubią się tłumaczyć, jednak pański pobyt w moim domu jak dotąd nie przyczynił się do ujęcia zabójcy syna.

— Wbrew pozorom to nie jest takie proste — westchnął Stępień — Oczywiście śledztwo postępuje naprzód ale.

— Panu płacą za to, żeby tropienie bandytów było dla pana proste! — zachnął się profesor. — Każdy powinien rzetelnie wykonywać swoje obowiązki, a nie tłumaczyć trudnościami obiektywnymi brak efektów działania!

— Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, chciałbym obejrzeć pokój pańskiego syna — zaryzykował kapitan, udając, że nie dosłyszał ostatniej wypowiedzi Suciewskiego.

— Zdaje się, że pańscy koledzy już to zrobili — zaproponował gospodarz.

— Nie mieli czasu na dokładne oględziny...

— A pan musi policzyć nawet muchy na suficie? — zauważył ironicznie profesor. — Więc dobrze! — ustąpił bez dalszej dyskusji. — Daję panu wolną rękę, uprzedzam jednak, że moja cierpliwość ma swoje granice!

Stępień bez słowa ruszył do pokoju Jerzego Suciewskiego. Nie spodziewał się wprawdzie, że dokona tam jakichś rewelacyjnych odkryć, ale już drugi dzień męczyło go niejasne przeczucie, że Mazurek i Pozorski mogli coś przeoczyć.

Na pierwszy rzut oka nieżyjący właściciel pokoju nie miał nic do ukrycia. W nie pozamykanych na klucz szufladach biurka leżały całe stosy najrozmaitszych fotografii, zagranicznych magazynów i pocztówek ze zdawkowymi pozdrowieniami. Zawartość obu regałów była równie mało interesująca. Powieści kryminalne i płyty z aktualnymi przebojami zajmowały na półkach znacznie więcej miejsca niż podręczniki i fachowe czasopisma. Obrazu zainteresowań młodego Suciewskiego dopełniała modna i bardzo droga garderoba.

Po przeszło dwugodzinnych, bezowocnych poszukiwaniach kapitan postanowił dać w końcu za wygraną. Dla zaspokojenia własnej ciekawości sięgnął jeszcze po kilka wiszących na ścianach szabli i bagnatów. Całkiem wartościowe egzemplarze sąsiadowały tu z bronią pochodzącą z czasów drugiej wojny światowej i nie najlepszymi imitacjami. Szczególnie efektownie prezentował się lekki, choć dość długi sztylecik ze zdobioną delikatnym wzorem rękojeścią. Oficer wyjął go z inkrustowanej srebrem pochwy i ostrożnie dotknął palcem ostrza.

145

— Cacko ma przynajmniej dwa i pół wieku, a można by się nim golić! — cmoknął z podziwem — Najlepszy dowód, że starzy mistrzowie nie partaczyli roboty...

Podszedł do okna, żeby przyjrzeć się lepiej rekojeści, i nagle drgnął. U nasady nieskazitelnie wprost czystego ostrza spostrzegł kilka drobnych plamek o rdzawym zabarwieniu. Oczywiście mogło to być zupełnie przypadkowe zabrudzenie, ale Stępień zbyt długo pracował w swoim fachu, żeby zlekceważyć dokonane przed chwilą odkrycie. Delikatnie odłożył sztylet na biurko i przyklęknął na brązoworudym dywanie. Przez blisko kwadrans pedantycznie oglądał każdy jego centymetr kwadratowy, w końcu jednak znalazł to, czego szukał.

Profesor będzie zły, ale bez ekspertów tu się nie obejdzie, stwierdził nie bez satysfakcji, macając prawie niewidoczną plamę na skraju dywanu, dokładnie pod miejscem, gdzie wisiał na ścianie sztylet. A swoją drogą nie chciałbym być teraz w skórze moich kolegów z milicji. Przełożeni ich nie pogłaszczą za sfuszerowanie poniedziałkowych oględzin.

13

13

Punktualnie o osiemnastej Mazurek ostatni raz zlustrował kawiarnię „Ustronie” i jej najbliższe otoczenie. Wszystko było już przygotowane do zatrzymania spodziewanego za pół godziny Alfreda Pryszczalkowskiego. W „Ustroniu” pierwszy stolik przy wejściu okupowało dwóch wywiadowców

starannie ucharakteryzowanych na przedstawicieli półświatka. Trzeci funkcjonariusz żywo przypominający starszego mężczyznę na niezłym rauszu, ulokował się na tarasie przy schodach prowadzących po skarpie w dół do pobliskich ogródków działkowych. Grupę milicjantów uzupełniał sierżant Kuligowski, siedzący za kierownicą szarego fiata z cywilną rejestracją, zaparkowanego niespełna piętnaście metrów od wejścia do kawiarni.

Zadowolony z siebie i swoich kolegów porucznik wrócił do samochodu i usiadł obok sierżanta. Teraz wypadało już tylko czekać. Mazurek zapalił papierosa i miał właśnie zamiar zaproponować Kuligowskiemu włączenie radia, kiedy nieoczekiwanie stojący na tarasie funkcjonariusz umówionym gestem poprawił czapkę.

— Czyżby nygusa już przyniosło? — zdziwił się porucznik. — A może specjalnie przyjechał wcześniej, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty...

Sierżant bez słowa poprawił się na siedzeniu, by w razie potrzeby natychmiast wyskoczyć z samochodu, a Mazurek odruchowo zgasił papierosa. Tymczasem na schodach koło tarasu pojawił się niewysoki, barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce. Bez pośpiechu przedelfilował przed wejściem do kawiarni i przystanął na moment dobrych dwadzieścia metrów dalej. Rozejrzał się bacznie dookoła, ale widać nie spostrzegł niczego podejrzanego, bo pewnym krokiem ruszył z powrotem do „Ustronia”. Energicznie otworzył oszklone drzwi i bez wahania wszedł do środka.

Jeden z siedzących przy stoliku wywiadowców zmierzył przybyłego przelotnym spojrzeniem i ociężale podniósłszy się z krzesła zrobił krok w kierunku wyjścia. Pryszałkowski na ułamek sekundy zamarł w bezruchu, kiedy jednak funkcjonariusz niby przypadkiem sięgnął do kieszeni, po-

dejrzący odwrócił się gwałtownie i jak burza wypadł na ulicę. Milicjant ruszył za nim, ale pchnięte przez tamtego drzwi uderzyły go z impetem, a rozbite szkło posypało się na ziemię z przeraźliwym brzękiem.

W pierwszym odruchu Pryszczalkowski pobiegł w kierunku skarpy, widząc jednak, że czekający na tarasie funkcjonariusz zastępuje mu drogę, błyskawicznie zmienił zamiar i spróbował przedostać się na drugą stronę ulicy. Był już przy krawężniku, kiedy z radiowozu wyskoczył Mazurek. Porucznik w dwóch susach dopadł uciekiniera i bez zastanowienia chwycił go za ramię. Tamten zrobił ruch, jak gdyby chciał się wyrwać. Oficer poprawił chwyt, ale w tej samej chwili Pryszczalkowski z półobrotu wymierzył mu potężny cios w szczękę. Mazurka na moment zamroczyło, nie puścił jednak pochwyconego i obaj tracąc równowagę zwalili się na jezdnię.

Kilka sekund później jeden z wywiadowców wprawnym ruchem zatrzasnął kajdanki na przegubach Pryszczalkowskiego, a Kuligowski ostrożnie pomógł wstać porucznikowi.

— Jezus, Maria! — sapnął sierżant ze szczerym współczuciem. — Co z tobą, Michał?!

Oficer niezdarnie pomacał się po głowie i poczuł pod palcami krew. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że padając uderzył czołem o krawężnik.

— Czasem bywa i tak — odparł ponuro kolede. — Tak zwane ryzyko zawodowe...

Nie minęło nawet pół godziny, kiedy odtransportowanego do komendy Pryszczalkowskiego wprowadzono do pokoju, w którym oczekiwał na niego Stefański. Zatrzymany bąknął w progu coś, co od biedy można było uznać za powitanie, i zmierzwszy porucznika nieufnym spojrzeniem przysiadł na brzegu wskazanego krzesła.

— Mam nadzieję, że wiecie, dlaczego znaleźliście się w komendzie? — zaczął oficer dość obojętnym tonem.

— To musi być jakaś pomyłka — odburknął niepewnie Pryszczalkowski. — Ja tam nie mam nic na sumieniu.

— Funkcjonariusza milicji też uderzyliście przez pomyłkę?

— Skąd mogłem wiedzieć, co on za jeden? — wzruszył ramionami zatrzymany. — Był po cywilnemu, legitymacji mi nie pokazał...

— Innymi słowy, waszym zdaniem, cywilowi wolno rozbić głowę?

— No nie! — zatrzymany wyraźnie się stropił. — Tego nie powiedziałem.

— Jak więc wytłumaczycie swoje postępowanie?

— - Byłem zdenerwowany.

— Czym, jeśli można wiedzieć?

— Tak w ogóle...

— A samochody też kradliście ze zdenerwowania?

— Jakże znowu samochody?

Tc, które dostarczałeś Woginowi.

Ja nie znam żadnego Wogina.

— Czyżby?

Cicho skrzypnęły drzwi i do pokoju wkroczył Mazurek. Stłuczona głowa musiała mu porządnie dokuczać, bo po raz odruchowo dotykał bandaża. Porucznik spojrzął na kolegę i widząc jego niewesołą minę domyślił się, przesłuchanie nie dało dotychczas spodziewanych rezultatów.

Słuchajcie no, Pryszczalkowski — rzucił ostrym nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Cięży na was szereg poważnych zarzutów. Dobrze wam radzę, powiedzcie prawdę i wykażcie skruchę, bo inaczej może was spotkać w sądzie bardzo przykra niespodzianka...

Rok nie wyrok. dwa lata jak za brata — spróbował zażartować zatrzymany, ale widać było, że słowa oficera wyraźnie go zaniepokoiły.

— Jak uważacie - Mazurek ironicznie wydał wargi tylko na waszym miejscu nie liczyłbym na tak łagodny wyrok.

— Niby dlaczego?

— Za niektóre przestępstwa kodeks karny przewiduje dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. a nawet karę śmierci

— Rany boskie! Co też pan władza mówi?! — jęknął Pryszczalkowski. — Przecież za tę pańską głowę i trzy głupie wozy, które zhandlowałem Woginowi, chyba mnie nie powieszają?!

— Zapomnieliście jeszcze o czymś.

— Żebym tak skołał, jeśli coś więcej przeskrobałem!

— Wiecie, do kogo należała kremowa łada?

Nie mam zielonego pojęcia! przesłuchiwany z całej siły uderzył się w piersi. — To znaczy nie wiedziałem, kiedy nadali mi tę robotę poprawił się szybko.

— Słyszeliście o śmierci Jerzego Suciewskiego?

- Jezus, Maria! — Pryszczalkowski pełnym rozpaczem gestem chwycił się za głowę. — Pan podejrzewa, że ja maczałem w tym palce?!

A jak było naprawdę?

— Adam dał mi cynk, że jest krewa z tą ładą, więc przysnąłem z chałupy — bez wahania odparł zatrzymany. — Ale przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby ktoś mnie mógł zrobić w jakiegoś truposza!

— Kradzieży łady dokonaliście wspólnie. Zabawcem? — podchwycił Stefański.

W niedzielę z samego rana przyleciał do mnie Adam i zaczął nawijać, że niedaleko jego domu już od trzech dni stoi gabłota i pies z kulawą nogą się koło niej nie kręci.

— Jesteście pewni, że tak właśnie powiedział?
— Głowę daję! — gorliwie przytaknął Pryszczalkowski — Widzi pan, ja nie miałem jakoś ochoty jechać do tych cholernych Łomianek. Niedawno skręciłem dwie nowe zastawy i bałem się, że Wogin nie weźmie ode mnie trzeciego wozu. Próbowałem wytłumaczyć to Adamowi, ale on tylko powtarzał w kółko, że szkoda takiej beznamiętnej lady i że gdyby znał metę, żeby ją opylić, już dawno by sam sprawę załatwił. Tak mnie drań skołował, że w końcu dałem się namówić...
— Który z was otwierał drzwiczki?
— Zabawiec miał kilka kluczyków i któryś akurat pasował...
— Ze stacyjką było to samo? — wtrącił się Mazurek.
— Pan władza ma nosa! — Zatrzymany z uznaniem pokiwał głową. — Prawdę mówiąc to trochę się nawet dziwiłem, że Adamowi tak łatwo poszło...
— Kiedy dowiedzieliście się, że ten samochód należał do profesora Suciewskiego?
— W niedzielę o tym nie pomyślałem, chociaż rejestracja była żoliborska i kolorek też by podpadał — mruknął ponuro Pryszczalkowski. — Dopiero kiedy zaczął mnie pan pasować do tej historii z Jurkiem, co nieco mi zaświtało...
— Wspomnieliście, że Zabawiec poradził wam, żebyście wyprowadzili się z domu.
— W niedzielę po południu nie zastaliśmy Wogina i samochód odstawiłem do Józefowa dopiero wieczorem. Zdążyłem wrócić do siebie, kiedy przyniosło Adama. Powiedział, że z tą lady wyszła chryja i kazał mi gdzieś się zamelinować.
— Nie prościej byłoby odebrać wóz od Wogina i zostawić go w pierwszym lepszym lesie albo po prostu w rowie?

— Taki mądry to ja jestem dopiero dzisiaj — westchnął przesłuchiwany. — A swoją drogą, gdybym się wcześniej kapnął, co jest grane, oberwałby Adam a nie pan władza!

— Myślicie, że Suciewskiego zabił Zabawiec?

— Za rękę go nie złapałem — odparł wymijająco Pryszczalkowski. — Zresztą niech go pan lepiej sam o to zapyta... Fakt, że przez bydlaka trafiłem teraz do pudła — dodał z widoczną urazą — ale przecież nie założę mu stryczka na szyję...

— Mimo wszystko sprawa nie jest taka prosta — zauważył sceptycznie Stefański. — W końcu równie dobrze i Zabawiec mógłby sugerować, że wyście brali udział w zabójstwie.

— Kiedy ja mówię prawdę! — z uporem powtórzył zatrzymany. — Na początku trochę kręciłem, ale teraz, jak Boga kocham, możecie mi panowie zaufać!

— Pokażecie, Pryszczalkowski, miejsce, gdzie w Łomiankach stała łada profesora Suciewskiego?

— Choćby zaraz!

— No to jedziemy — zdecydował Stefański. — Tylko nie próbujcie znowu uciekać — dodał ostrzegawczo.

Mazurek spojrział na zegarek. Minęła już dwudziesta pierwsza i porucznik pomyślał, że nie jest to najlepsza pora na wyprawę do Łomianek. Chciał właśnie zgłosić koledze swoje wątpliwości, kiedy w drzwiach nieoczekiwanie pojawił się major Pytela. Sądząc po minie był wyraźnie zdenerwowany.

— Skończyliście? — zapytał z nie ukrywanym zniecierpliwieniem. — Przesłuchanie przyniosło chociaż jakieś efekty?

— Pryszczalkowski dość radykalnie zmienił swoją postawę — zameldował Stefański. — Opowiedział trochę interesujących rzeczy o Zabawcu i obiecał

pokazać miejsce, gdzie w niedzielę rano parkowała łada profesora Suciewskiego.

— Co zamierzacie?

Najpierw pojedziemy z technikami do Łomianek, a jutro z samego rana przesłuchamy Zabawca.

Obawiam się, że z tym może być poważny kłopot — zauważył major ponuro. — Wywiadowcy niestety go nie upilnowali.

— Psiakość! mruknął Mazurek. — Tymczasem przeciwko niemu przemawia coraz więcej poszlak.

- Na wszelki wypadek kazałem już powiadomić posterunki dworcowe i patrole Może Zabawiec wpadnie w oko któremuś z naszych chłopaków.

— I tak jedziemy do Łomianek, więc przy okazji sprawdzimy, czy nie kręci się w pobliżu domu... - Stefański próbował zachować spokój.

— Właśnie chciałem wam to zaproponować. — Pytela skinął oficerom na pożegnanie i ruszył do wyjścia, ale w progu zatrzymał się jeszcze na moment. — Przecież ty, Michał, powinieneś leżeć w łóżku! — przypomniał sobie, spojrzawszy na obandażowaną głowę porucznika.

— Złapiemy Zabawca, to pójde chorować! — roześmiał się Mazurek. — A w ogóle, to nie jest ze mną tak źle. Jakoś Wytrzymam...

— Tylko bez dyskusji! — uciął ostro Pytela — Ostatecznie mogłem jeszcze przymknąć oczy na to, że posiedziałeś trochę w komendzie, jednak twoim udziale w jakichkolwiek czynnościach w terenie nie chcę nawet słyszeć!

— Tak jest — z podejrzaną zgodnością ustąpił porucznik. — Już idę do domu...

— I żeby cię tu jutro nie widział!

— Będę musiał wpaść na zmianę opatrunku - niewinnie bąknął Mazurek — więc przy okazji pozwolę sobie zapytać kolegów, co ze sprawą.

Po niespełna czterdziestu minutach dwa radiowozy wiozące porucznika Stefańskiego, grupę techników i pieczołowicie pilnowanego Pryszczalkowskiego dotarły do Łomianek. Z okraczającej miejscowość szerokiej, dobrze utrzymanej szosy funkcjonariusze skręcili w lewo, w wąską, niczym nie oświetloną drogę, po obu stronach której ciągnęły się niepozorne domki. W miarę jak oddalali się od głównej szosy, zabudowania były coraz rzadsze, a radiowozy coraz gwałtowniej podskakiwały na wybojach. Dalsza jazda po ciemku była już prawie niemożliwa, kiedy Pryszczalkowski poprosił, żeby przystanąć koło niewielkiej, przydrożnej kapliczki.

Jesteśmy na miejscu — oznajmił z przekonaniem Gablota stała za tym draństwem. — Wskazał na rosnące obok kapliczki krzaki, — Od strony Łomianek nie było jej widać...

Milicjanci wysiedli z radiowozów i przy świetle latarek zabrali się do roboty. Niestety w miejscu wskazanym przez zatrzymanego można było znaleźć w błocie jedynie smętne resztki śladów opon samochodowych. Nie kryjąc zawodu Stefański zostawił techników i wrócił do służbowego fiata. Siegał właśnie po papierosa, kiedy przypadkowo zerknął w stronę kapliczki. Prawdę powiedziawszy widział już wiele takich małych, drewnianych budyneczków ze spiczastymi daszkami i prymitywnie wyrzeźbionymi świątkami, coś po jednak tknęło, żeby podejść bliżej. Nie zwracając uwagi na kałuże okrążył kapliczkę i przeskoczywszy przez wałacy się ze starości płotek zajrzał ciekawie do środka.

U stóp umieszczonej w połowie budyneczku figurki leżała sterta na poły zgniłych liści, spod których wyglądały szczątki wianuszka z rodzaju tych, jakie układa się na grobach. Oficer chwycił odruchowo jakiś patyk i nie myśląc o tym, co robi, zaczął

wygarniać śmiecie z kapliczki. Po kilku energicznych ruchach większość liści opadła już na ziemię, kiedy Stefański sięgnawszy nieco głębiej nieoczekiwanie o coś zaczepił. Porucznik poświecił sobie latarką i aż zagwizdał ze zdumienia. W dość szerokiej szparze u podstawy świątka tkwił prawie nowy, skórzany portfel. Oficer wydobył go i zajrzał do środka. W portfelu nie było pieniędzy, ale z jednej z przegródek wystawał zielony brzeżek dowodu osobistego. Moment później Stefański przekonał się, że trzyma w ręku własność Jerzego Suciewskiego.

Znalezisko było tak cenne, że porucznik biegiem wrócił do samochodu i spieszenie uruchomił radiotelefon.

— Poszukaj mi zaraz majora Pytelę! — huknął do słuchawki zapominając o regulaminowych zwrotach. — Dzwoni do domu, wyciągnij go z łóżka, a w ogóle rób, co chcesz, ale musisz mu zaraz powiedzieć, że kilka metrów od miejsca, do którego zaprowadził nas Pryszczałkowski, znalazłem dokumenty młodego Suciewskiego. Tylko nic nie podkreć, bo to cholernie ważne!

— Major kazał mi właśnie cię wywołać! — Oficer dyżurny był nie mniej podniecony od Stefańskiego. — W waszej sprawie jest kolejny trup. Pięć minut temu na Gwiazdzistej, koło przystanku autobusowego, patrol natknął się na zwłoki Zabawca. Podobno facet wygląda, jak gdyby przejechała po nim ciężarówka z przyczepą.

— Jasna cholera!

— To jeszcze nic — dorzucił ponuro oficer dyżurny. — Pozorski ego wiozą właśnie do szpitala. Ma paskudnie rozbitą głowę i nie wiadomo, czy wyżyje...
14

Głośno trzasnęły zamykane drzwi i Stepień, domyśliwszy się, że to od pokoju profesora Suciewskiego, spiesznie wybiegł na korytarz. Gospodarz wychodził właśnie do pracy, bo trzymał w ręku porządnie wypchaną teczkę.

— Jedno słówko, wujku! — Kapitan zatrzymał profesora tuż przy schodach, spoglądając bacznie w dół, czy nie ma tam przypadkiem Taroniowej. — Może wujek pozwoli do mojego pokoju...

— Jest już próżno odburknął Suciewski — a ja się spieszę do Centrum. Lepiej odłóżmy to na później!

— Sprawę musimy załatwić od ręki nie ustępował oficer — ale obiecuję wujkowi, że nie zajmę mu więcej niż pięć minut...

Profesor machnął niecierpliwie ręką, jak gdyby oganiał się od dokuczliwej muchy, po chwili wahania zawrócił jednak i mruczając coś gniewnie pod nosem

ruszył w kierunku pokoju zajmowanego przez
Stępnia.

Co znowu? zapytał opryskliwie, ledwo zamknęli
za sobą drzwi. — Czyżby dokonał pan wczoraj
jakiegoś genialnego odkrycia?

Odkrycie może nie jest genialne odparł
wymijająco — ale mimo wszystko daje do myślenia, a
w każdym razie wymaga przeprowadzenia
dodatkowych oględzin z udziałem ekspertów.

— Nie rozumiem?

— Pokój pańskiego syna muszą zobaczyć
specjaliści powtórzył spokojnie oficer. — A po-
nieważ, jak pan wie, zależy nam na dyskrecji...

— Innymi słowy mam się dzisiaj spodziewać
tuzina kolejnych krewnych i powinowatych?!

- Na godzinę lub dwie przyjdą monterzy, żeby
naprawić linię telefoniczną. Pretekst może i nie
najlepszy, ale w pokoju pana Jerzego widziałem
gniazdko i aparat...

— Myśli pan, że Taroniowa uwierzy w tę
mystyfikację?

Mam nadzieję.

— Więc dobrze, uprzedzę gospozię — zgodził
się Suciwski. — Ale pod jednym warunkiem...

— Mianowicie?

— Chciałbym wiedzieć, czego u diabła szukacie!

Na razie brak nam jeszcze pewności...

— Chyba pan sobie nie wyobraża, że pozwolę
robić z siebie durnia?! — profesor podniósł głos. na
moment tracąc panowanie nad sobą.

- Skoro pan nalega... ustąpił Stępień z wyraźną
niechęcią. — Istnieje prawdopodobieństwo, że pański
syn zginął we własnym pokoju

Coś podobnego? — Gospodarz aż przysiadł na
krześle ze zdumienia. — Co pan mówi?

— Oczywiście na razie to tylko domysły —
zastrzegł się kapitan. — Sprawa zostanie wyjaśniona
dopiero po dzisiejszej ekspertyzie

— Teraz już mnie nie dziwi, że szuka pan za-
bójcy wśród znajomych mojego syna — pokiwał
głową Suciewski. — Pewno sam bym tak robił na
pańskim miejscu. Niestety, ja poświęcałem Jurkowi
zbyt mało czasu, żeby móc opowiedzieć panu o jego
przyjaciółach czy wrogach.. Ale wie pań co? —
ożywił się nagle. — Jeśli pan chce, niech pan dzisiaj
wpadnie do Centrum pogadać z Biegunem. Ostatnio
syn spędzał z nim sporo czasu, niewykluczone więc.
że docent panu pomoże..

— Bardzo chętnie zamieniłbym kilka słów z
pańskim współpracownikiem, wolałbym jednak
spotkać się z nim gdzieś poza Centrum.

A to niby dlaczego?

— Ściany często mają uszy...

— Nie pomyślałem o tym — przyznał profesor.
— Ale na wszystko znajdzie się rada. Mógłbym
przecież panów umówić w domu u Bieguna.

Odpowiada panu godzina dwudziesta?

— Oczywiście.

— Docentowi nie muszę chyba powtarzać ba-
jeczki o naszym rzekomym pokrewieństwie?

— Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

Suciewski wychodził właśnie na ulicę, kiedy
przed willą zatrzymała się szarozielona nysa i wy-
siadło z niej czterech mężczyzn w roboczych, gra-
natowych kombinezonach. Profesor przykazał sta-
nowczo Taroniowej, żeby nie utrudniała pracy
monterom i gosposia bez szemrania, aczkolwiek
niechętnie, wpuściła przybyłych. Każdego z nich
otaksowała nieufnym spojrzeniem i dopiero in-
formacja, że Stepien będzie asystował przy naprawie
linii telefonicznej, poprawiła jej nieco humor.

Z nysy przyniesiono kilka porządnie wypchanych toreb i kwadrans później w pokoju Jerzego Suciewskiego rozgorzała gorączkowa krzątanina. W ruch poszły lampy i kamery, umożliwiające wykrycie nawet niewidocznych gołym okiem śladów, pobrano próbki z miejsca, gdzie poprzedniego dnia kapitan odkrył na dywanie podejrzaną plamę, a dowodzący ekipą siwowłosa porucznik Zanejko tak podzielił robotę, żeby wszystko w pokoju zostało dokładnie obejrzone i sfotografowane.

— Człowiek, którego w tym pokoju raniono bądź zabito, nie krwawił zbyt wiele — poinformował Stępnia Zanejko już po paru minutach oględzin. — Plama na dywanie jest stosunkowo mała, a w dodatku ktoś usiłował sprać ją arrasem lub innym podobnym środkiem. Bez odpowiedniej aparatury dość trudno zauważyć jakikolwiek ślad...

— Ja jednak zauważyłem — nie bez dumy pochwalił się kapitan. — Kiedy bodziesz mi mógł powiedzieć, co to za krew? — wrócił skwapliwie do zasadniczego tematu.

— Grupę, a jak dobrze pójdzie to i coś więcej, podam ci wieczorem — obiecał porucznik. — Nie potrzeba chyba jednak badań laboratoryjnych, żeby się domyślić, że nikt tu nie zarzynał indyka ani nie stawiał sąsiadowi ciętych baniek...

Chciał jeszcze coś dorzucić, ale w tym momencie podszedł do niego jeden z techników, trzymając w ręce niespełna półcentymetrowej długości, niezwykle cienki kawałek jakiejś folii. Zanejko spieszenie umieścił w oku zegarmistrzowską lupę i pochylił się nad znaleziskiem. Przez kilkanaście sekund spoglądał na skrawek tworzywa z niesłychaną uwagą, aż na czole wystąpiły mu kropelki potu. Kiedy wreszcie odwrócił się znowu do Stępnia, był już znacznie poważniejszy niż przed chwilą.

— Chyba mamy coś ważniejszego od śladów krwi — mruknął cicho. — Oczywiście bez badań laboratoryjnych lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków, widziałem już jednak niejedną taką kawałek kliszy fotograficznej...

— Uważasz, że to nie jest zwykła błona?

161

— Zależy, czy mikrofilm uznamy za rzecz niezwykłą — pokręcił głową porucznik. — Ale w końcu może się przecież mylić...

— Przystanek

Trzeba zawiadomić Kuglarza.
Już ja to załatwię — zadeklarował się Zanejko. Ty rób swoje... Aha! — Wyciągnął z kieszeni kasety magnetofonową. Pułkownik kazał ci przekazać kilka osobiście przez siebie nagranych informacji. Masz na czym przesłuchać?

—Owszem.

- To nie zapomnij skasować, bo szef nie życzył sobie szerszego kolportażu...

Dochodziła jedenasta, kiedy porucznik ze swoją ekipą opuścił willę profesora Suciewskiego, i Stępień mógł wreszcie skorzystać z wczorajszego zaproszenia Witwickiej. Kapitan przyczesał się odruchowo przed lustrem i spiesźnie wybiegł na ulicę. Mijając budkę Molemby przystanął na moment, by kupić papierosy. Poprosił o klubowe i od razu podał odliczone pieniądze, ale kioskarsz najwyraźniej nie miał zamiaru przepuścić okazji do zamienienia kilku słów z krewnym profesora.

- co to rura wodociągowa pękła, że z samego rana zjechali do państwa monterzy? - zagadnął z nieukrywaną ciekawością — Wyobrażam sobie, jakiego narobili bałaganu...

— To byli faceci z telefonów — sprostował Stępień. — Wujaszek stwierdził, że linia jest zepsuta, i wezwał całą ekipę. Tamci przez bite dwie godziny coś majstrowali, musiałem im dać pięć stów na piwo, a telefon jak buczał, tak buczy!

— Trafili się państwu fachowcy za przeproszeniem od siedmiu boleści.

— Myślałem, że w Warszawie nie partolą tak roboty.

— Jeszcze gorzej niż na Wybrzeżu!

— Nie ciągnie pana w rodzinne strony? — zmienił temat kapitan.

—Owszem, ciągnie, ale już się tu zasiedziałem. Zresztą, prawdę powiedziawszy, głupio by mi było,

gdymy na moje miejsce przyszła jakaś łajza i nie chciała odkładać profesorowi gazet...

— Czymże mój wujek tak się panu zasłużył?

Kilka lat temu wyciągnął mnie z nieliczej kabały — chętnie wyjaśnił Molembe. — Trafiłem za kratki, a pan Suciewski załatwił mi dobrego adwokata. Skończyło się na wyroku z zawieszeniem.

Milicja przyłapała pana na jakimś kancie w kiosku? — zainteresował się oficer.

— Co też pan! — zachnął się Molembe. Jakiś frajer nastąpił, mi na odcisk, a ja go trzepnąłem odrobinę za mocno, tak że gościa musiało zabrać pogotowie...

— Kto pana bronił?

Mecenas Smigielski.

— Wujek już mnie z nim poznał — przypomniał sobie Stępień. — Na mój gust to bardzo sympatyczny facet.

— I świetny fachowiec — dorzucił kioskarz ze szczerym przekonaniem. Aż miło było patrzeć, jak kołował sędziego, prokuratora i milicjantów... A propos, czy gliny złapały wreszcie zabójcę syna profesora?

Diabła tam! — Lekceważąco wzruszył ramionami kapitan. — Oni potrafią tylko czepiać się człowieka!

— Święte słowa — przytaknął skwapliwie Molembe. — Ale może to i lepiej — dodał po chwili — bo jak kto sprytniejszy, to mu nie dadzą rady...

Oficer odebrał papierosy, pożegnał się z kioskarzem i ruszył w kierunku ulicy generała Zajączka. Kwadrans później był już w mieszkaniu Witwickiej. Tym razem zastał tam Rosieckiego i Nowakowską. Cała trójka tryskała wprost humorem, do czego prawdopodobnie przyczynił się również jugosłowiański koniak, którego resztki pozostały jeszcze w stojącej na otwartej klapie barku butelce.

— Co to dzisiaj za uroczystość? — zapytał ze śmiechem Stępień, nalewając sobie pół kieliszka. —

Czyżby któreś z was wygrało na loterii albo w małego lotka?

— Stefan ma dla ciebie niespodziankę — zakomunikowała kapitanowi Witwicka. — Założę się, że nigdy nie zgadniesz jaka!

— Już wygrałaś, a ja płonę z ciekawości!

— Mówiłeś wczoraj, że lubisz dobre samochody?

— Owszem, ale na razie mnie nie stać, żeby sobie kupić coś odpowiedniego.

— A jednak będziesz miał klawy wóz, i to prawie darmo!

— Nie żartuj?

— Trafiła się znakomita okazja i od razu pomyślałem o tobie — potwierdził słowa dziewczyny Rosiecki. — Do zaprzyjaźnionego warsztatu jeden gość oddał pół roku temu rozbitego renaulta. Samochód został elegancko wyremontowany, a tymczasem właściciel przysłał kartkę z Monachium, że nic ma zamiaru wracać. Nic warto ryzykować przerejestrowywania wozu, bo Wydział Komunikacji zaraz położyłby na nim łapę, ale jeździć można...

— Tylko że chyba nie za dziękuję?

— Części do renaulta kosztowały pięćset dolarów, a robociznę szef warsztatu wyliczył na dziesięć tysięcy złotych. Ponieważ mam z gościem jeszcze inne rozliczenia, jest skłonny oddać mi samochód za tyle. Przyznasz, że sportowy renault nawet po wypadku ma znacznie wyższą wartość.

— Jasna sprawa — zgodził się oficer. — Za taki wóz chcą na giełdzie pół miliona.

— No widzisz.

— Nie rozumiem tylko, skąd ta filantropia?

Przecież będę ci chyba musiał zwrócić przynajmniej część różnicy?

— Mnie i tak się to opłaci — z rozbijającą szczerością odparł Rosiecki. — Prowadzę interesy z

ludźmi produkującymi różne drobne części samochodowe, mój ojciec też siedzi w tej branży...

— Nie rozumiem?

— Będziesz pracował u swojego wujka w Centrum. Tam są znakomicie wyposażone laboratoria. Wyrównamy rachunki w ten sposób, że sprawdzisz mi jeden patent. Jeśli nie będzie on wiele wart, to wprawdzie stracę na ofiarowanym ci wozie, ale zaoszczędzę forszę, którą utopiłbym w rozruchu produkcji.

— A jeśli patent okaże się dobry?

— Dołożę ci jeszcze parę groszy na benzynę...

Więc jak, umowa stoi?

— Byłbym ciężkim frajerem, gdybym nie skorzystał z takiej okazji. Kiedy można obejrzeć samochód?

— Choćby zaraz. Bracia Zatwarscy już na nas czekają.

To ci, których widziałem u Lewickiego?

— Masz niezłą pamięć z uznaniem zauważył Rosiecki.

— Przecież mówiłam ci, że Andrzej jest wspałały pod każdym względem — wtrąciła się Witwicka. Żaden ze znanych mi chłopaków nawet nie umywa się do niego.

— Zawróciłeś w głowie dziewczynie! — parsknęła śmiechem Nowakowska, spoglądając na Stępnia porozumiewawczo. — Przez cały czas opowiadała nam o twoich zaletach.

— Wracając do interesów odezwał się znowu Rosiecki — to t y c h dziesięć patyków i zielone też ci mogę pożyczyć na kilka dni. Ja akurat jestem przy forsie, więc mi nie zależy, a słyszałem, że ty masz na oku jakiś interes z Maliną..

Przyjaciel Nowakowskiej bez wahania wyjął z portfela plik banknotów i podał go kapitanowi. Ten był zbyt zaskoczony, by coś odpowiedzieć, czy

choćby przeliczyć pieniądze. Machinalnie wsunął je do kieszeni i sięgnął po kieliszek z koniakiem. Miał właśnie zamiar wypić jednym haustem alkohol, kiedy delikatnie przytrzymała go za rękę Witwicka.

— Gdzie twoje zasady? — szepnęła cicho. — Przecież przewieziesz mnie chyba dzisiaj swoim nowym wozem?

Kropelka koniaku mu nie zaszkodzi — zaproponował Rosiecki.

Monika ma jednak rację — bąknął Stępień, odstawiając kieliszek. — Najpierw doprowadźmy sprawę do końca. Prawdę mówiąc chciałbym jak najszybciej usiąść za kierownicą tego renaulta...

No więc na co czekamy? — podchwyciła Witwicka. — Jedźmy wreszcie obejrzeć nowy samochód Andrzeja!

Niespełna dwadzieścia minut później volkswagen przyjaciela Nowakowskiej zatrzymał się przed warsztatem braci Zatwarskich. Jeden z właścicieli krzątał się właśnie koło stojącego na podwórku, jaskrawoczerwonego renaulta o zgrabnej, sportowej sylwetce.

— Dobrze, że już państwo jesteście! — z wyraźnym zadowoleniem powitał przybyłych. — Samochodzik wyszykowaliśmy tak, że i nowy lepiej by nie wyglądał. Tylko wsiadać i w drogę!

Mogę pana zapewnić, panie Lucku, że Andrzej o niczym innym nie marzy! — roześmiał się Rosiecki. — Zabiera dziewczynę i jedzie w Polskę!

— Czy zechce pan wypróbować maszynę? — zaproponował Stępniewi Zatwarski, choć z jego miny wynikało, że czyni to jedynie przez grzeczność — Wprawdzie pan Stefan już ją sprawdzał, a on, że tak powiem, jest człowiekiem z branży, ale...

— Szkoda czasu! — kapitan uznał, że lepiej nie korzystać z propozycji. — W końcu do kogoś trzeba mieć odrobinę zaufania...

— Nie pożałujesz! — Rosiecki przyjaźnie poklepał oficera po ramieniu. — Dawaj forszę panu Luckowi, podpisuj papier, że kupiłeś wóz, i już nas nie ma!

Witwicka i Nowakowska zostały przy samochodzie, a mężczyźni ruszyli do warsztatu. W samym jego końcu, pod niewielkim okienkiem naprzeciwko wejścia, stało mocno sfatygowane biurko, na którym wały się rozmaite narzędzia. Podeszli tam, Zatwarski niedbałym ruchem odgarnął wszystkie części z blatu, a Stępień, nie czekając na dodatkową zachętę, sięgnął po pieniądze.

Właściciel warsztatu skrupulatnie przeliczył banknoty, z wyraźną przyjemnością wygładzając każdy z nich. Dopiero kiedy gotówka zniknęła w przyśrubowanej do blatu biurka metalowej kasetce, podał kapitanowi dowód rejestracyjny renaulta i nieco wymiętą, zapisaną maszynowym pismem kartkę papieru z jakimś podpisem.

— Kwotę i datę na umowie uzupełni pan według własnego uznania — wyjaśnił, widząc zdziwioną minę oficera. — Podpis poprzedniego właściciela samochodu jest prawie autentyczny, a w każdym razie nikt nie powinien go kwestionować.

— Stefan wspominał mi, że przerejestrowywanie wozu byłoby raczej niewskazane ...

— Bez przesady — zachnął się Zatwarski. — Jeśli pan chce, mogę pana skontaktować z pewną dziewczyną z Wydziału Komunikacji, która załatwi wszystko od ręki.

— Chętnie skorzystam.

— Umówię pana w przyszłym tygodniu — obiecał właściciel warsztatu. — Wcześniej, niestety, nie będę miał okazji.

— Tydzień zwłoki nie gra roli. Sprawa nie jest przecież aż tak pilna.

— Innymi słowy z samochodem wszystko gra — podsumował Rosiecki. — Pozostała do załatwienia jeszcze tylko maleńka formalność.

— Jaka znowu formalność? — Stępień spojrział pytająco na przyjaciela Nowakowskiej. — Czyżbyśmy coś przeoczyli?

— Przyjaźń przyjaźnią, a interesy interesami — odparł tamten z pozorną bez troską. — Ty masz wóz za pół miliona, a ja muszę pomyśleć o jakiejś gwarancji, że wywiążesz się do końca z umowy...

— Całkiem słuszna uwaga.

— Miło mi, że to rozumiesz.

— Przychodzi ci do głowy jakiś pomysł?

— Chyba nawet nie najgorszy. Podpiszesz oświadczenie, że ci pożyczyłem pięćset tysięcy, a pan Lucek będzie świadkiem. Gdyby coś nie wyszło z tamtą sprawą, zwrócisz renaulta i po krzyku.

— To brzmi zupełnie sensownie. Poprosimy pana Lucka o papier, a ty podyktujesz tekst oświadczenia.

Okazało się jednak, że dokument już zawczasu został przygotowany. Kapitan machinalnie przeczytał trzy linijki napisane na maszynie i bez wahania podpisał. Obok złożył swój podpis Zatwarski.

Przyjaciel Nowakowskiej niedbałym ruchem schował oświadczenie do kieszeni i mężczyźni podali sobie ręce na pożegnanie.

Witwicka z wyraźną przyjemnością rozparła się na przednim siedzeniu renaulta.

— Gdzie jedziemy? zagadnęła oficera, opierając głowę na jego ramieniu.

Dokąd tylko zechcesz — zadeklarował się szarmancko. — Czekam na twoje rozkazy!

Może odwiedziłibyśmy Leszka Maliszewskiego?

Jeśli tylko sprawi ci to przyjemność zgodził się Stępień. — A gdzie on mieszka?

— Teraz powinien być w willi swego starego, w Dziekanowic...

Renault nadspodziewanie dobrze trzymał się szosy; reagował błyskawicznie na najmniejszy nawet ruch kierownica czy dociśnięcie pedału gazu. Prowadzenie wozu sprawiało Stępniovi taką przyjemność, że nawet nie zauważył, kiedy dojechali na miejsce. Kapitan nie bez żalu przyhamował przed okazałą bramą. Wysiedli i przez spory ogród ruszyli w kierunku drzwi wejściowych lśniącego nowym tynkiem budynku.

- Wygląda na to, że u Leszka jest Mirek — zauważyła Witwicka, pokazując oficerowi zaparkowanego w ogrodzie białego peugeota — Trochę dziwne, bo Maliszewski nigdy nie zapraszał do siebie Lewickiego...

Podeszli do wejścia i Stępień zdecydowanie nacisnął dzwonek, ale nie wywołało to żadnej reakcji ze strony domowników. Stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte na klucz, kapitan ponownie zadzwonił. Niestety i tym razem bez skutku. Miał właśnie zamiar dać za wygraną i zaproponować swojej towarzyszce krótki spacer w stronę pobliskiego Kampinosu, kiedy spostrzegł wyłaniających się zza rogu willi Leszka Maliszewskiego i Joannę Malinę.

Co za niespodzianka! wesoło zawołał na powitanie gospodarz. — Gość w dom, Bóg w dom...

Nie przeszkadzamy? — Na wszelki wypadek wołał upewnić się oficer. — Właśnie próbowałem nowy wóz i Monika wpadła na pomysł, żeby ci złożyć wizytę.

To bardzo miło z waszej strony — powtórzył Maliszewski. A przy okazji jako pierwsi usłyszycie nowinę.

— Coś przyjemnego?

— Dla mnie owszem. Aśka zostawiła tego starego satyra i uciekła do mnie.

Mądra dziewczyna! Witwicka ze szczerą aprobatą klasnęła w dłonie. Na jej miejscu już bym to dawno zrobiła. Mirek już wie o twojej decyzji? - zainteresowała się.

Stary osioł pojechał z samego rana do Ożarowa wyklócać się o jakieś nasiona — mruknęła niechętnie Joanna. — Wróci wieczorem, to sobie przeczyta kartkę, którą mu zostawiłam na łóżku...

— Myślisz, że da ci spokój?

W razie czego osobiście wybije mu z głowy Aśkę! — odparł w zastępstwie przyjaciółki Maliszewski, buńczucznie potrząsając pięścią. — A na razie nie ma co przejmować się Lewickim. Lepiej podskoczmy do jakiejś knajpy na przyzwoity obiad — zaproponował.

— Może do „Lina”? Wprawdzie stąd to Kawał drogi, ale rybki dają tam nie najgorsze...

— Czemu nie?

— No to jedziemy Aha! — przypomniał sobie gospodarz. — Póki co mam jeszcze sprawę do Andrzeja — ściszył nieco głos. — Nie wypróbowałeś, bracie, nowego wozu na trochę dłuższej trasie?

— Chciałbyś, żebym ci coś załatwił? — domyślił się Stepien.

— Owszem — przytaknął szczerze Maliszewski.

— Nie będę miał jednak żadnych pretensji, jeśli odmówisz, jako że sprawa jest odrobinę kłopotliwa .

— Wał prosto z mostu o co chodzi.

— Widzisz, jutro powinienem się spotkać z jakimś Walterem Fischerem i odebrać od niego przesyłkę.

— Nie rozumiem, w czym problem?

— Facet nie chce dygować z Wiednia do Warszawy.

— Tylko dokąd?

— Do Szklarskiej Poręby.

— Ładna miejscowość, ale cholernie daleko

— Sam bym pojechał, tylko że jutro są imieniny mojego starego. Umawiając się listownie, na śmierć o

tym zapomniałem a chyba rozumiesz, że nie biorąc udziału w rodzinnym spędzie zrobiłbym staruszkowi przykrość.

— Mógłby ci na przykład przykręcić kranik?

— Prawdę powiedziawszy, to też....

— Mógłbyś na jeden dzień zabrać Monikę w góry

— wtrąciła się Malina, mrużąc szelmowsko oko.

— Gdybyś zechciał pojechać, odpaliłbym ci pięć, no, powiedzmy sześć patyków jako zwrot poniesionych kosztów — dorzuci! zachęcająco gospodarz — Oczywiście rozumiem, że to nie jest dla ciebie interes, ale przecież chyba zaden z nas tak tego nie traktuje

— Chętnie zobaczyłabym góry o tej porze roku

— nieoczekiwanie poparła Maliszewskiego Witwicka. — Moglibyśmy zostać w Szklarskiej przez kilka dni...

— Przegłosowaliście mnie — ustąpił oficer — Niestety jednak w niedzielę muszę być z powrotem w Warszawie. Wujek załatwia mi robotę w Centrum i miałbym krzywe kluchy, gdybym wyjechał gdzieś na dłużej

— Znaczy, że umowa stoi? — ucieszył się gospodarz — Zaraz dam ci list do tego Austriaka i adres pensjonatu, w którym się zatrzyma

— Tylko bądźcie uprzejmi załatwić wszystko na jednej nodze — ponagliła mężczyzn Monika — bo już mi kieszki marsza grają, a poza tym muszę mieć trochę czasu na przygotowania do wyjazdu

— Z Fischerem jestem umówiony na siedem-nastą, więc wystarczy, jeśli ruszycie jutro z samego rana.

— Co to, to nie! — gwałtownie zaprotestowała Witwicka — Zapomnieliście już, że mam ochotę choćby z daleka popatrzeć na góry?

— Chcesz gonić chłopaka taki szmat drogi po nocy? — Maliszewski z niedowierzaniem chwycił się

za głowę — W dodatku Andrzej nie zdążył przecież
jeszcze poznać nowego wozu

-Ja go do niczego nie zmuszam! — Nadała się niczym rozkapryśzone dziecko — Grzecznie poprosiłam, a decyzja należy wyłącznie do pana Stępnia.

— Zyczenie Moniki jest dla mnie rozkazem! — oświadczył kapitan. Dla niej poleciałbym nawet na księżyc!

15

— Czyżby coś panu nie pasowało, doktorze? — Stefański spojrzał pytająco na brodatego lekarza, który raz po raz kręcił z niedowierzaniem głową, pochylając się nisko nad stołem sekcyjnym. — Przecież przyczyna zgonu nie powinna chyba budzić żadnych wątpliwości?

Obawiam się, że będę musiał pana zmartwić — odparł doktor po chwili namysłu.

-To mi nie wygląda na wypadek drogowy.

— A ślady bieżnika na skórze denata? — zdziwił się porucznik.

— Moim zdaniem Zabawiec już nie żył, kiedy po jego ciele przejechał samochód.

— Jest pan tego pewien?

— Zdecydowana większość obrażeń nie ma charakteru przyżyciowego. Co więcej, daje głowę, że ciało było przenoszone w jakiś czas po śmierci.

— Wobec tego, w jaki sposób zginął Zabawiec?

— Wolałbym się jeszcze skonsultować z kolegami, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że przyczyną śmierci było silne uderzenie w okolicę krtani.

— Sugeruje pan, że ktoś zabił Zabawca, a następnie dla zatarcia śladów przejechał po nim ciężarówką?

— Ja jestem od stwierdzania faktów, a nie od sugestii — obruszył się lekarz. — Oczywiście, w tego rodzaju przypadkach zawsze istnieje ryzyko błędu,

niemniej jeszcze raz powtarzam, że denat nie zginął pod kołami samochodu.

— Czy uderzenie, o którym pan wspominał, zostało zadane ręką, czy też raczej, jakimś narzędziem?

— To musiało być coś w miarę elastycznego, o stosunkowo małej powierzchni i nie mające żadnych ostrych krawędzi. Kant dłoni mógłby ewentualnie pasować.

— O której nastąpił zgon?

— Mniej więcej między dwudziestą trzecią a północą.

— A kiedy pańskim zdaniem po zwłokach przejechała ciężarówka?

— Czy nie za wiele pan ode mnie wymaga? — roześmiał się gorzko doktor. — Myślę, że w grę wchodzi jakaś godzina od chwili śmierci Zabawca, ale to nie musiało być dokładnie tak, jak mówię...

Oficer spędził w Zakładzie Medycyny Sądowej przeszło dwie godziny, nie uważał jednak tego czasu za stracony. Informacje uzyskane podczas sekcji mogły mieć ogromne znaczenie dla śledztwa. W końcu szczerze podziękował lekarzowi i ruszył do wyjścia.

Przed powrotem do komendy postanowił zajrzeć do szpitala, do którego ostatniej nocy przewieziono Pozorskiego. Na miejscu okazało się, że wczorajsze bardzo pesymistyczne wieści o stanie zdrowia kolegi były na szczęście znacznie przesadzone. Chorąży odzyskał przytomność i według słów ordynatora oddziału jego życiu nie zagrażało już większe niebezpieczeństwo. Wprawdzie pacjent nie czuł się jeszcze najlepiej, ale lekarze bez większych oporów zaprowadzili porucznika do zajmowanej przez Pozorskiego izolatki.

— Dałem się podejść jak nowicjusz. — Chorąży powitał kolegę bladym uśmiechem, dotykając zna-

cząco obandażowanej głowy. — Myślałem, że sam potrafię upilnować Zabawca, chociaż łobuz wystawił do wiatru dwóch wywiadowców. I mam za swoje! Co gorsza gdzieś na wysokich szczeblach uznali, że spapraliśmy sprawę i chłopaki pułkownika Kuglarza pomału zaczynają przejmować śledztwo. — Skinął na siedzącego przy łóżku niepozornego blondyna w narzuconym na garnitur białym fartuchu. — Kapitan Jodecki przemąglował mnie tak, że czuję się, jakby mnie ktoś podłączył na stałe pod wariograf.

— Widzę, że „konkurencja” nie próżnuje — roześmiał się Stefański — No cóż, skoro tak, to ja już nie będę cię męczył.

— Wraca pan z sekcji zwłok Zabawca? — domyślnie zapytał Jodecki, podając porucznikowi rękę na powitanie. — Można wiedzieć, jaka była przyczyna zgonu?

— Zdaniem lekarza denat najprawdopodobniej

otrzymał cios karate w szyję, a później zwłoki podrzucano na Gwiazdzistą i przejechano po nich ciężarówką.

— Nawet sprytnie pomyślane — przyznał kapitan. — Mniej doświadczony lekarz mógłby się nabrać na tę sztuczkę.

— Mało brakowało, żebyście mieli dzisiaj dwie sekcje — mruknął ponuro Pozorski — przecież podobno i mnie zataszczyli na Gwiazdzistą

Kiedy złapiemy zabójcę Zabawca... będziesz mu musiał podziękować — zazartował Stefański. — W końcu darował ci życie'

— A mnie się zdaje, że nie zrobił tego bez powodu — zauważył sceptycznie Jodecki. — Może wyniki oględzin tamtego terenu i ekspertyza przedmiotów znalezionych przy Zabawcu rzucą trochę światła na całą sprawę. Ale na nas już czas — dyskretnie spojrzął na zegarek. — Pułkownik

Kuglarz zarządził na dwunastą naradę z udziałem przedstawicieli milicji, a mój szef jest przesadnie punktualny.

Mimo pośpiechu oficerowie zdążyli na naradę dosłownie w ostatniej chwili. W gabinecie pułkownika Kuglarza poza majorem Pytela porucznikiem Mazurkiem i biorącym już udział w poprzednim spotkaniu pułkownikiem w lotniczym mundurze siedziało jeszcze dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn Stefański nie widział przedtem żadnego z nich i mógł się tylko domyślić, że są to podwładni pułkownika.

— Zapewne, towarzysze, zauważyliście, że brakuje wśród nas kapitana Stepnia — zagał Kuglarz. Musiał on niestety zostać, jak to się mówi, na pierwszej linii... Tak czy inaczej spróbujemy poradzić sobie bez niego, zwłaszcza że omówienie niektórych aspektów sprawy zabójstwa Jerzego Suciewskiego wydaje mi się dość istotne.

— Teraz już mamy dwa zabójstwa — wtrącił Pytela. — Nie licząc tuzina innych, wykrytych niejako przy okazji przestępstw...

— Przede wszystkim udało się nam ustalić — ciągnął dalej pułkownik - że syn profesora zginął najprawdopodobniej we własnym pokoju. Świadczyłyby o tym ślady krwi tej samej grupy co denata na dywanie i jednym z wiszących na ścianie sztyletów. Żwłoka w ujawnieniu tych śladów nie pozostała niestety bez wpływu na tok śledztwa i teraz trzeba będzie nadrobić stracony czas...

— Muszę samokrytycznie przyznać, że nie najlepiej przeprowadziliśmy oględziny pokoju Jerzego Suciewskiego westchnął major. — Przykre to, ale znowu sprawdziła się stara zasada, że co nagle, to po diable... Tak czy inaczej, los już pokarał dwóch moich orłów. Jeden leży w szpitalu, drugi ma rozbitą głowę, proponuję więc uznać temat nieudanych oględzin za zamknięty.

— Zwłaszcza że możemy się przecież pochwalić pewnymi osiągnięciami — bąknął nieśmiało Mazurek, najwyraźniej zmieszany wypowiedzią przełożonego.

— Nie przeczę — przytaknął Pytela. — Nasi eksperci ustalili, że podeszwy butów Zabawca niemal idealnie pasują do śladów zabezpieczonych w Lasku Bielańskim.

— To już jest coś z uznaniem wtrącił Kuglarz. - Przynajmniej mamy bezpośredni dowód związku obu zabójstw. Tylko czy właśnie Zabawiec pchnął sztyletem młodego Suciewskiego?

— W grę może jeszcze wchodzić tajemniczy osobnik, który przyjechał po Zabawca do Zatwaruchy w nocy z soboty na niedzielę — pokręcił głową Stefański. Niezależnie jednak od tego, którą z wersji przyjmujemy, wyłania się pewna wątpliwość...

Czyżbyście mieli, towarzysze, jakieś kłopoty z czasem? — domyślnie podchwycił pułkownik
Owszem przyznał major ciężko
wzdychając. Jerzy Suciewski został zabity po
między dwudziestą trzecią trzydzieści a dwudziestą
czwartą trzydzieści. Przed północą Zabawiec wyszedł
od Zatwaruchy, spotkał się ze współnikiem i pojechał,
żeby dokonać zabójstwa albo usunąć zwłoki z
mieszkania profesora. Tak czy inaczej ciało mogło
zostać podrzucone w Lasku Bielańskim nie wcześniej
niż około północy Tymczasem między dwudziestą
trzecią trzydzieści w sobotę a piątą w niedzielę z pętli
przy Gwiaździstej nie odjeżdża żaden autobus!
Prowadzące na Gwiaździstą ślady Zabawca
wskazywałyby, że wsiadał on tam właśnie do au-
tobusu. Rozumując logicznie, należałoby przesunąć
moment pozostawienia zwłok w lasku co najmniej o
cztery i pół godziny, trudno jednak sobie wyobrazić,
by podróż łąką z Czarnieckiego na Podleśną trwała aż
tyle czasu.

— Myślę, towarzysze, że powinniście sobie darować ten przystanek przy Gwiazdzistej — wtrącił się milcząco do tej pory pułkownik w lotniczym mundurze. — Naszymi przeciwnikami najwyraźniej nie są tuzinkowi przestępcy. Znając niektóre rutynowe działania aparatu śledczego, mogli oni po prostu spreparować fałszywy ślad...

— Zwłaszcza że mieli do swojej dyspozycji samochód — z rozmachem stuknął się w czoło Stefański. — Zabawiec pomaszerował na przystanek i stamtąd wspólnik zabrał go do łady!

— Za taką wersją przemawiałoby również upozorowanie wypadku drogowego Zabawca i pozostawienie obok rannego Pozorskiego — zauważył Pytela. — Niespełna pięć metrów od zwłok Zabawca nasi chłopcy znaleźli rurkę z jego odciskami palców. Były na niej ślady krwi tej samej grupy co Pozorskiego i włosy...

— Dostarczono więc nam dowodu, wskazującego na Zabawca jako na tego, kto ogłuszył chorążego — zamyślił się Kuglarz. — Nauczony dotychczasowym doświadczeniem wołałbym jednak zachować ostrożność w formułowaniu wniosków... Jest zresztą jeszcze jeden fakt, o którym nie zdążyłem poinformować towarzyszy — dodał, odrobinę zniżając głos. — Dzisiaj rano w pokoju Jerzego Suciewskiego znaleziono skrawek błony fotograficznej. Nasi eksperci nie zakończyli jeszcze badań, a w takich sytuacjach zawsze istnieje ryzyko omyłki, niemniej już w tej chwili można powiedzieć, że znalezisko wygląda na kawałek mikrofilmu produkowanego w wiadomym celu przez jedną z zachodnioniemieckich firm.

Po wypowiedzi pułkownika w gabinecie zapanało milczenie. Dla wszystkich stało się jasne, że sprawa nabrała obecnie zupełnie innego znaczenia. Mazurek i Stefański wlepili wzrok w Pytelę, czekając na jego reakcję. Ten z wyraźnym zakłopotaniem potarł kilka razy mocno przeredzoną czuprynę, wreszcie zdecydował się odezwać.

— Rozumiem, że to przesądza, kto będzie dalej prowadził śledztwo — zaczął, starannie dobierając słowa. — Ale, jak już wspomniałem na wstępie naszego spotkania, oprócz sprawy zasadniczej mamy tutaj do czynienia z całym wachlarzem mniej lub bardziej związanych z nią przestępstw. Pozwolę sobie również przypomnieć, że dwóch moich ludzi przypłaciło zdrowiem swoje dotychczasowe zaangażowanie... W tej sytuacji całkowite odsunięcie naszego wydziału od dalszego śledztwa...

— Kto mówi o jakimkolwiek odsunięciu? — Kuglarz przerwał ze śmiechem majorowi. — Uważam, że dalsza współpraca opłaci się obydwu stronom. Pewnej zmiany ulegną tylko nasze role. Teraz my staniemy się gospodarzami sprawy, a wy dalej będziecie robili swoje.

— To już lepiej! — Pytela odetchnął z wyraźną ulgą. — Od czego zaczynamy?

— Nasza ekipa pojedzie do mieszkania Zabawca i przetrząśnie okolicę, gdzie został ogłuszony Pozorski, wy poszukacie ciężarówki...

— Tylko patrzeć, jak wpadnie w nasze ręce — odparł major z przekonaniem. — Godzinę temu zgłosił się do żoliborskiej komendy kierowca z „Transbudu”, któremu zginął star z przyczepą. Oczywiście może to być jedynie zbieg okoliczności, ale na wszelki wypadek poleciłem przywieźć do nas tego obywatela.

— Myślę, że towarzysze Stefański i Jodecki najchętniej przeprowadziliby tę rozmowę wspólnie?

Później mogliby się włączyć do oględzin w Łomiankach. Miejmy nadzieję, że w tym czasie któryś z patroli odnajdzie ciężarówkę.

— A co ze mną? — nieśmiało przypomniał o sobie Mazurek. — Czy towarzysze macie dla mnie jakieś zadanie?

— Wy idźcie lepiej do domu. — Kuglarz wskazał znacząco na obandażowaną głowę porucznika. — Lekarz dał wam chyba zwolnienie?

Owszem — przyznał niechętnie Mazurek. — Całe dziewięć dni... Tylko że ja chciałbym

Zadane ale — uciał ostro Pytelą. — Już wczoraj ci powiedziałem, co o tym myślę. Wyzdrowiejesz, to znajdzie się dla ciebie robotą, a teraz marsz do łóżka!

Narada dobiegła końca i wszyscy obecni ruszyli z miejsc. Chwile później Stefański i Jodecki spostrzegli na korytarzu nerwowo spacerującego blondyna. Na widok oficerów przystanął niezdecydowanie, jak gdyby nie bardzo wiedział co z sobą zrobić.

— Pan Mikołaj Cieciewicz? — zapytał domyślnie kapitan.

— Tak, to ja — wyjąkał strachliwie kierowca. — Kazali mi, więc czekam...

Weszli do pokoju Jodeckiego i Cieciewicz usiadł posłusznie na wskazanym mu krześle. Stefański przyjaznym gestem wyciągnął do wezwanego paczkę sportów, ale tamten zdecydowanie potrząsnął głową na znak, że nie pali.

— Przez myśl mi nawet nie przeszło, że ktoś może się połaszczyć na tego grata — wyznał z rozbijającą szczerością, nie czekając na pytania. — Nie ma tygodnia, żebym z nim nie był w warsztacie. Jak nie hamulce to sprzęgło, jak nie przepały, to resor się urwie, i tak w koło Macieju!

Niech pan najpierw powie, co to za wóz — przerwał łagodnie kapitan. — W końcu musimy go jakoś zidentyfikować...

— Zwykły, szarzielony star, tyle że z przyczepą
Szoferkę ma trochę jaśniejszą ale poza tym nie różni
się niczym od setek innych tego typu wozów

Odzie go pan zostawił?

— Na Lektykarskiej Widzi pan, odwiozłem
właśnie ładunek do Nowego Dworu i wróciłem pusto.
Była już ósma, a może i później, więc nie pojechałem
do bazy, tylko prosto pod chałupę dziewczyny. Za
dwa tygodnie mamy ślub, więc sam pan rozumie, jak
to jest..

Zabezpieczył pan wóz?

— Niby go pozamykałem, ale prawdę mówiąc
szoferkę każdy dzieciak byle gwoździem otworzy!
Kluczyki mam do tej pory przy sobie — Skwapliwie
sięgnął do kieszeni, jak gdyby chciał dodatkowo
udokumentować swoje słowa. — Cóż z tego, skoro
rano po starze nie było nawet śladu.

— Nie słyszał pan, jak się ktoś do niego dobierał?
— Nic a nic. Boże, gdybym mógł przewidzieć, ze tak się to skończy!

— Napytał pan sobie biedy — zauważył ze współczuciem kapitan. — Nam zresztą też.

— A czy to prawda z tym wypadkiem? — nieśmiało zagadnął Ciecwierz.

— Jakim znowu wypadkiem? — Jodecki udał zdziwienie

— W komendzie na Żoliborzu mówili mi, że moją ciężarówką ktoś rozjechał przechodnia...

— Czy akurat pańską, to się jeszcze okaże — kapitan uznał, że lepiej nie wtajemniczać kierowcy w szczegóły śledztwa. — Mam nadzieję, że nie będziemy zbyt długo czekać na wyjaśnienia. W końcu star to nie igła w stogu siana.

Oficer chciał właśnie zadać kolejne pytanie, kiedy na biurku cicho zaterkotał brzęczyk telefonu. Jodecki niecierpliwie podniósł słuchawkę, jednak w chwilę później bez słowa oddał ją Stefańskiemu. Ten również wiele nie mówił, za to wysłuchawszy informacji zatarł ręce z nie ukrywanym zadowoleniem.

— Mamy ciężarówkę! oznajmił kapitanowi — Patrol znalazł ją na Pułkowej

Po niespełna dwóch kwadransach byli już na miejscu. Zgodnie z wcześniejszym porozumieniem wokół szarozielonej ciężarówki krzątała się milicyjna ekipa. Jak zwykle w takich przypadkach szczególne zainteresowanie techników budziły opony i szoferka pojazdu...

— To pański wóz? — upewnił się Stefański, spoglądając pytająco na Ciecwierza.

— Bankowo! — potwierdził tamten bez wahania. — Nie myślałem, że tak szybko panom pójdzie — dodał na poły z wdzięcznością, na poły z podziwem. — Serdeczne dzięki!

— Z podziękowaniami niech pan lepiej trochę poczeka — roześmiał się porucznik. — Nasi eksperci sto razy obejrzą każdą śrubkę w pańskim starze, zanim pozwolą się panu do niego dotknąć.

— Ile to potrwa Przynajmniej ze dwa dni

— O rany! Kierowca aż złapał się za głowę. — Tyle przestoju? Nasz oddział i tak ledwo wyrabia plan przewozu, a tu taka nawalanka!

— Nic na to nie poradzę. — Stefański bezradnie rozłożył ręce. — My mamy do rozwiązania znacznie poważniejsze problemy niż, nawalony plan przewozu

.. Ciecwierz był niepokieszony, ale oficerowie przestali się nim zajmować Jodecki ruszył wzdłuż krawężnika lustrując otoczenie ciężarówki baczynym spojrzeniem, a porucznik podszedłszy do starsza zaczął niezwykle uważnie oglądać protektory Mimo woli stanął mu przed oczami obraz stołu sekcijnego. Skojarzenie było tak silne, że założyłby się z każdym, iż właśnie tą ciężarówką przejechano po zwłokach Zabawca. Miał właśnie zamiar powiedzieć o swoim spostrzeżeniu zbliżającemu się do szoferki kapitanowi i zrobił krok w jego stronę, kiedy Jodecki skoczył niczym wyrzu-

185

cony z katapulty i bezceremonialnie szarpnął porucznika za ramię.

— Niech pan uważa! — huknął ze złością. — Niewiele brakowało, -a zdeptałby pan ślady!

Stefański odruchowo spojrzął pod nogi. W tym miejscu przy krawężniku było błotniste klepisko.

Ponizej stopnia przy drzwiach do szoferki widniał na ziemi jakiś niewyraźny odcisk obcasa.

— Mam nadzieję, że nie jest to wizytówka żadnego z techników bąknął, usiłując ukryć zmieszanie. Już pytałem odparł Jodecki. Zaden z nich nie kręcił się jeszcze od tej strony... Aha! — dorzucił, jak gdyby mimochodem. — W pańskim imieniu kazałam zrobić odlew.

— Bardzo słusznie, ale tak między nami, to szczerze wątpię, czy daleko za jedziemy z odciskiem kawałka obcasa.

— Lepszy rydz niż nic — zauważył kapitan — Zresztą może znajdziemy coś jeszcze ..

Tym „czymś” okazał się kwadrans później niedopałek papierosa w szoferce Cieciewicz nie palił, musiał go więc zostawić jakiś przygodny pasażer albo ktoś, kto miał związek z zabójstwem Zabawca.

Zabawiec mieszkał w niewielkiej przybudówce do niezbyt nowej i dość zaniedbanej willi na peryferiach Łomianek. Właścicielka, którą okazała się tęga kobieta w średnim wieku, z wyraźną dezaprobatą śledziła poczynania ekipy przetrząsającej pomieszczenie zajmowane przez lokatora. Przybyłych oficerów powitała z mieszanymi uczuciami. Najwyraźniej miała ochotę ponarzekać na zamieszanie wywołane przez oględziny, tymczasem Jodecki sprawił jej srogi zawód. Zignorował zupełnie podążającą w jego stronę kobietę i zwrócił się do Zanejki.

— Jest coś? — zapytał z nie ukrywaną nadzieją w głosie

Guzik z pętłą! - - odparł ponuro Zanejko. - Jeśli nie liczyć dziesięciodolarówki znalezionej pod łóżkiem, zardzewiałego wytrycha, którego od wieków nikt chyba nie używał, i faktu, że ktoś zupełnie innym wytrychem majstrował niedawno przy drzwiach,

można by pomyśleć, że mieszkał tutaj Bogu ducha winien przeciętny obywatel

Trzeba szukać dalej. Nigdy nie wiadomo, co się jeszcze znajdzie

- Najprędzej kilka myszy pod podłogą, bo ten kot, co go widziałem na podwórku, wygląda na okropnego niedorajdę...

Jodeckiemu wyraźnie poczerwieniały policzki, a Stefański, choć bardzo ciekaw dalszego ciągu odbiegającego znacznie od przyjętych zwyczajów meldunku porucznika Zanejki, na wszelki wypadek odszedł kilka kroków na bok z pozorną obojętnością rozejrzał się dookoła i podchwyciwszy pełne zaciekawienia spojrzenie właścicielki willi, bez zastanowienia ruszył w jej kierunku.

— Zawsze mówiłam, że nie ma nic gorszego niż lokator — zaczęła głodno, widząc, że nareszcie

Wspominała pani, że Zabawiec przyjmował u siebie znajome.

- Za każdym razem przyprowadzał inną.

— Czy ktoś poza nimi go odwiedzał?

- Chyba nie — odparła, ale jakoś bez specjalnego przekonania - Chociaż z drugiej strony po takim można się wszystkiego spodziewać....

Wracając z Łomianek obaj oficerowie byli w nie najlepszych humorach. Najwyraźniej o dobrych kilka godzin zostali wyprzedzeni przez nieznanego przeciwnika. Zdążyli się już zorientować, że tamten działa z żelazną konsekwencją, a co ważniejsze niezwykle szybko. Zlikwidował Zabawcę, zanim władze śledcze zdołały go zatrzymać, i natychmiast usunął wszystkie dowody mogące świadczyć o przestępczej działalności denata, które z pewnością znajdowały się w jego mieszkaniu...

Jadąc Podleśną skręcili w jedną z przecznic i po kilkuminutowych poszukiwaniach odnaleźli budynek opisany im wcześniej przez Pozorskiego. Naprzeciwko stały dwa fiaty z cywilną rejestracją, a przy zdezelowanej furtce jak gdyby nigdy nic palił papierosa Mazurek.

— - Co ty tu robisz, u diabła? — zdziwił się Stefański. — Przecież nasz szef i pułkownik Kuglarz kazali ci iść do łóżka!

— Koledze rozbili głowę, a ja mam spokojnie odpoczywać! — obruszył się porucznik.

— Zapomina pan o dyscyplinie - zauważył cierpko Jodecki. — U nas to byłoby nie do pomyślenia...

— Tak w ogóle to święte słowa — Mazurek

— 190

przerwał kapitanowi z niewinnym uśmiechem. — Ale przecież każda reguła ma wyjątki... Zresztą niech pan lepiej zobaczy, co znaleźliśmy w tej ruderze — skwapliwie zmienił temat.

Na lewo od wejścia była niewielka komórka, 7. której po wąskiej drabinie schodziło się do niezbyt głębokiej piwniczki. Dwóch techników klęczało właśnie przy czymś w samym rogu. Jodecki podszedł bliżej i spostrzegł, że jest to dość prymitywna skrytka, wydrążona tuż przy ziemi w ścianie piwnicy.

— Było tam coś? zagadnął bez specjalnej nadziei.

— A jakże! — z zadowoleniem odparł jeden z techników. — Pięć kaset z mikrofilmami i elegancki aparat fotograficzny wmontowany w kieszonkowe radyjko. Cały pasztet odstawiliśmy zaraz do laboratorium, a teraz patrzymy, czy nie da się jeszcze czegoś wywróżyc z tej skrytki...

16

Stępień zatrzymał magnetofon, przewinął kasetę i sprawdził, jak się nagrała jego relacja z dotychczasowej działalności. Uznawszy, że wszystko jest w najlepszym porządku, wyjął kasetę i schował ją do kieszeni. Przez moment wahał się, czy nie skorzystać z domowego telefonu, szybko jednak doszedł do wniosku, że nie warto ryzykować. Rozmowę z pułkownikiem Kuglarzem mógł przecież przeprowadzić z budki stojącej nie dalej niż jakieś trzysta metrów od willi profesora.

Wychodził właśnie z pokoju, kiedy na korytarza pojawiła się Taroniowa.

— O gazetach znowu pan zapomniał! — rzuciła gderliwie. — Wypisz, wymaluj drugi pan Jureczek. Sto razy mogłabym prosić, a pan nic!

— Czymże naraził się pani ten Molemba? — zapytał ze śmiechem kapitan. — Przecież on nie gryzie.

— Nie mówiłby pan tak, gdyby go pan lepiej poznał — oświadczyła z przekonaniem. — Nie spotkałam gorszego gbura i zarozumialca. Nosa zadziera, że przez parę lat był na Zachodzie, gdzie pracował jako zwykły wykidajło w jakiejś podrzędnej knajpie.

— Żadna praca nie hańbi...

— A to, że wdał się po pijanemu w bójkę ze 191 studentem z Politechniki, to pies?! Tak chłopaka urządził, że musiało przyjeżdżać pogotowie.

— O co poszło?
— Podobno student wypisywał coś plakatówką na kiosku Molemby.
— Tutaj, po sąsiedzku?
— Ależ nie! — zaprzeczyła stanowczo. — On miał przedtem budkę koło Politechniki...
— Z takim typem może faktycznie lepiej się nie zadawać — przyznał oficer, chcąc udobruchać gospozię.
— A te gazety odbiorę w poniedziałek. Specjalnie zawiążę sobie supełek na chusteczce do nosa.

— Przydałby się i drugi supeł, żeby pan nogi porządnie wycierał. — Taroniowa najwyraźniej postanowiła dzisiaj zgłosić wszystkie pretensje pod adresem Stępnia. — Na Boże Narodzenie prałam wszystkie dywany, a teraz wyglądają, jakby leżały za przeproszeniem w oborze!

— Co też pani opowiada! — zaoponował kapitan. — Dywan w pokoju Jurka mógłby z powodzeniem służyć jako materac — dodał przypominając sobie starannie wyczyszczone miejsce, na którym ujawniono ślady krwi.

— Bo miesiąc temu szorowałam go arrasem. Pan Jureczek lubił, żeby u niego było czysto...

— Przed przyjazdem wujka już nie prała pani dywanów?

— Musiałabym mieć końskie zdrowie — odparła z lekką urazą. — A ja już swoje przeżyłam!

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale na parterze przy drzwiach zabrzączał dzwonek. Prawie biegiem ruszyła po schodach i chwilę później oficer usłyszał szcęk otwieranego przez gospozię zamka i jak zwykle uprzejmy głos mecenasa Smigielskiego.

— Wracałem właśnie do siebie, kiedy przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć po drodze do Witolda.

— Profesora niestety nie ma — Taroniowa poinformowała adwokata z wyraźnym żalem. — Wielka szkoda, bo na pewno ucieszyłby się z wizyty.

— W takim razie wpadnę później...

— Bardzo proszę. Profesor obiecał, że wróci na kolację.

— O której?

193

— Przed dziewiątą.

— Przystanek

— Ciekawe, gdzie się to mój przyjaciel wypuścił?

Sama chciałabym wiedzieć - gospościa bezradnie rozłożyła ręce. — W ogóle jakiś zwariowany ten dzień. Najpierw nie przynieśli mleka: później ci magicy od telefonów przez dwie godziny z okładem majstrowali coś w pokoju pana Jureczka, pan Andrzej zapomniał odebrać

prasy, a w końcu ten stary wariat Molemba w samo południe zamknął kiosk i człowiek nawet ogłoszeń w gazecie poczytać nie może...

- Mówi pani, że monterzy narobili bałaganu? — pokręcił głową Śmigieński. Czyżby zdarzyła się jakaś poważniejsza awaria? zapytał schodzącego właśnie po schodach Stępnia.

Szczerze mówiąc nie mam pojęcia odparł kapitan wymijająco. — Podobno to wujek zgłaszał jakieś uszkodzenie.

— Zreperowali chociaż co trzeba?

Trochę buczy w słuchawce, ale dodzwonić się można wszędzie. Wiec chyba coś tam poprawili.

Spróbuję sprawdzić jakość pracy panów monterów zapowiedział żartobliwie adwokat. Zatelefonuję do Witolda koło dziewiątej i zapytam, czy ma ochotę mnie dzisiaj widzieć... Kłaniam się państwu!

Oficer wyszedł za Śmigieńskim na ulicę i nie bez zdziwienia spostrzegł, że wsiada on do eleganckiego, choć może nie najnowszego forda.

— Popłatny zawód westchnął Stępień. — Mało kogo stać na taki wóz.

Uruchomił swojego renaulta i podjechał **da** budki telefonicznej. Dochodziła już godzina dwudziesta. Wykreślił więc domowy numer pułkownika Kuglarza.

Melduje się Stępień — rzucił regulaminowo, kiedy tylko usłyszał głos przełożonego. Dziękuję za informacje. U mnie wszystko w porządku. Za dwie godziny jadę na wycieczkę handlową do Szklarskiej Poręby.

— Uważaj, chłopie, na siebie!

— Jasna sprawa... Czy Zanejko miał racje, jeśli chodzi o ostatnie znalezisko w willi profesora?

Owszem, ale to nie jest rozmowa na telefon.

Korzystając z okazji nagrałem całą kasetę moich wrażeń i chciałbym ją jakoś podrzucić.

— Gdzie teraz będziesz?

— Na Stołecznej, przy Wojska Polskiego.

Za godzinę przyślę tam Jodeckiego. Znacnie się więc o żadnej pomyłce nie może być mowy...

- Odmeldowuje się.
- Powodzenia!

Kapitan wrócił do renaulta i ruszył w kierunku Stołecznej. W lusterku mignął mu przez moment jakiś szary opel, którego nie widywał uprzednio na żadnej z sąsiednich uliczek, przeszedł jednak nad tym faktem do porządku...

Biegun okazał się niewysokim, szczupłym mężczyzną o skroniach mocno już przyprószonych siwizną. Naukowiec zajmował niewielkie mieszkanie na drugim piętrze. Gościnnie zaprosił Stępnia do małego pokoiku i poczęstował go herbatą.

Żona i córka docenta zajęte były właśnie w kuchni przyrządzaniem jakiejś wymyślonej potrawy, mężczyźni mogli więc porozmawiać bez skrępowania.

— O ile wiem, w Centrum prowadzone są prace badawcze mające -znaczenie dla obronności kraju — przystąpił od razu do rzeczy oficer.

— Chodzi panu o rozwiązania do układów samosterujących? — upewnił się Biegun. — Wspólnie z profesorem Suciewskim opracowujemy prototyp nowego czujnika termicznego.

— Proszę wybaczyć laikowi, ale na czym polega różnica między nowym rozwiązaniem a stosowanymi dotychczas?

— Przede wszystkim jest dwukrotnie czulsze.

— Kto był autorem pomysłu?

— Profesor Suciewski. On opracował ogólne założenia. Ja otrzymałem do rozwiązania szereg problemów szczegółowych..

— Czyli i spadła na pana czarna robota?

— Można tak to ująć...

— W jakim stadium znajdują się prace nad projektem?

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za trzy lub cztery miesiące będziemy już mieli kompletną dokumentację techniczną.

— Ile osób bierze udział w badaniach dotyczących nowego czujnika? — zmienił temat Stępień.

— Praktycznie rzecz biorąc połowa pracowników Centrum, z tym że dostęp do kompletnych wyników, oprócz profesora i mnie, ma jeszcze tylko doktor Waligórski.

— A syn profesora? — zaryzykował kapitan. —

Słyszałem, że on bardzo interesował się projektem.

— To prawda — przyznał docent z wyraźnym zakłopotaniem. — Młody pan Suciewski często bywał u nas w Centrum, zaglądał do laboratoriów...

— Przepisy chyba nie zezwalają na dostęp osób postronnych do badań prowadzonych w waszej placówce?

— Z tego też powodu doszło do poważnych za-
drażeń pomiędzy profesorem a doktorem Waligórskim.

— Może zechciałby pan to bliżej wyjaśnić?

— Projekt rzeczywiście jest w zasadzie tajny, ale profesor prosił nas, żebyśmy podczas prac skorzystali z pomocy jego syna. Był zdania, że przyda nam się laborant po kilku semestrach elektroniki, zwłaszcza że pan Jurek odbywał już u nas jakąś praktykę...

— Pan wyraził zgodę?

— Profesor Suciewski to człowiek o dość apodyktycznym usposobieniu — westchnął Biegun. — A o jego synu mówiło się jako o przyszłym pracowniku Centrum...

- A co zrobił Waligórski?

— Najpierw oświadczył publicznie, że nie życzy sobie, by obcy kręcili się po jego laboratorium, a potem zażądał od profesora polecenia na piśmie.

— Co na to Suciewski?

— Obecnie szef udaje, że nie dostrzega doktora.

— Czy z tego wynika, że Waligórski postawił na swoim?

— Nie wiadomo, jaki byłby finał sporu, ale doktor nawymyślał panu Jurkowi od półgłówek i młody Suciewski po prostu się obraził.

- Czyżby opinia Waligórskiego o walorach intelektualnych syna profesora wynikała jedynie z jakichś osobistych animozji?

— Pan Jurek do orłów w istocie nie należał — odparł docent wymijająco. Po co jednak sięgać zaraz po epitety?

— Może ma pan rację — zgodził się oficer, ale jego symp

Waligórskiego. Tak czy inaczej będę chyba musiał sam porozmawiać z pańskim krewkim współpracownikiem...

— Mieszka na Marszałkowskiej w tym wieżowcu za „Sezamem”.

Bardzo panu dziękuję Stępień wyciągnął rękę na pożegnanie. — Sporo mi pan pomógł.

— Nie rozumiem tylko, co ma wspólnego śmierć syna profesora z prowadzonymi w Centrum badaniami?

Właśnie próbuję to wyjaśnić — zbagatelizował sprawę kapitan, — Aha. jeszcze jedno - przypomniał sobie, kiedy gospodarz odprowadzał go do drzwi. Zależałoby mi, żeby nikomu pan nie wspominał o naszym dzisiejszym spotkaniu. A gdyby przypadkowo zobaczył mnie pan kiedyś w Centrum, proszę udać, że się nie znamy...

Przed blokiem oficer spostrzegł spacerujące o wolnym krokiem Jodeckiego Jak gdyby nigdy nic ruszył w kierunku kolegi Kiedy dzieliły ich trzy lub cztery metry, Jodecki bez pośpiechu wyciągnął paczkę papierosów i ostentacyjnie zaczął obmacywać kieszenie. Kilka sekund później Stępień usłużnie podsunął mu zapalniczkę.

— Nikogo podejrzanego nie widziałem w pobliżu - szepnął Jodecki ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

— Przesłuchaj dokładnie kasetę i weź pod lupę całe towarzystwo — równie cicho rzucił Stępień. - Musisz też pojechać na Marszałkowską do doktora Waligórskiego z Centrum. To chyba równy gość, a może coś wiedzieć o Jerzym Suciewskim.

Załatwione.

No to powodzenia

— Nawzajem!

Oficerowie rozeszli się każdy w swoją stronę, zupełnie jak przypadkowi przechodnie, z których jeden nie miał czym przypalić papierosa.

Uruchamiając renaulta Stępień bardziej intuicyjnie niż świadomie spojrział przez boczną szybę. Po drugiej stronie ulicy spostrzegł takiego samego opla, jak ten, którego spotkał godzinę wcześniej przy budce

telefonicznej. W środku wozu mignęła mu czyjaś znajoma sylwetka, było jednak zbyt ciemno, żeby rozpoznać kierowcę...

Witwicka powitała kapitana w kurtce i z małą walizką w ręku.

Spóźniłeś się prawie piętnaście minut! — oznajmiła kapryśnie, ale roześmiane oczy uświadczyły wymownie, że podnieca ją perspektywa nocnej jazdy. Czy nikt cię nie uczył, że dama nigdy nie powinna czekać na kawalera?

— Akademicki kwadrans zawsze dozwolony!
—zaoponował pół żartem, pół serio. — No nie złość się,
mój kotku! — dodał pojednawczo. — Lepiej chodź,
zobaczymy, co wart jest nasz nowy samochód!

17

Nie było jeszcze siódmej, kiedy Jodecki zapukał do
drzwi mieszkania doktora Waligórskiego. Chwilę później
otworzył mu wysoki, barczysty brunet o zmierzwionej
czuprynie. Gospodarz miał namydloną twarz i był
jeszcze w pidżamie.

— Pan do mnie? — zdziwił się na widok legi-
tymacji kapitana. — Nie bardzo rozumiem, w jakiej
sprawie...

— Zapewne słyszał pan o śmierci syna profesora
Suciewskiego — oficer skwapliwie wyjaśnił cel swojej
wizyty. — Mam nadzieję, że mógłby nam pan pomóc w
wykryciu zabójcy.

— Wątpię, czy przyda się panu to, co wiem o synu
profesora. — Waligórski pokręcił głową z nie tajonym
sceptycyzmem, ale zapraszającym gestem otworzył
szerzej drzwi.

— Przeszkodziłem panu w porannej toalecie? — ze
skrucą zauważył Jodecki. — Ogromnie mi przykro,
chciałem jednak mieć pewność, że zastanę pana w domu i
dlatego pozwoliłem sobie przyjść tak wcześnie.

— Nie szkodzi — zbagatelizował sprawę gospodarz
— Przynajmniej dostarczył mi pan wymówki,
tłumaczącej panujący w moim domu bałagan.

— Może pan dokończy golenia, a ja tymczasem
poczekam?

— Niech pan siądzie — doktor wskazał kapitanowi
niewielki pokój po lewej stronie od wejścia do
mieszkania. — To nie potrwa długo

Waligórski zniknął w łazience, a oficer zgodnie z
zaproszeniem ruszył do wskazanego pokoju. Wzdłuż
wszystkich ścian piętrzyły się na półkach całe stosy
książek i zagranicznych czasopism. Pod oknem stało

małe, nowoczesne biureczko, na którym Jodecki spostrzegł jakieś porozkładane wykresy i obliczenia. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że mieszka tu naukowiec, i to w dodatku kawaler.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy gospodarz wyszedł z łazienki. Był już ogolony i dopinał właśnie guziki przy koszuli.

Wiadomość o pogrzebie młodego Suciewskiego zupełnie zaskoczyła wszystkich w Centrum — zaczął nie czekając na pytania kapitana. — Do czwartku profesor utrzymywał wszystko w tajemnicy, co dało naturalnie dodatkowy powód do różnego rodzaju plotek.

— Pan zdaje się znał zabitego?

— Owszem — przytaknął Waligórski — W zeszłym roku syn profesora był u nas na praktyce, a i ostatnio składał w Centrum bardzo częste wizyty...

— W jakim celu?

— Szef twierdził, że jego latorośl pragnie poznać miejsce przyszłej pracy, ale moim zdaniem były to po prostu jakieś fanaberie młodego człowieka.

Co ma pan na myśli?

Chłopak lepiej znał się na modzie i aktualnych przebojach niż na elektronice — naukowiec wzruszył lekceważąco ramionami. Zanim przeszedłem do Centrum, sam przez jakiś czas pracowałem na Politechnice i muszę panu powiedzieć, - że nie rozumiem, jakim cudem synalek profesora zdał najprostszy egzamin!

Rodzice są czasem bezkrytyczni w stosunku do własnych dzieci.

Szef widać wymarzył sobie że syn pójdzie w jego ślady i weźmie się **za** poważną pracę naukową. Niektórzy koledzy brali to za dobrą monetę, ja jednak nie lubię, kiedy ktoś przechodzi do laboratorium z tranzystorem i wygrywa na cały regulator skoczne melodyjki. Na dokładkę dostaliśmy właśnie zlecenie na opracowanie prototypu czujnika przeznaczonego do celów wojskowych. Przepisy o **zabezpieczeniu** tajemnicy: nie są moją najmocniejszą stroną, niemniej pomyślałem że nikt

obcy nie powinien wtykać do tego nosa nawet jeśli tym kimś jest syn dyrektora Centrum!

— Ma pan rację.

— Proszę to powiedzieć profesorowi z goryczą mruknał Waligórski - Szef okropnie mnie zbeształ i od tego czasu jestem na czarnej liście.

— Chyba rzeczywiście będziemy musieli przeprowadzić jakąś rozmowę z profesorem Suciewskim — zamyślił się kapitan. — Tak czy inaczej nie pokazywał pan jego synowi tej części projektu, której opracowanie powierzono panu?

Chłopak przez dwa miesiące omijał mnie na kilometr. Dopiero w zeszły piątek przyszedł do mojego laboratorium żeby się niby pogodzić...

I co?

— Najpierw próbowałem przemówić mu do rozsądku. Tłumaczyłem, że jeśli pragnie brać udział w naszych pracach, to najpierw musi uzupełnić swoje wiadomości z elektroniki, porządnie przyłożyć się do nauk i tak dalej

Posłuchał pana?

Gdzie tam! Powiedział, że jestem nudny i zażądał, żebym pokazał mu projekt. Tak mnie to zezłościło, że straciłem panowanie nad sobą — na twarzy gospodarza pojawiło się wyraźne zażenowanie - Nawymyślałem synalkowi szefa i wyrzuciłem go za drzwi. Z tego wszystkiego zapomniał nawet o swoim nieodłącznym tranzystorze. Prawdę mówiąc w pierwszej chwili ja również nie zauważyłem radyjka i kiedy przybiegła po nie pani Marzenka, zapewniłem ją, że chłopakowi musiało się coś pokręcić.

Co zrobił pan z aparatem? Oficer nagle przypomniał sobie o zawartości odnalezionej poprzedniego dnia skrytki — Oddał go pan?

— Niestety, nie miałem jeszcze okazji — przyznał naukowiec ze szczerą skruchą. — Tranzystor znalazłem dopiero po wyjściu sekretarki szefa. Było mi głupio i postanowiłem podrzucić go kiedyś przy okazji do

gabinetu profesora W ostatnim tygodniu szef ani razu nie prosił mnie do siebie, więc radio dalej leży w mojej szafce w Centrum.

— Oglądał je pan?

— Wcale się nim nie interesowałem. Nawet panu nie powiem, jaka to marka...

Wie pan co? — rzucił siląc się na spokój Jodecki. — Zabrałem panu sporo czasu więc żeby to jakoś wynagrodzić, mógłbym odwieźć pana do pracy. Przy okazji pokazałby mi pan tranzystor Jerzego Suciewskiego...

— Ogromnie panu dziękuję! — Waligórski aż zatarł ręce z zadowolenia — Do Centrum jest ode mnie kawał drogi, a minęła już ósma

Kapitan okazał się nienajgorszym, choć nie zawsze żyjącym w zgodzie z przepisami drogowymi kierowcą, tak że w niespełna dwadzieścia minut później parkował już swego fiata przed bramą Centrum Badawczo-Rozwojowego Automatycznego Sterowania. Obaj mężczyźni nie zatrzymywani przez nikogo minęli wartownię i weszli do budynku.

Laboratorium doktora Waligórskiego mieściło się na ostatnim piętrze. Naukowiec otworzył szafkę w której trzymał ubranie i bez specjalnego zainteresowania podał oficerowi niewielki aparat tranzystorowy. Jodecki pochwyił go, niczym cenną zdobycz, i zaczął bacznie oglądać ze wszystkich stron. Na pierwszy rzut oka był to zwykły filips nie najnowszego typu, ale kapitan nie potrzebował nawet trzydziestu sekund, żeby znaleźć sprytnie zamaskowany z boku skali obiektyw, a z drugiej strony radia przycisk zwalniający migawkę.

— Co to takiego? — bąknął zaskoczony Waligórski. Czyżby ten bydlak chodził po laboratoriach i fotografował dokumentację?!

— Proszę nikomu nie mówić o naszym odkryciu — twardo zaznaczył oficer. — Dzięki swoim zasadom a trochę i przez przypadek, pokrzyżował pan plany obcego wywiadu. Moi przełożeni podziękują pewno panu znacznie uroczyściej niż ja, a na razie musimy się

pożegnać. Sprawę trzeba przecież doprowadzić do końca...

Jodecki odwiózł radio z ukrytym wewnątrz aparatem fotograficznym do siebie i oddawszy je w ręce ekspertów prawie biegiem wrócił do swojego fiata. Miał dzisiaj w planie przeprowadzenie jeszcze kilku rozmów, wołał więc nie tracić czasu.

Na pierwszy ogień postanowił wziąć braci Zatwarskich. Przed warsztatem przy ulicy Burakowskiej stały właśnie syrena starego typu i zupełnie nowa skoda. Obie miały mocno pokiereszowane karoserie, a Lucjan Zatwarski kończył właśnie pertraktacje z jednym z klientów. Na widok wysiadającego z samochodu kapitana uśmiechnął się z zawodową uprzejmością i spieszenie ruszył w jego kierunku.

— Moje uszanowanie drogiemu panu — powitał oficera Czym nasza firma może panu służyć? Zgaduję, że zrobimy małą blachareczkę? — wskazał domyślnie na brzydki wgnieciony przedni błotnik po stronie kierowcy — A i lakierek przydałoby się nowy położyć bo stary odpryskuje...

— W przyszłości chętnie skorzystam z pańskich usług. Jodecki sięgnął skwapliwie po legitymację. Ale teraz chciałbym zamienić z panem kilka słów

Mój Boże, ja nic nie rozumiem... To znaczy, oczywiście! Natychmiast panu służę! — wybełkotał niezbyt składnie właściciel warsztatu, nawet nie usiłując ukryć swego zmieszania. Wspólnik, to jest brat Antoni wyjechał za interesami i teraz wszystko na mojej głowie — dodał bez widocznego związku.

— Słyszał pan o śmierci Jerzego Suciewskiego? — przystąpił do rzeczy kapitan. — Czy mógłby pan coś o nim powiedzieć?

— Właściwie to ja go prawie nie znałem zastrzegł się Zatwarski. — Kiedyś miał małą stłuczkę i odszykowaliśmy z bratem jego fiacika. Później nie przyjeżdżał już do naszego warsztatu.

— Prywatnie stykaliście się jednak ze sobą — nie ustępował oficer.

— Mieliśmy wspólnych znajomych — przyznał niechętnie Zatwarski. — Niech pan jednak raczy zauważyć dzielącą nas różnicę wieku. Z powodzeniem mógłbym być przecież ojcem pana Jurka.

Co to byli za wspólni znajomi?

— No, różni... Człowiek styka się z wieloma osobami...

— Ich nazwiska?

Chwileczkę, niech pomyślę - właściciel warsztatu rozpaczliwie zaczął rozglądać się na boki jak gdyby chciał uciec gdzieś przed Jodeckim. Pytał pan o tych najbliższych znajomych czy też...

— Oj, nieładnie, panie Zatwarski! — z wyraźną dezaprobatą pokręcił głową kapitan. Jak można prowadzić interesy z tak słabą pamięcią?

— Bo widzi pan...

Na razie widzę, że pan nie chce być ze mną szczerą oficer przerwał bezceremonialnie jękającemu się mężczyźnie. — Należałoby się tylko zastanowić, czym jest podyktowana taka postawa!

Ależ broń Boże! — bąknął strachliwie Zatwarski. Ja zawsze z władzą... Już zresztą przypominałem sobie te nazwiska.

No więc?

— Pan Lewicki zapraszał nas czasem do Wesołej, pan Maliszewski urządzał weekendy w Dziekanowie, z rzadka odwiedzała nasz warsztat narzeczona pana Jurka, panna Witwicka...

A niejaki Zabawiec? podpowiedział Jodecki.

Jego widziałem najwyżej ze dwa razy w życiu.

A ostatnio w czwartek wieczorem?

Właściciel warsztatu poczerwieniał nagle, niczym złapany na kłamstwie sztubak, i przez moment najwyraźniej nie wiedział, co odpowiedzieć. Kilka razy nerwowo przygryzł wargi, jak gdyby szukał jakiegoś wykrętu, w końcu jednak z rezygnacją opuścił głowę.

— Pan Adam faktycznie był u mnie — powiedział cicho. — Wspominał, że ma poważne kłopoty z milicją, i prosił o pomoc.

—O jakie kłopoty chodziło?
—Wolałem nie pytać.

- A czego chciał od pana?
- Żebym mu pożyczył samochód.
- Pan się nie zgodził?
- Byłoby to przecież bardzo nierozważne z mojej strony.
- I ja tak sędzę.
- Pan Zabawiec siedział u mnie przez dobrą godzinę, telefonował do kilku znajomych i wyszedł dopiero, kiedy go wyraźnie o to poprosiłem.
- Sam czy też ktoś po niego przyszedł?
- Widać dodzwonił się do kogoś. Tamten wyglądał bardzo podejrzanie i, prawdę mówiąc, bałem się go nawet wpuścić do domu...
- Zna pan ludzi, do których telefonował Zabawiec?
- Nie byłem ciekaw tych rozmów.
- No dobrze — kapitan uznał temat za wyczerpany.
- A co mi pan może powiedzieć o Rosieckim?
- Ma pan na myśli Konstantego czy Stefana?
- Raczej Stefana...
- Kiedyś przyjaźniłem się z ojcem, więc siłą rzeczy widywałem i chłopaka, kiedy jeszcze był taki. — Zatwarski obrazowo zniżył rękę ku ziemi. — Później nasze kontakty jakoś się rozluźniły... Wiem, że Konstanty prowadzi niewielki interes przy Tatarskiej, ale co robi jego następca, tego już panu nie powiem.
- Z młodym Rosieckim nie łączyły pana żadne interesy?
- Absolutnie... To znaczy parę razy świadczyliśmy sobie wzajemne przysługi — poprawił się szybko Zatwarski. — Na przykład on mi załatwił zagraniczny lakier, a ja ostatnio zrobiłem dla niego blacharkę w sportowym renaulcie...
- Dziękuję panu — oficer wyciągnął do właściciela warsztatu rękę na pożegnanie. — Aha! — przypomniał sobie w ostatniej chwili. — Mam jeszcze dwa pytania.
- Słucham.
- Czy pan albo pański brat byliście kiedyś u Jerzego Suciewskiego?

— Nigdy nas nie zapraszał.
— A gdzie jest teraz pan Antoni, jeśli można wiedzieć?
— Gdzieś w Polsce! — Zatwarski bezradnie rozłożył ręce. — Brat pojechał szukać lakierów...
Jodecki nie miał większych trudności z odnalezieniem niewielkiego sklepiku, a właściwie drewnianej budki z metalowymi akcesoriami samochodowymi. W środku siedział starszy, przygarbiony mężczyzna o rzadkich, siwych włosach i pomarszczonej twarzy.
— Pozdrowienia od pana Lucjana Zatwarskiego! — rzucił z udaną wesołością kapitan, uznając, że tym razem lepiej się nie przedstawiać. — Nie zastałem przypadkiem syna?
— Dzień dobry panu! — Rosiecki zmierzył oficera uważnym spojrzeniem. — Za pozdrowienia dziękuję, ale wybacz pan, pana nie mogę sobie jakoś przypomnieć...
209
— Nic dziwnego — roześmiał się Jodecki. —
— Przystanek

Widział mnie pan, panie Konstanty, dobrych osiem albo nawet i dziesięć lat temu. Ludzie się zmieniają!

To prawda przytaknął właściciel sklepiku. — Panowie nosiliście wtedy włosy jak dziewczęta i trudno was było rozróżnić.

Stefan pana ni pomaga?

Gdzie tam! On ma własne interesy i na moje nie chce nawet patrzeć. Gada, że taka praca jest dla niego za ciężka. A co stary, mam powiedzieć? Jeszcze trochę i zlikwiduję sklep, bo sam już nie daję rady.

Szkoda by było.

— Pewno, że szkoda. Całe życie tyrałem jak wół, żeby się dorobić — obrazowo zatoczył ręką — A teraz to wszystko diabli wezmą. Może pan jakoś przekona syna - dodał z nadzieją bo kiedy ja próbuję, on się tylko śmieje.

— Nie wie pan, gdzie mógłbym teraz zastać Stefana?

— Mieszka na Mickiewicza, przy placu Inwalidów, ale czy go gdzieś nie poniosło, głowy nie dam ..

Obawy Konstantego Rosieckiego okazały się niestety uzasadnione. Kapitan przez blisko dziesięć minut bezskutecznie dzwonił i pukał, w mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza panowała jednak kompletna cisza. W końcu dał za wygraną i zrezygnowany wrócił do swojego fiata. Otwierając drzwiczki spostrzegł zaparkowanego w pobliżu szarego opła. Nie zwrócił na niego specjalnej uwagi, kiedy jednak ruszył z miejsca, zauważył, że opel jedzie za nim. Obcy samochód towarzyszył oficerowi aż do szpitala bielańskiego. Tu Jodecki, nie bacząc na przepisy, znacznie przyspieszył i opel choć z pewnością nie miałby trudności z nadążeniem, pozostał gdzieś z tyłu..

Sprzed willi Maliszewskiego odjeżdżała właśnie taksówka. Kapitan zaparkował przy bramie i ruszył w kierunku wejścia. W otwartych drzwiach stali gospodarz i Malina, spoglądając kpiąco na czerwonego ze złości Lewickiego.

— Prędzej bym się śmierci spodziewał krzyczał ten tak głośno, że pewno słychać go było we wszystkich

okolicznych domach. — Cóż za niewdzięczność!
Wyciągnąłem ją z błota, ubrałem dałem zjeść! Niczego
dziwce nie brakowało, a ona poleciała do jakiegoś
gówniarza!

— Leszek jest przynajmniej chłopakiem do rzeczy,
a nie obleśnym, sflaczałym satyrem! Malina prychnęła
jak kotka. — Wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju!

— Wiesz, ile mnie kosztowałaś? Myślisz, że kiecki i
błyskotki były darmo?!

Możesz to wszystko zabrać! — W nagłym odruchu
zerwała z szyi niezbyt długi naszyjnik ze szlifowanych
bursztynów i cisnęła nim w twarz Lewickiemu —

Wypchaj się swoimi prezentami. — W ślad za
naszyjnikiem powędrował jakiś pierścionek.

A pan tu czego szuka? - Maliszewski dopiero teraz
zauważył nadchodzącego oficera

—Chciałem zamienić z panem kilka słów — odparł
spokojnie Jodecki, wyciągając legitymację.

— To ja już pójdę — bąknął pod nosem Lewicki. —
Widzę, że nic tu po mnie.

— Kluczyki znajdziesz w wozie. — Malina po-
gardliwie wskazała byłemu przyjacielowi zapar-
kowanego obok willi peugeota — Jedź i nie pokazuj się
więcej!

Lewicki ruszył w kierunku samochodu. Po drodze
schylił się jeszcze po leżący w trawie naszyjnik i, nie
zwracając uwagi na obserwujących jego poczynania,
schował bursztyny do kieszeni

— Przepraszamy za scenę, której był pan mimo-
wolnym świadkiem — gospodarz uśmiechnął się z
pewnym zakłopotaniem do kapitana. — Rozumie pan
jednak, że kiedy w grę wchodzi dziewczyna...

— Myślę, że często dochodzi nawet do znacznie
ostrzejszej wymiany zdań — zbagatelizował sprawę
oficer — Chyba nie warto zaprzętać sobie głowy panem
Lewickim Osobiście znacznie bardziej interesuje mnie
tragicznie zmarły Jerzy Suciewski.

— Szkoda chłopaka — westchnął Maliszewski —
Był ~~z~~ nym kumplem

— Trochę narwany, ale zawsze zachowywał się fair w stosunku do kobiet — wtrąciła bez pytania Malina.

— Pewno dlatego, że świata nie widział poza swoją Moniką — mruknął gospodarz — Tak się w niej biedak zadurzył, że skoczyłby w ogień, gdyby tylko kiwnęła palcem

— A ona?

— Czy ja wiem, jaka ona jest? — Maliszewski niezdecydowanie podrapał się w głowę. — Nigdy się nią nie interesowałem Jak myślisz, Aśka, czy Monika czuła coś do Jurka?

— Ona była jakaś dziwna — zamyśliła się dziewczyna. — Czasami dostawała szału zazdrości, kiedy Suciewski spojrział na inną a czasami sprawiała wrażenie, że jest jej zupełnie obojętny.

- Ostatnio nic się między mmi nie zmieniło? — na wszelki wypadek zapytał Jodecki.

— Nie sędzę — odparł gospodarz.

— Może pan Suciewski zachowywał się jakoś inaczej niż zwykle? — nie ustępował kapitan.

— Jeśli nie liczyć tego, że mi paskudnie nawalił w zeszły piątek, to raczej nie.

— - Miał coś panu załatwić?

—Z rana obiecał, że po południu pojedzie do Gdańska. Zawsze był bardzo słowny, a tu nie tylko że nie pojechał, ale nawet nie raczył powiedzieć, że się rozmyślił. Na dokładkę w sobotę, kiedy zatelefonowałem do niego, po prostu rzucił słuchawkę.

— Proszę mi wybaczyć ciekawość, chciałbym jednak wiedzieć, w jakiej sprawie wysyłał pan Suciewskiego na Wybrzeże?

— Nasi znajomi z Austrii chcieli koniecznie zwiedzić gdańskie zabytki — wyjaśnił Maliszewski z niezbyt pewną miną. — Jurek znał miasto lepiej ode mnie, a zresztą tak się złożyło, że ja musiałem zostać w Warszawie...

Ruszając sprzed willi Maliszewskiego oficer znowu spostrzegł szarego opla. Z zawodowego nawyku

zapamiętał uprzednio numer rejestracyjny, o żadnej pomyłce nie mogło więc być mowy. Przez moment Jodecki zastanawiał się, co robić dalej. Z jednej strony nie miał ochoty na niepowołaną asystę przy swoich dalszych czynnościach, z drugiej jednak nie widział również większego sensu w zatrzymywaniu śledzącego go osobnika. Postanowił w końcu, że da do zrozumienia nieznanemu, iż nie jest zachwycony jego towarzystwem.

Kapitan przejechał jeszcze jakieś trzy kilometry i niespodziewanie zatrzymał swojego fiata. Obcy samochód minął go, jak gdyby nigdy nic. oficer nie dał się jednak zwieść pozorom. Odczekał dobrą minutę i bez pośpiechu ruszył dalej. Po chwili zgodnie ze swoimi przewidywaniami zauważył zaparkowanego na poboczu szarego opła. Na wszelki wypadek pomacał, czy pistolet dość lekko wysuwa się z umieszczonej pod pachą szelki, i podjeżdżając do tamtego samochodu gwałtownie zahamował. Chciał już otworzyć drzwiczki, ale kierowca opła okazał się znacznie sprytniejszy, nr tego oczekiwał oficer. Silnik szarego wozu zawył na najwyższych obrotach i opel wyprysnął tyłem na szosę, a moment później pomknął w kierunku Warszawy

Jodecki nawet nie próbował pościgu Zdawał sobie sprawę, że jego nie najnowszy w końcu fiat nie ma większych szans w konfrontacji z tamtym samochodem. Kapitan był tylko ciekaw, czy numer rejestracyjny szarego opła okaże się autentyczny...

Dotarcie do Wesolej i odszukanie niewielkiej, zaniedbanej chałupki, której połowę zajmowała rodzina Morczyków, trwało blisko godzinę. Oficerowi otworzył dość niski, barczysty chłopak w brudnej, flanelowej koszuli Zdaniem Jodeckiego mógł on mieć nie więcej niż jakieś dwadzieścia trzy lata.

Matka poszła do Soleckich na ploty poinformował kapitana, nie czekając na jego pytanie. — To sąsiednia chałupa...

Obywatel Morczyk? — upewnił się Jodecki, pokazując z daleka legitymację. — Ja do was.

Jestem Kazimierz Morczyk — przyznał chłopak z wyraźnym strachem. — Ale może pan do Józka, znaczy mojego brata? — zapytał z nadzieją w głosie. Bo widzi pan, on pojechał właśnie do znajomej do Otwocka i wróci dopiero w poniedziałek...

Załatwię z wami, to znajdę i waszego brata obojętnie wrzucił ramionami oficer.

A o co chodzi?

Zaraz się dowiecie. Jodecki bez pośpiechu wyciągnął z kieszeni notatnik i zaczął udawać, że przegląda zapiski.

— Wszystko w swoim czasie.

— Czyżby ktoś złożył skargę?

- Zgadliście — skinał głową kapitan. — Dotarło do mnie doniesienie jednego obywatela, że napadliście na niego w nocy z wtorku na środę — dodał niezupełnie mijając się z prawdą I co wy na to?

— Na rany Chrystusa! — Morczyk wytrzeszczył oczy w bezgranicznym zdumieniu. — Facet przyłał mi, że do tej pory gęby nie czuję. — Wskazał znacząco na opuchniętą twarz. — I jeszcze złożył skargę?

— Lanie i tak wam się należało — zauważył oficer — ale ten nóż, który był w robocie, pachnie kryminałem.

— Jak Boga jedyne kocham, ja nie chciałem! — Chłopak grzmotnął się pięścią w piersi, że aż zagrzmiało. - Gość załatwił mi brata, więc się sunąłem do niego. Ja go raz, on mnie dwa. Kopyto miał nie powiem — cmoknął z mimowolnym podziwem. — Z punktu wszystkie gwiazdy stanęły mi przed oczami!

— I wtedy sięgnęliście po kozik?

— Licho mnie podkusiło... Jezus, Maria! — Morczyk złożył ręce w błagalnym geście. — Co teraz ze mną będzie? Przecież ja już dwa razy miałem kolegium za chuligankę!

— Dlaczego zaczepiliście tego obywatela?

— To wcale nie chodziło o niego — zachnął się chłopak. — Przyuważyliśmy Ludkę Nowakowską i chcieliśmy dać jej do wiwatu. A ten facet nie chciał odejść. Od słowa do słowa i wyszło z tego mordobicie.

213 Nie rozumiem? — udał zdziwienie Jodecki.

— Bo to było tak. — Morczyk przysunął się do kapitana. — Józek chodził z Ludką, a ja z taką Moniką Witwicką. One przyjaciółki, my bracia, więc nam to pasowało. Zaczęliśmy już myśleć, żeby razem urządzać wesele. Zanim jednak doszło co do czego, dziewczyny pojechały na wczasy do Sopotu. Chciały poznać trochę życia.. No i poznały! — sapnął ze złością. — Później każdy, kto miał forszę, był dla nich dobry. Na nas z bratem jedna z drugą nawet nie spojrzała, ale jak ten zaśliniony paniczyk Lewicki urządzał rozbierane ubawy, to kijem ich stamtąd by nie wygonił, A mnie i Józka cała okolica wzięła na języki, że z dziwkami chcieliśmy się zenić, a one nas puściły w trąbę!

— Rodzice nie przemówili dziewczynom do rozsądku?

— Monikę wychowywała jakaś ciotka, a stary Ludki prawie nie trzeźwieje

— One chyba nie mieszkają już w Wesołej?

— Przeniosły się do Warszawy Słyszałem, że sporo grosza trafiły w zeszłym roku na wycieczce do Austrii i Włoch, a jak im braknie, to pewno dorabiają na ulicy...

— Tak czy inaczej wasza urażona ambicja nie jest żadnym usprawiedliwieniem awantur! — Oficer przybrał znowu urzędowy ton. — *Raz* na zawsze musicie to zapamiętać, Morczyk!

— Znaczy, że nie zrobi mi pan sprawy? — Chłopak aż klasnął w dłonie z radości — Jak Boga kocham, byczy z pana facet!

— Tylko żebyście znowu za coś nie podpadli, bo wtedy już nie będzie taryfy ulgowej!

18

— Pobudka! Wstawaj wreszcie, śpiochu! — zawołał wesoło Stępień do skulonej na tylnym siedzeniu 214 Witwickiej. — Już dzień, a i my zaraz będziemy w Szklarskiej Porębie!

Tak szybko? — ziewnęła, sennie przecierając oczy. Przecież dopiero co się zdrzemnęłam..

Spałaś jak suszeł przez bite cztery godziny — roześmiał się kapitan. Nawet nie poczułaś, kiedy przenosiłem cię do tyłu.

— Kochany jesteś, że mnie nie zbudziłeś.

Ciekawe tylko, gdzie ja się teraz prześpię, bo o tej porze roku w większości domów wczasowych w Szklarskiej bywa komplet

Mam zaprzyjaźnioną gospodynię, u której zawsze znajdzie się pokój — uspokoiła go dziewczyna — Zaraz pokażę ci drogę....

Dwadzieścia minut później oficer zaparkował renaulta przed niewielkim, ale schludnie wyglądającym pensjonatem i razem z Witwicką ruszyli do wejścia. W drzwiach powitała ich starannie ubrana i uczesana blondynka.

Co ja widzę? Pani Monika zaszczyliła moje skromne progi! — zawołała z nieco sztuczną radością. — Prawdę mówiąc, kiedy nie przyjechała pani w niedzielę, przestraszyłam się, że nieprędka panią zobaczę.

A jednak jestem

I to w towarzystwie uroczego, młodego człowieka.

Stępień... — Kapitan szarmancko pocałował właścicielkę pensjonatu w podaną dłoń.

Karzelkowa...

Znajdą się dla nas dwa sąsiednie pokoiki? — przymilnie zapytała Witwicka. — Jechaliśmy przez całą noc i prędzej czy później Andrzej straci ZAinteresowanie dla całego świata...

— Ależ oczywiście! Pan Jurek był zawsze bardzo zadowolony z „trójki”, więc myślę, że i panu przypadnie do gustu tamtejsze łóżko. A panią ulokujemy jak zwykle w „czwórce”.

Bardzo pani dziękujemy!

— Cała przyjemność po mojej stronie... Państwo na długo?

— Raczej jak po ogień.

No tak! westchnęła Karzełkowa, — Jeden pan Leszek potrafi docenić uroki Karkonoszy Pozostali państwo przyjeżdżacie na dzień lub dwa i już was nie ma!
— Cóż poradzie, skoro wiecznie brakuje nam czasu
— O Boże! Właścicielka pensjonatu chwyciła się za głowę. Ja tu państwa zanudzam, a państwo pewno bez śniadania?

Nie wiem jak Monice, ale mnie z głodu kiszki marsza grają — przyznał oficer

W takim razie zaraz coś przygotuję zaproponowała Karzełkowa. A tymczasem radziłabym państwu wziąć prysznic. Nic tak dobrze nie robi po męczącej podróży...

Półtorej godziny później Stepień i Witwicka w doskonałych humorach ruszyli na spacer po Szklarskiej Porębie. Słońce prażyło jak w lecie i dziewczyna, nie bacząc na śniegowe czapy okrywające okoliczne szczyty ani na protesty kapitana, ubrała się w cienką, zamszową kurteczkę, a na nogi zamiast bardziej solidnego obuwia założyła adidasy. W jednej z licznych w kurorcie kawiarenek oficer zafundował Monice lody, w innej lampkę wina i nim się spostrzegli, minęło już południe.

Kolejka pod stacją wyciągu krzeselkowego była wprawdzie dość długa, ale Witwicka postanowiła mimo wszystko wybrać się na wycieczkę na Szrenicę. Chcąc nie chcąc Stepień wykupił bilety Odrobinę zaniepokoiły go ironiczne spojrzenia, jakimi mierzyli turystów obsługujący wyciąg góralski, nie przewidywał jednak większych niespodzianek pogodowych

Kapitan usiadł na krzeselku i z zainteresowaniem zaczął rozglądać się po okolicy. Ostatni raz odwiedził Szklarską Porębę dobrych dziesięć lat temu i prawie już zdążył zapomnieć, jak wyglądają Karkonosze. Pełną piersią wdychał ostre, górskie powietrze, starając się nie myśleć o absorbującej go prawie od tygodnia sprawie, kiedy w pewnym momencie spojrzął machinalnie na rząd krzeselek wracających ze szczytu. W zdecydowanej większości były puste, ale na dwóch zjeżdżali właśnie jacyś turyści. Kobieta wydała się oficerowi dziwnie znajoma, dopiero jednak mijając krzeselko z mężczyzną

przypomniał sobie prywatkę u Lewickiego. Ze Szrenicy
wracali wyciągiem Antom Zatwarski i jego dużo młodsza
przyjaciółka

Na szczycie słońce przygrzewało jeszcze silniej niż w Szklarskiej Porębie. Witwicka postanowiła natychmiast to wykorzystać i chwilę później była już tylko w kostiumie kąpielowym. Stępień przyznał w duchu, że niezbyt często zdarzało mu się widywać równie zgrabne dziewczyny. Zastanawiał się właśnie, czy powiedzieć to Monice, kiedy podszedł do nich przeszło sześćdziesięcioletni góral o pomarszczoną, ogorzałą twarz.

— Nie najlepszą porę wybrała paniusia na opalanie — zauważył na poły dobrotliwie, na poły drwiąco. — Za kwadrans będziemy tu mieli prawdziwą zimę.

Kapitan zerknął na czeską stronę Karkonoszy i natychmiast zrozumiał ironiczne spojrzenia, jakimi żegnali ich górale przy dolnej stacji wyciągu. Od południa niebo powoli nabierało czarnobrunatnego zabarwienia, a dalszych szczytów nie było już nawet widać.

— Wracamy, kochanie, na dół — zaproponował w miarę stanowczym tonem. — Nie jesteś odpowiednio ubrana na wicher i śnieg.

— Jeszcze minutkę — uśmiechnęła się przymilnie — Takie słońce znakomicie opala.. A zresztą może te przebrzydłe chmurzyska przejdą bokiem?

— Wygląda, niestety że wałą prosto na nas.

— W razie czego za dwadzieścia minut będziemy w Szklarskiej.

— Przez te dwadzieścia minut zdążysz porządnie zmarznąć.

— Wstrętny tyran! — fuknęła ze złością, ale posłusznie zaczęła się ubierać. — Nie ma Co! Wybrałam sobie niezłego despotę!

Ruszając w drogę powrotną Stępień miał nadzieję, że zdążą przed zmianą pogody, tymczasem pierwsze lodowate podmuchy wiatru dogoniły ich już po niespełna pięciu minutach jazdy. Jednocześnie zrobiło się zupełnie ciemno tak że kapitan ledwo mógł dostrzec krzeselko Witwickiej, a w chwilę

później zaczął walić z nieba gęsty śnieg, oblepiający włosy i wciskający się za kołnierze. Oficer nieraz już doświadczał różnych kaprysów pogody, nie przypominał sobie jednak czegoś podobnego. Co gorsza przez cały czas dręczyły go wyrzuty sumienia, że uległ Monice i zabrał ją w góry w stroju odpowiednim co najwyżej na spacer po centrum kurortu.

W Szklarskiej Porębie nie było wcale cieplej niż na Szrenicy, tyle że wiało już znacznie słabiej. Stepień z ogromnym trudem dotransportował przemoczoną, zziębniętą i ledwo trzymającą się na nogach dziewczynę do pensjonatu. Dopiero tutaj, wypiwszy potrójną porcję grzanego wina, Monika odzyskała humor i długo przekomarzała się z kapitanem, który na wszelki wypadek chciał ją położyć do łóżka. Wreszcie ustąpiła i Stepień nawet nie zauważył, kiedy usnęła...

Minęła właśnie szesnasta, do wyznaczonego przez Maliszewskiego spotkania z Fischerem brakowało więc jeszcze godziny, ale oficer, nie bardzo wiedząc co robić z czasem, postanowił wcześniej złożyć wizytę Austriakowi. Ze znalezieniem pensjonatu Stepień nie miał większych trudności i dowiedziawszy się od jego właścicielki, że zagraniczny gość jest u siebie, bez wahania pomaszerował na pierwsze piętro.

Drzwi otworzył kapitanowi wysoki, krótko ostrzyżony blondyn o małych, głęboko osadzonych oczach i wydatnym nosie.

— Pan do mnie? — zapytał po polsku, ale z wyraźnym obcym akcentem. — To chyba pomyłka?

Czy pan Walter Fischer? — na wszelki wypadek upewnił się oficer...

Tak, to ja — odparł tamten z nie ukrywanym zdziwieniem. — Nie rozumiem tylko czemu zawdzięczam pańską wizytę...

— Nasz wspólny znajomy nie mógł osobiście przyjechać i przysłał mnie w swoim zastępstwie - wyjaśnił Stepień, podając Austriakowi list od Maliszewskiego. — Przyszedłem nieco wcześniej, niż było umówione, mam jednak nadzieję, że nie robi to panu różnicy?

— Proszę, niech pan siada. herr...

— Stepień.

— Miło mi pana poznać — bez cienia nieufności uśmiechnął się Fischer. — Skosztuje pan dobrego koniaku?

— Chętnie.

— To świetnie! Przypadkowo mam nietkniętego napoleona i myślę, że przy tak szlachetnym trunku nasza rozmowa będzie znacznie łatwiejsza ..

— Czyżby zaszły jakieś komplikacje?

— Owszem.. To znaczy w pewnym sensie. — Austriak wyjął z szafki przy łóżku butelkę i nie mogąc nigdzie znaleźć kieliszków nalał do dwóch niewielkich szklaneczek. — Chodzi o to, że przywiozłem. niestety, tylko część towaru.

— Kiedy dostarczy pan resztę? kapitan wolał udać, że wie, o jakim towarze mówi Fischer. — Panu Maliszewskiemu bardzo zależy na czasie

— W przyszły poniedziałek znowu będę w Szklarskiej Porębie i wtedy doprowadzimy sprawę do końca — zapewnił oficera Austriak, zachę-

223
cającym gestem podnosząc swoją szklaneczkę. —

Przepraszam za zwłokę, ale mój wspólnik w Neapolu miał nieprzewidziane trudności...

— Trudności pańskiego wspólnika niewiele nas interesują. — Stepień obojętnie wzruszył ramionami. — Niech pan już lepiej pokaże, co ma pan teraz!

— Z prawdziwą przyjemnością, herr Stępień! — na twarzy Fischera znowu pojawił się uśmiech. — Sam mi pan przyzna, że towar jest w najwyższym gatunku Pan Maliszewski nigdy nie narzekał na moje dostawy, a pan Suciewski, z którym widziałem się ostatnim razem, to aż klaskał z zachwytu!

Austriak ponownie sięgnął do szafki przy łóżku i wyciągnął z niej okazałych rozmiarów aparat fotograficzny w mocno zniszczonym futerale. Paroma wprawnymi ruchami otworzył go i na łóżko wysypało się kilkanaście złotych łańcuszków i pierścionków z różnokolorowymi oczkami...

19

Kiedy Mazurek otworzył oczy, było już dobrze po dziewiątej. W pierwszym odruchu chciał biec do łazienki, ale przypomniał sobie, że dzisiaj niedziela, a w dodatku ma dziewięć dni zwolnienia. Rozbita głowa prawie mu nie dokuczała, gdyby więc nie dyżur żony w szpitalu, porucznik wstałby w znakomitym humorze. Tymczasem był skazany na samotne spędzenie wolnego od pracy dnia.

Bez pośpiechu ogolił się i ubrał. Zjadł zostawione mu w kuchni śniadanie i, nie bardzo wiedząc, co dalej robić, podszedł do okna. Na dworze panowała prawdziwie wiosenna pogoda, zdecydował się więc na spacer.

Wychodząc z domu nie miał żadnego konkretnego celu wędrowki. Przez blisko godzinę wolnym krokiem przemierzał żoliborskie ulice. W pewnym momencie przesiał nawet zwracać uwagę, dokąd idzie, i kiedy się ocknął, spostrzegł nie bez zdziwienia, że przywędrował w pobliże willi profesora Suciewskiego. Niedaleko był kiosk i Mazurek postanowił kupić gazetę. Ruszył w tamtym kierunku, ale na miejscu spotkał go srogi zawód. Kioskarz zamykał właśnie ostatnią kłódkę, i najwyraźniej szykował się do odejścia.

— Już pan skończył swoją działalność? — z zawodem zapytał porucznik. — Przecież jeszcze wcześniej...

— Dziś niedziela — odparł Molemba. — A do tego nie mam czym handlować. Gazety wyprzedałem w pół godziny, carmenów i marlboro nie dostaję od tygodnia, więc post mówiłem zrobić fajerant.

— Miłego wypoczynku.

— Nawzajem!

Molemba schował do kieszeni klucze od kiosku, wyciągnął kluczyki samochodowe i wesoło pogwizdując jakiegoś skoczego marsza ruszył w swoją stronę.

225

— Ciekawe, jaki on ma wóz? — zainteresował się oficer. — W końcu taka budka, to nie żaden wielki biznes...

— Przystanek

Na ulicy stały trzy małe fiaty, dwie syreny, moskwicz Starego typu i szary opel. Porucznik odczekał chwilę ale że Molemba nie kwapił się z podejściem do żadnego z pojazdów, Mazurek nie zaspokoiwszy ciekawości odwrócił się i pomaszerował przed siebie.

Po drodze oficer przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Siwuchą. Nie miał wprawdzie większej nadziei, by ten przedstawiciel żoliborskiego półświatka spełnił swą obietnicę, na wszelki wypadek jednak postanowił złożyć mu wizytę.

W suterenie jednego z przedwojennych bloków przy placu Inwalidów panował nieprzyjemny zaduch. Zatykając nos porucznik pukał przez dobre pięć minut do brudnych, pokrytych łuszczącą się farbą drzwi, nim wreszcie Siwucha mu otworzył. Obrzmiała twarz i wielkie sińce pod oczami gospodarza świadczyły wymownie, że ostatnią noc spędził on przy kieliszku. Siwucha popatrzył na Mazurka półprzytomnie, widać jednak poznał, z kim ma do czynienia bo mruknawszy coś niezrozumiale pod nosem wpuścił go do środka.

Pomieszczenie było ciasne, zagracone tandetnymi, zdezelowanymi sprzętami i chyba już od lat nic wdziało szczotki. Przez niewielkie okienko pod sufitem wpadało tu niewiele światła, ale i tak porucznik spostrzegł kilka pustych butelek po wódce na lepiącym się od brudu stole i rozbity talerz z resztkami jakiejś zakąski obok leżącego na podłodze połamanego krzesła.

— Popiliście wczoraj - zauważył domyślnie.

— Łyknęło się kapeńkę — przyznał Siwucha bez specjalnego zażenowania. — Antek Pryszczalkowski opłakiwał swego brata
— Lepiej by pomyślał o sobie, a nie użalał się nad bratem.
— Taka już nasza dola! — westchnął gospodarz. — Żeby nie wiem jak człowiek uważał, zawsze mu noga powinie...
— Można przecież żyć uczciwie.
— Fredek był uczciwy, tyle że miał słabość do cudzych wozów. Zachciało mu się łady i nieszczęście gotowe!
— Pamiętajcie o naszej umowie? — zmienił temat Mazurek. - Obiecaliście dowiedzieć, się tego i owego.

— Chodziło panu o truposza z Lasku Bielańskiego?
— Właśnie.
— Robiłem co w mojej mocy. ale nikt nie chciał puścić pary z gęby.
— W nocy z soboty na niedzielę byliście u Zatwaruchy?
— - Przecież już panu mówiłem ..
— Widzieliście tam Zabawca?
— Zgadza się.
— Ga laliście ze sobą?
— Jak to bywa przy kielichu...
— Można wiedzieć o czym?
— O wszystkim i o niczym — bąknął wymijająco Siwucha. — Zresztą już nie pamiętam...
— Zabawiec nie żyje — rzucił zimno Mazurek — więc mu już nic nie pomoże ani nie zaszkodzi.
— Rany boskie! — Gospodarz z niedowierzaniem chwycił się za głowę. — Zakatrupili Adama?
— Więc o czym rozmawialiście? — nie ustępował porucznik.
— Zabawiec szykował się na jakąś grubszą robotę — wyznał Siwucha. — Ale nie powiedział mi, w czym rzecz. Pamiętam tylko, że przed północą przyjechała po niego gabłota...
— Widzieliście kierowcę?

- Nie chciało mi się wyściubiać nosa na dwór.
- A później nie rozmawialiście na ten temat z Zabawcem?
- Spotkaliśmy się w środę...
- No i co?
- Pytałem Adama, czy skok mu wyszedł, ale on był cholernie tajemniczy...
- Siwucha miał zamiar jeszcze coś dodać, ale skrzypnęły drzwi i do pomieszczenia wszedł Antoni Pryszczalkowski. Spostrzegłszy oficera nowo przybyły chciał się natychmiast wycofać, ale Mazurek zatrzymał go stanowczym gestem.
- Moje uszanowanie kochanej władzy — bąknął niepewnie Pryszczalkowski. — Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie żadnej sprawy.
- Mylicie się — Mazurek uśmiechnął się mimo woli.
- Właśnie chciałbym wam zadać jedno pytanie.
- Słucham.
- Wiem, że w czwartek widzieliście się z Zabawcem. O czym rozmawialiście?
- Adama ktoś stuknął — nieoczekiwanie wtrącił się Siwucha. — Pan władza też mnie o niego wypytywał.

Porucznik spojrział groźnie na gospodarza, chwilę później przekonał się jednak, że słowa Siwuchy rozwiązały język Pryszczalkowskiemu.

— Gdyby Adam żył, to bym go nie sypnął — przyznał z rozbrajającą szczerością. — Skoro jednak go ukatrupili... W czwartek wieczorem wydzwonił mnie u Boncara. Prosił o jakiś wóz, żeby prysnąć z Warszawy. Jak pan wie, ja nie mam serca do otwierania cudzych gablot, więc mu samochodu nie skombinowałem i na Burakowską popyliłem piechotą. Kiedy zobaczyłem się tam z Zabawcem, powiedział mi, że już mu obiecali wóz i że właśnie po niego jedzie.

— To wszystko?

— Jasnowidzem nie jestem ani o ostatnią wolę Adama nie pytałem — Pryszczalkowski uśmiechnął się z lekką ironią. — Resztę musi pan wyniuchać sam....

20

Powoli zaczynał zapadać zmrok, kiedy prowadzony pewną ręką Stępnia renault znalazł się na peryferiach Warszawy. Perspektywa bliskiego końca męczącej bądź co bądź podróży wyraźnie poprawiła humor kapitanowi, a i milcząca do tej pory Witwicka ożywiła się nieco.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — zauważyła sentencjonalnie. — Tak czy inaczej nie dam się więcej namówić na żadną górską eskapadę — dodała wycierając hałaśliwie nos. Boli mnie gardło, przez ten katar wyglądam pewno okropnie, a co najgorsze moja nowa, zamszowa kurtka nadaje się do wyrzucenia!

— Poleżysz dwa dni w łóżku i dojdiesz do siebie — pocieszył dziewczynę oficer. — A kurtkę kupisz sobie nową...

— To była pamiątka — westchnęła żałośnie. — Jurek przywiózł mi ją z Neapolu.

— Myślałem, że chcesz o nim zapomnieć.

— Sama nie wiem... To nie jest takie proste. 229

— Oczywiście...

- Gniewasz się na mnie?
- Ależ skąd! Radziłbym ci tylko raczej patrzeć w przyszłość, niż rozpamiętywać to, co było.
- Mimo wszystko chciałabym mieć jakąś pamiątkę po Jurku. Cieszę się, że profesor pozwolił mi coś sobie wybrać, choć początkowo kręciłam nosem na ten pomysł.
- Pamiętam. Nawet obiecałem wujkowi, że w razie czego obronią cię przed Taroniową.
- Może załatwimy to od ręki?
- Jak sobie życzysz...
- Zatrzymując się przed willą Suciewskiego Stepien zauważył, że kilkanaście metrów dalej stoi znajomy już, szary opel. W środku kapitan nie dostrzegł nikogo, pomyślał więc, że jeszcze zdąży porozumieć się w tej sprawie z Kuglarzem albo Jodeckim.
- Profesora nie zastali w domu, pamiętając jednak o jego pozwoleniu, oficer bez skrupułów ruszył z Moniką do pokoju Jerzego Suciewskiego. Zapalił światło i stanąwszy przy drzwiach zaczął dyskretnie obserwować poczynania dziewczyny. Przez dobrą minutę rozglądała się niezdecydowanie dookoła, w jej zachowaniu było jednak coś nienaturalnego.
- Poradź mi, co mam wziąć — poprosiła w końcu Stepnia, uśmiechając się bezradnie. — Zupełnie nic nie przychodzi mi do głowy...
- Najlepiej wybierz jakąś rzecz, którą dałaś mu kiedyś w prezencie — zaproponował kapitan.
- Kupowałam Jurkowi tylko ciuchy — odparła z lekkim zniecierpliwieniem. — Nie powiesz chyba, że koszula czy szalik nadaje się na tego rodzaju pamiątkę!
- A co on najbardziej lubił?
- Przecież widzisz! — Wskazała znacząco na porozwieszaną na ścianach broń. Całymi godzinami potrafił opowiadać mi niestworzone rzeczy o tym żelastwie.
- Musimy wymyślić coś innego...
- Właśnie że nie! — Z niespodziewaną stanowczością potrząsnęła głową. — Już wiem, co stąd wezmę!

Stępień na moment zaniemówił z wrażenia. Witwicka pewnym krokiem podeszła do ściany i bez wahania sięgnęła po sztylet, którym zabito Jerzego Sucińskiego,

— Możemy już iść! — oznajmiła jak gdyby z ulgą.
— Odwieź mnie do domu i przygotuj grzane wino, tak jak wczoraj Karzełkowa...

Kapitan zdążył się już opanować i bąknawszy coś pod nosem bez protestu podążył za Moniką **do** wyjścia. Nie wierzył, by dziewczyna przypadkowo wybrała właśnie ten egzemplarz z dość licznej w końcu kolekcji broni syna profesora, i czuł, że jest bliski jak nigdy dotąd, wyjaśnienia sprawy obu zabójstw z minionego tygodnia.

Taroniowa nawet nie wyjrzała z kuchni, kiedy opuszczali willę. Kapitan nie był pewien, o której wróci, chcąc więc uniknąć gderliwych komentarzy gosposi, pożyczyl sobie wiszący przy drzwiach w przedpokoju komplet kluczy. Wolnym krokiem ruszył w kierunku czekającej przy jego samochodzie Moniki i sięgał właśnie po papierosa, gdy nagle zauważył, że szary opel stoi teraz w zupełnie innym miejscu niż przed niespełna dwoma kwadransami. Najbliższa latarnia nie dawała zbyt wiele światła, ale wprawne oczy oficera dostrzegły w uchylonych drzwiczkach wozu jakiś podłużny cień.

Kolejne trzy kroki trwały bez mała wieczność. Stepien usłyszał cichy szum silnika opla i w napięciu zagryzł wargi. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości co do zamiarów kierowcy szarego samochodu. Zrobił jeszcze jeden krok i Kiedy od Moniki dzieliły go najwyżej jakieś cztery metry, wyprysnął niczym pocisk wyrzucony z katapulty. W locie chwycił dziewczynę za ramię i szarpnął ją ku ziemi. Ryła zbyt zaskoczona, by choćby krzyknąć, tak że padając kapitan usłyszał niezbyt głośny stuk, a chwilę później brzęk sypiącego się szkła.

Nie czekając na drugi strzał oficer poderwał się z ziemi i chyłkiem pobiegł w stronę opla, ale tamten ruszał już z przeraźliwym piskiem opon. Nie minęło nawet dziesięć sekund, gdy zniknął za najbliższym rogiem.

Stępień wrócił do Witwickiej. Klęczała przy samochodzie, spoglądając z przerażeniem na rozbitą szybę. Była tak zafascynowana tym widokiem, że nie zauważyła nawet, jak kapitan podnosił z ziemi jej torebkę i sztylet zabrany z pokoju Jerzego Suciewskiego.

— Już po wszystkim — stwierdził sucho oficer. — Przynajmniej na razie...

— Oni chcieli mnie zabić? — jęknęła z niedowierzaniem. — Strzelali do mnie?!

— Dlaczego?

— Nie wiem! — bezradnie rozłożyła ręce. — Przecież robiłam wszystko, co mi kazali...

— To znaczy? — nie ustępował Stępień.

— Boże, co teraz ze mną będzie? — Ostatnie pytanie kapitana najwyraźniej nie dotarło do dziewczyny. — Jak im wytłumaczyć, że to nie stało się z mojej winy? Jak ich przekonać?

— Moniko...

— Musisz mi pomóc! — Kurczowo chwyciła oficera za ramię. — Jeśli choć trochę ci na mnie zależy, dokończ to, co zaczął Jurek. Może dadzą mi wtedy spokój...

— Mów jaśniej, do ciężkiej cholery! — zniecierpliwił się Stępień. — Chcesz, żebym ci pomógł, a nie wyjaśniasz, o co w tym wszystkim chodzi.

— Bo oni mają mnie w ręku! — wyznała z rozpaczą. — Ciebie zresztą już też...

— Przede wszystkim, jacy oni?

— Chodźmy do mnie, to wszystko ci opowiem — uspokoiła się nagle. — O takich sprawach lepiej nie rozmawiać na ulicy.

— U wujka jest dość miejsca i tam też nikt nie będzie nam przeszkadzał — zauważył rzeczowo kapitan. — A zresztą jestem pewien, że ten gość z opła czeka teraz pod twoim blokiem

Masz rację ustąpiła bez dalszej dyskusji. —

Wracajmy!

Chwilę później siedzieli już w pokoju oficera. Zamykając drzwi Stępień usłyszał tylko, jak Taroniowa złorzeczając na wszystkich domowników taszczy coś po schodach...

— Słucham! — rzucił zachęcająco, spoglądając w oczy Witwickiej.

— Chwaliłeś się, że od jutra będziesz pracował u wujka w Centrum — przystąpiła do rzeczy. — Chodzi o to, że za kilka fotografii pewnych planów można dostać kupę forsy

— Albo kulkę w łeb? — wtrącił zgryźliwie.

Jeśli się nawali, to owszem.

A ty właśnie nawaliłaś?

— Widzisz, te plany fotografował Jurek. Wszystko szło dobrze, dopóki się czegoś nie wystraszył. Przez cały dzień mówił o wysypie i w końcu zagroził, że sam się zgłosi na milicję albo do bezpieki...

— Za to został sprzątnięty?

— Właśnie.

— A teraz twoi mocodawcy postanowili zlikwidować kolejne ogniwo?

— Pewno stracili do mnie zaufanie.

— I uważasz, że uratujesz głowę, jeśli ja sfotografuję resztę planów?

— To moja jedyna szansa!

Za którą ja mogę powędrować na stryczek!

— Jedziemy na tym samym wózku — spróbowała przekonać Stępnia — Ratując mi życie, pokrzyżowałeś im plany. Oni nam tego nic darują, jeżeli się nie wykupimy!

— Mógłbym jeszcze zrobić to, czego nie zdążył syn profesora.

— Zapominasz, że dostałeś już zaliczkę w postaci samochodu.

Kupiłem go za pożyczone pieniądze

— Bezpieka ci nie uwierzy, zwłaszcza że już z własnej inicjatywy wpakowałeś się w interesy Maliszewskiego

— Czy Leszek też interesuje się tajnymi planami?

Nie sądzę. Moi mocodawcy nie pozwoliliby mu na rozkręcenie handlu złotem i dolarami na taką skalę — zaprzeczyła z przekonaniem. — Rzecz jasna byli bardzo zadawani kiedy ty, podobnie jak przedtem Jurek,

zgodziłeś się oddać Leszkowi płatną przysługę bo w ten sposób dostarczałeś im na siebie dodatkowego haka, ale dłuższe prowadzenie tego typu działalności uważali za zbędne ryzyko.

— Podobno mój krewniak kombinował nie tylko z Maliszewskim

— Dał się namówić Pryszczalkowski i Adamowi na interes z lewymi dolarami, szybko jednak ci z centrali kazali mu dać spokój...

— Posłuchał?

— Nie miał innego wyjścia.

— To po diabła brał się za handel walutą?

— Jurkowi cholernie imponowało, że może mnie zaprosić do eleganckiej knajpy albo kupić jakiś modny ciuch, a kieszonkowe, które dostawał od starego, wystarczało mu ledwo na kilka dni. Kiedyś zresztą sama mu poradziłam, żeby sobie w ten sposób dorobił... Więc jak? — wróciła do poprzedniego tematu. — Pomożesz mi?

— Ostatecznie mógłbym sfotografować te plany — niespodziewanie ustąpił kapitan. — Ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?

— Musisz mi powiedzieć, kto jest szefem tego interesu.

— Nie żartuj! Przecież ja sama nie znam szefa.

— Komu w takim razie przekazywałaś mikrofilmy?

— Znosiłam je do skrzynki kontaktowej.

— A od kogo otrzymywałaś instrukcje?

— Nie bądź za ciekawy.

— Jak uważasz! — Oficer wzruszył obojętnie ramionami. — Ja się z tego jakoś wykaraskam, a ty radź sobie sama.

— Zaczekaj! — Na twarzy dziewczyny znowu pojawił się strach. — Nie możesz mnie tak zostawić!

— Słyszałaś mój warunek?

— Oni mnie zabiją, jeśli powiem!

— Przed chwilą właśnie usiłowali to zrobić.

Monika przez kilka sekund spoglądała na Stępnia z wyraźnym wahaniem. Chciała jeszcze oponować, ale widać uznała w końcu, że kapitan ma rację, bo pełnym rezygnacji gestem machnęła ręką.

— Niech się dzieje, co chce! — rzuciła zdecydowanie.

— Tylko ty możesz mi pomóc...

— Wykrztuś wreszcie nazwisko tego gościa!

— Moim mocodawcą jest Stefan Rosiecki — wyznała z determinacją. — Kiedyś wciągnął mnie do tej roboty, a teraz przekazuje polecenia centrali, decyduje, kiedy mam korzystać ze skrzynki kontaktowej, i wypłaca część pieniędzy.

— A co z resztą twojego honorarium?

— Założyli mi konto w jednym ze szwajcarskich banków. Mam tam już około trzydziestu tysięcy dolarów.

Których nigdy nie zobaczysz nawet z daleka — roześmiał się oficer. — Po prostu wystrychnęli cię na dudka, moja mała!

— A skąd ty możesz o tym wiedzieć? — spojrzała na Stępnia z nagłym niepokojem.

— Przenieśmy się do pokoju Jurka. — Kapitan wolał udać, że nie dosłyszał pytania. — Musimy sobie coś jeszcze wyjaśnić...

— Czy to konieczne?

— Raczej tak.

Wiec chodźmy. ..

Teraz Witwicka stanęła przy drzwiach, podejrzliwie obserwując poczynania oficera. Ten powiesił na miejscu zabrane niedawno przez Monikę sztylet i bez pośpiechu podszedł do biurka.

— Myśle, że wszystko było wtedy tak jak teraz — mruknął ni to do siebie, ni do dziewczyny.

Nie rozumiem, o czym mówisz? — Ze zdziwieniem potrząsnęła głową. — Kiedy miało być tu tak, jak teraz?

W milczeniu- sięgnął po stojący na biurku staromodny aparat telefoniczny i przysunawszy go do siebie wykręcił domowy numer pułkownika Kuglarza.

Melduje się Stepień! — rzucił wyraźnie, ledwo tylko usłyszał znajomy głos przełożonego. — Przepraszam, że dzwonię w niedzielę i do tego

o tej porze, ale jestem właśnie w willi profesora

i uważam, że sprawa dojrzała do realizacji. Proszę o ekipę techników i dwa wozy operacyjne...

Odkładając słuchawkę kapitan spostrzegł, że Witwicka zrobiła się przeraźliwie blada. Z otwartymi ustami spoglądała to na oficera, to na telefon, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

— Jurek chyba też cię zaskoczył tej pamiętnej nocy zimno zauważył Stepień. — Przypominasz sobie te słowa? ..Chciałem zawiadomić o przestępstwie... Nie jestem pewien, czy dobrze dzwonię, ale..." — Zacytował pierwsze zdania powtórzonej mu przez Mazurka, tajemniczej wówczas rozmowy. Witwicka milczała. — Chłopak nie był, niestety, przewidujący — ciągnął beztłusto kapitan. — Nieopatrznie odwrócił się do ciebie plecami, a ty niewiele myśląc wpakowałaś mu sztylet prosto w serce. Później uprałaś dywan arrasem, wytarłaś nóż i razem z Zabawcem zawiozłaś zwłoki do Lasku Bielańskiego.

- O Jezu! Jak mogłam być tak beznadziejnie głupia! — jęknęła z rozpaczą. — To dlatego oni chcieli mnie zastrzelić! Przecież ty jesteś...

— Skoro wiesz, kim jestem, to nie muszę się już przedstawiać — odparł twardo kapitan. — Zamiast tracić czas na jałowe dyskusje, powiedz lepiej, czy masz coś na swoje usprawiedliwienie?

— Ja go nie chciałam zabijać! — Wybuchnęła histerycznym płaczem. — To nie była moja wina! Prosiłam, żeby nie dzwonił do komendy... Błagałam, żeby tam nie jechał... Co miałam robić? — Chwyciła się za włosy i gwałtownym ruchem szarpnęła spory pukiel. — Rosiecki już kilka godzin wcześniej mi mówił, że Jurka trzeba zlikwidować, bo zgubił aparat z

mikrofilmem, że centrala wyznaczyła do tej roboty Adama...

— Planowaliście zwabić syna profesora do Lasku Bielańskiego i tam dokonać zabójstwa?

— Ja nic nie planowałam! — zaprzeczyła gwałtownie. — To Rosiecki kazał Zabawcowi... Ja miałam tylko wyciągnąć Jurka z domu i przyjechać z nim po Adama...

— Nie jestem wcale pewien, czy i śmierci Zabawca nie należałoby wpisać na twoje konto.

— Boże! Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? — Po twarzy dziewczyny znowu pociekły łzy.

W czwartek wieczorem Adam telefonował do mnie. Mówił, że jest obserwowany. Powtórzyłam to Stefanowi, a on kazał wysłać Zabawca pod skrzynkę kontaktową...

— Wiedziałaś, że go tam zabiją?

— Nie!

— Kto oprócz Rosieckiego pracuje jeszcze dla obcego wywiadu?

— Nie wiem!

— A Nowakowska?

— Ona nie ma o niczym zielonego pojęcia.

2:19

— Kto jest waszym szefem?

— Zapytaj Stefana. On kontaktuje się z centralą...

Z parteru dobiegł niecierpliwy brzęk dzwonka i chwilę później zadudniły na schodach kroki kilku mężczyzn. Jako pierwsi wpadli do pokoju Jodecki i Zanejko.

— Widzę, że przeszkodziliśmy państwu w jakiejś niesłychanie interesującej rozmowie — zauważył porucznik, spoglądając drwiąco na Witwicką.

Dziewczyna całkowicie ignorując wypowiedź Zanejki otarła dłońią łzy z twarzy i tęsknie spojrzała w okno.

— A jednak szkoda, że nie dosięgną! mnie tamten pocisk — szepnęła z nie ukrywanym żalem. — Przynajmniej miałabym już święty spokój...

Rozumiem, że panią zabieramy? — upewnił się Jodecki.

— Owszem — przytaknął Stępień. — Niech ją odwiezie któryś z twoich ludzi, a my zostawiamy na gospodarstwie porucznika Zanejkę i jedziemy po następnego klienta.

— Cholernie lubię takie partaninki — mruknął Zanejko z przekąsem. — Częgo mam szukać?

— W moim samochodzie powinien być pocisk, a gdzieś na ulicy łuska — rzeczowo poinformował kolegę Stępień. — Trzeba je znaleźć i oddać do laboratorium.

— Czyżby warszawskie ulice zaczęły się upodabniać do dzikiego zachodu?

— Komuś widać na tym zależy, a my musimy wybić mu z głowy ten pomysł...

Niespełna dziesięć minut później Jodecki i Stępień wysiadali przed blokiem, w którym mieszkał Rosiecki. Biegiem dotarli na przedostatnie piętro i Jodecki bez zastanowienia nacisnął dzwonek. Oczekali chwilę, ale w mieszkaniu panowała kompletna cisza. Jodecki chciał właśnie zadzwonić ponownie, kiedy Stępień nacisnął klamkę. Drzwi niespodziewanie ustąpiły i oczom oficerów ukazały się leżące w przedpokoju zwłoki Rosieckiego.

21

— Dla mnie sprawa jest jasna! — Tęgi, brodaty lekarz odłożył skalpel na znak, że sekcja dobiegła końca. — Strzał został oddany z bardzo bliskiej odległości, a pocisk przebił lewą komorę serca i wyszedł przez plecy denata. Zgon musiał nastąpić prawie natychmiast.

— Mniej więcej o której? — zainteresował się Stępień.

— W niedzielę rano, gdzieś między siódmą a ósmą.

— Jak pan myśli, czy Rosiecki spodziewał się śmierci?

— Tego nie umiem panu powiedzieć — Doktor bezradnie rozłożył ręce. — Nie zauważyłem żadnych śladów walki, niewykluczone więc, że denat został zaskoczony...

Pół godziny później kapitan wkraczał do swojego pokoju, gdzie czekał już na niego Jodecki. Z jego
- Przystanek 241

miny bez trudu można było wywnioskować, że nie ma zbyt wielu pomyślnych wieści.

— Pułkownik od samego rana wściekły poinformował konfidencjonalnie kolegę. - Mnie przed chwilą podkreślił za jakiś drobiazg, więc teraz kolej na ciebie

— Co powiedzieli rusznikarze? Stepien wołał nie tracić czasu na wydziałowa plotki. — Dostali obydwaj pociski, ten z Czarnieckiego nawet z łuską, więc nie powinni mieć większych kłopotów z ekspertyzą

— Pocisk, który ugodził Rosieckiego został wystrzelony z tego samego pistoletu za pomocą którego usiłowano zgładzić Witwicką.

— Wiadomo. co to za broń?

Najprawdopodobniej stary mauser kaliber sześć trzydzieści pięć.

— Ostatnio niezbyt często są takie w użyciu.

Tego w ogóle nie ma w naszych kartotekach. Nigdy dotąd nie posługiwano się nim i oczywiście nie jest n gdzie zarejestrowany.

— A co z tym opłem! Nie powiesz chyba że miał fałszywe numery?

Numery były prawdziwe, tyle- że prawowity właściciel pół roku temu wyjechał do RFN i kurtuazyjnie odesłał naszym władzom paszport.

- Nie pozostaje więc nic innego jak czekać aż ludzie Pyteli znajdą gdzieś wóz przez przypadek.

— Niestety, na to wygląda.

— Teraz się nie dziwię, że stary taki wściekły.

— Prawdę mówiąc ja też. U Witwickiej najwyraźniej ktoś buszował przed nami, a w mieszkaniu Rosieckiego też nic nie było oprócz pocisku, którego zabójca zapomniał wyciągnąć ze ściany w przedpokoju...

Zabrał nawet łuskę?

Przecież znasz Zanejkę. Nie ma dziury, do której nie wsadziłby swego nosa, więc łuski by nie przegapił!

Jednym słowem totalna klapa.

— Nie da się ukryć ..

Na biurku cicho zabręczczał telefon. Jodecki niecierpliwie sięgnął po słuchawkę i po chwili na jego twarzy pojawiło się zdumienie,

— Co jest? — zapytał Stępień.

To z biura przepustek — odparł Jodecki. Dzwonili, że przyszedł do nas mecenas Smigielski.

- Niby po co?

— Diabli go wiedzą..

Adwokat był znacznie mniej pewny siebie niż zazwyczaj, ale bez wahania przystąpił do rzeczy.

Wczoraj późnym wieczorem telefonował do mnie Witold — zaczął, dobierając starannie łów. — Mówiąc szczerze, zatrzymanie panny Witwickiej zaskoczyło mnie tak samo jak jego...

— Niech mi pan wierzy, mecenasie, że dla nas była to również bardzo przykra niespodzianka — zapewnił Stępień. — Do ostatniej chwili nikt nie podejrzewał Moniki.

— Proszę wybaczyć śmiałość, — z wyraźnym zakłopotaniem uśmiechnął się Smigielski. — Czy jednak z czystym sumieniem możecie panowie wykluczyć omyłkę?

— Czyżby zamierzał pan podjąć się obrony podejrzanej? — zauważył z przekąsem Jodecki. — Oczywiście, to nie moja sprawa, ale podobno profesor Suciewski jest pańskim przyjacielem...

— Czasami rola obrońcy bywa ogromnie niewdzięczna - westchnął adwokat. — Z jednej strony tak jak wszyscy podlegamy nastrojom i najchętniej potępilibyśmy tego Czy innego klienta, jednak nawet najgorszemu zbrodniarzowi należy się przecież godziwy proces!

— Nikt przecież nie kwestionował tej zasady.

— Owszem — zmieszał się Smigielski. — Praktycznie jesteśmy po tej samej stronie barykady...

— W czym więc problem?

— Witold prosił mnie, bym bronił panny Witwickiej.

— Co takiego?!

— Widzicie, panowie, profesor traktował ją jak swoją synową. Teraz nie chce dopuścić do siebie myśli że to właśnie ona zabiła mu syna.

— niestety, takie są fakty!

— No cóż, na tym etapie postępowania karnego panowie macie najlepsze rozeznanie w materiale dowodowym, niemniej pozwolicie chyba, że złożę moje pełnomocnictwo...

— To już raczej w prokuraturze, nie u nas...

— Pragnąłbym również zobaczyć się z panną Witwicką.

— Nam nie wolno udzielać widzeń.

— Przecież ostatnio coraz częściej dopuszcza się obrońców do udziału w postępowaniu przygotowawczym.

— Ale decyduje o tym prokurator!

— Mimo wszystko bardzo bym prosił... Rozmowa odbyłaby się oczywiście w obecności panów, żeby nie było jakichkolwiek podejrzeń, że chcę utrudniać śledztwo...

— Zobaczymy, co powie na to nasz przełożony — uciał dyskusję Stępień. — Jeśli on pozwoli, to zobaczy pan swoją klientkę, jeśli jednak będzie innego zdania, to niestety nie...

— Ciekawe, co pan mecenas wykombinował — zamyślił się pułkownik, wysłuchawszy pięć minut później podwładnego. — Przecież prędzej czy później i tak dostałby zgodę prokuratora na widzenie... Skoro więc przyszedł do nas, znaczy, że musi zależeć mu na czasie...

— Głowę daję, że kryje się za tym jakiś kruczek — mruknął Stępień ponuro.

— Warto byłoby się przekonać!

— Ja bym nie ryzykował — nieśmiało próbował oponować kapitan. — Już raz o mały włos nie zabili Witwickiej.

— Wtedy byłeś sam, tamten działał z zaskoczenia, a jednak potrafiłeś wybrnąć z sytuacji — zauważył Kuglarz z dobrodusznym uśmiechem. — Teraz jest was dwóch, widzenie odbędzie się w dobrze pilnowanym

gmachu, a na dokładkę wiemy, co może grozić podejrzaney.

— A jeżeli coś wyskoczy?

— Nic nie ma prawa wyskoczyć — zachnął się pułkownik. — Tylko przypilnujcie z Jodeckim, żeby Śmigiełski nie dawał Witwickiej żadnych listów, kanapek ani części garderoby...

Jasna sprawa.

— Czy ona pali?

— Niewiele, ale pali.

Jakie papierosy?

— Marlboro.

— To tak, jak ja! — Nie wiadomo dlaczego ucieszył się Kuglarz. — Jeśli adwokat zechce jej dać papierosy, to zrób dyskretną zamianę — podał Stępniewi nie napoczętą paczkę.

Dyskretną zamianę?

Oczywiście, bo gdybyś zrobił to ostentacyjnie, pan mecenas gotów się jeszcze obrazić...

Piętnaście minut później do pokoju, w którym w towarzystwie Jodeckiego i Stępniewa czekał Śmigiełski, została wprowadzona Witwicka. Noc spędzona w areszcie pozostawiła na dziewczynie wyraźne piętno. Monika była przeraźliwie blada, miała pod oczami wielkie sińce i wyglądała o dobrych kilka lat starzej.

— Jestem twoim obrońcą, dziecinko — zaczął łagodnie adwokat. — Ojciec Jurka prosił mnie o to...

O Boże — Spojrzała z niedowierzaniem na Śmigiełskiego. — Po tym, co zrobiłam?

— Odwagi, moja mała. Jakoś postaram ci się pomóc!

— Ale przecież dla mnie już nie ma ratunku! — szepnęła łamiącym się głosem. — Przecież mnie skazają...

— Nie wolno tracić nadziei! — żywo zaprotestował adwokat. Trzeba próbować zasłużyć na jak najłagodniejszy wyrok!

W jaki sposób?

— Przede wszystkim musisz jeszcze podczas śledztwa powiedzieć całą prawdę. Przemyśl sobie dokładnie to, co zrobiłaś, i kiedy będziesz gotowa, sama poproś o

przesłuchanie. Nikt cię tu nie będzie popędzał, bo panom oficerom zależy na wyświeceniu prawdy, a nie na takich czy innych wyjaśnieniach z twojej strony

Ja i tak powiedziałam już prawdę

— To bardzo dobrze, ale na pewno pozostały do wyjaśnienia różne szczegóły...

— Rzeczywiście — przytaknęła. — Nie mówiliśmy jeszcze, jak do tego wszystkiego doszło.

Pamiętaj, że nie wolno ci niczego zmyślać ani koloryzować — powtórzył adwokat. Jeśli nie będziesz czegoś pamiętała, to poproś o czas do namysłu. Gdy poczujesz się zmęczona którymś z przesłuchań, to powiedz o tym oficerowi. Ręczę ci, że on zrozumie.

Zrobię, jak pan każe, panie mecenasie. Potrzebujesz czegoś, Moniko? — zmienił temat Śmigieński. — Może ci coś przynieść do aresztu?

— Panowie pozwolili mi wczoraj zabrać z domu trochę bielizny, ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów... Tylko do jedzenia nie mogę się przyzwyczaić...

- Na paczkę żywnościową potrzebne jest specjalne zezwolenie — skwapliwie wyjaśnił adwokat — Postaram się je uzyskać, ale to trochę potrwa.

— Nie szkodzi. Ja poczekam.

— Masz coś palić?

— Zostały mi tylko trzy papierosy. Wczoraj kioski były już zamknięte i nie zdążyłam kupić.

— A w celi nikt cię nie poczęstuje?

— Jestem sama...

— To rzeczywiście pech — zmartwił się Śmigieński. — Co tu robić?

— Może panowie pozwolicie podać panu mecenasowi choć jedną paczkę? — spojrzała prosząco na oficerów.

— Nie jest to zupełnie zgodne z przepisami — podchwycił natychmiast adwokat. — Niemniej w drodze wyjątku...

— Trzeba zapytać szefa — mruknął Jodecki. — Gdyby się wydało, dostalibyśmy za swoje!

— Nie przesadzaj! — roześmiał się Stępień. — Szefer nie jest taki straszny!

— Właśnie kupiłem marlboro. — Śmigielski wyciągnął z kieszeni nie rozpieczętowaną jeszcze paczkę. — Więc jak, pozwolicie, panowie?

Jodecki zdziwiony popatrzył na kolegę, ale widząc, że tamten sięga po papierosy, nie oponował.

— W każdym razie ja nic o tym nie wiem — oświadczył stanowczo. — Sam będziesz się tłumaczył staremu... A korzystając z pańskiej obecności, mecenasie — niespodziewanie wziął adwokata pod ramię i pociągnął w kierunku okna — miałbym małą prośbę...

— Zawsze do usług! — gorliwie zadeklarował się Śmigielski.

— Musimy dodatkowo przesłuchać profesora Sucińskiego, a przy obecnym stanie jego nerwów urzędowe wezwanie albo wizyta któregoś z nas...

— Ależ oczywiście, panie kapitanie! — adwokat nawet nie dał dokończyć oficerowi. — Na kiedy zaprosić do panów Witolda?

— Powiedzmy na środę, na dziesiątą.

— Załatwione! Sam go panom przywiozę, bo akurat mam przerwę w rozprawach...

Stępień przez dłuższą chwilę podejrzliwie obracał papierosy w rękę, jak gdyby chciał przeniknąć wzrokiem opakowanie. Widząc, że Śmigielski z Jodeckim odchodzą w stronę okna, niby przypadkiem sięgnął do kieszeni. Odwracając się tyłem do tamtych błyskawicznie zamienił paczki i moment później podawał już papierosy Witwickiej. Nawet ona nie zauważyła zamiany.

Dziewczyna została odprowadzona do aresztu, a parę minut później do wyjścia ruszył również i adwokat. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, w progu stanął pułkownik Kuglarz. Tym razem jego mina świadczyła wymownie, że jest w doskonałym humorze.

— No i co, moje orły? — rzucił wesoło. — Pan mecenas przyniósł papieroski dla podejrzanej?

— Sze! miał nosa! — przyznał Stępień z niekłamnym podziwem. — Zaraz je daję do laboratorium. — Tryumfalnie pokazał swą zdobycz. — Wyglądają wprawdzie całkiem niewinnie, ale diabli wiedzą...

— Smigielskiemu przydzieliłem troskliwego opiekuna — poinformował Kuglarz swoich podwładnych. — A na wszelki wypadek kazałem dyskretnie przykleić do zderzaka jego samochodu mikronadajnik niewielkiego zasięgu.

- Szef podejrzewa adwokata? - zdziwił się Jodecki
— Kiedy przeżyjesz tyle lat, co ja to i do siebie nie będziesz miał zaufania odparł pułkownik. Lepiej na zimne dmuchaj, niż się gorącym sparzyć...

To znaczy, że musimy teraz czekać na wyniki z laboratorium i wiadomości od naszego wywiadowcy? upewnił się Stepień.

— Nic podobnego! — żywo zaprzeczył pułkownik
— Przed chwilą miałam telefon od Pyteli Jego chłopcy znaleźli szarego opła ze znaną wam rejestracją. Zanejkę wysłałem już do Nowego Dworu, ale i wam świeże powietrze dobrze zrobi...

Tak jest!

— Aha! — przypomniał sobie Kuglarz, wychodząc z pokoju. Wam też należy się trochę wygody porozumiewawczo przymrużył oko — Pojedziecie operacyjnym mercedesem

Szef wyraźnie nabrał wiatru w żagle zauważył Stepień kiedy chwilę później zostali sami z Jodeckim. Ciekawe co z tego wyniknie? -

W obrębie Warszawy kierowca prowadzący mercedesa pedantycznie wprost przestrzegał wszystkich przepisów ruchu drogowego, ledwo jednak wyjechali z miasta, samochód ruszył do przodu jak burza. Po niespełna dwóch kwadransach byli już za Nowym Dworem, gdzie stał przy drodze szary opel ze znajomą rejestracją Przy samochodzie Stefański i Zanejko toczyli właśnie spór o prawo pierwszeństwa oględzin, a kilka kroków dalej, jak gdyby nigdy nic, przechadzał się Mazurek.

Pan nie leży w łóżku? — z odrobiną ironii zapytał Jodecki.

— Lekarz zalecił mi spacer — z niewinnym uśmiechem odparł porucznik. — A że koledzy wybierali się akurat do Nowego Dworu, więc postanowiłem dotrzymać im towarzystwa...

— Dość oryginalny sposób rekonwalescencji!

— Nie dokuczaj mi! — Stępień bez wahania wziął stronę Mazurka. — Ja też bym nie darował, gdyby ktoś wyprawił mi kolegę do szpitala! Jodecki chciał coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili z mercedesa wyskoczył kierowca.

— Pułkownik Kuglarz na linii — huknął gromko To bardzo pilne! Kapitan biegiem dopadł samochodu i chwycił słuchawkę radiotelefonu.

— Melduje się Jo...

Zostawcie ze Stępiem tego opla i schowajcie gdzieś waszego mercedesa niecierpliwie przerwał przełożony

— Zaraz będzie tamtędy przejeżdżał Smigielski. Przepuście jego forda i naszego fiata i ruszajcie za nimi! — Zrozumiałem!

Mecenas zabrał w Nowym Dworze jakiegoś pasażera. Niewykluczone, że jest to kierowca opla.

Bardzo prawdopodobne..

— I jeszcze jedno Ustniki marlboro zostały zatrute cyjankiem potasu. Wystarczyło, żeby Witwicka sięgnęła po pierwszego papierosa z tej paczki i jej proces już nigdy by się nie odbył!

Mercedes sprawnie skręcił w odchodzącą od szosy wyboistą drogę i zatrzymał się za jakąś na poły rozwaloną szopą. Niespełna dwie minuty później oficerowie spostrzegli pędzącego w kierunku Gdańska forda. Mercedes ruszał właśnie w ślad za nim, kiedy trzasnęły tylne drzwiczki i do środka wskoczył Mazurek.

— Chyba nie macie, moi złoci, nic przeciwko jednemu pasażerowi? — zapytał przymilnie. — Tajemnicy służbowej dochowam, a w razie czego

możecie mnie potraktować jak zwykłego autostopowicza. .

Przez całą drogę trzymali się w przyzwoitej odległości za fordem mecenasa Śmigielskiego. Adwokat jechał bardzo szybko i wkrótce trzymający się tuż za nim fiat musiał skapitulować, ale sygnały nadawane co dwadzieścia sekund przez mikronadajnik wiodły załogę mercedesa jak po sznurku.

Szarzało już, kiedy dojeżdżali do Gdańska. Śmigielski minął centrum i skręcił w stronę Gdyni. Zaraz za Sopotem ponownie skręcił, tym jednak razem w kierunku morza, i po kilku minutach zatrzymał się na wąskiej, ślepo zakończonej uliczce. Przy jej końcu, w zapuszczonym ogródku, stał niewielki, parterowy domek. Właśnie do niego skierował się adwokat wraz z towarzyszącym mu mężczyzną.

Oficerowie byli zbyt podekscytowani perspektywą rychłego finału prowadzonej przez nich sprawy, żeby czekać na posiłki, zostawili więc w mercedesie kierowcę i chyłkiem ruszyli pod domek. Jodecki zatrzymał się przy nie domkniętych drzwiach, a Stępień z Mazurkiem przemknęli na tyły budynku. Jedno z okien było oświetlone. Oficerowie wspięli się na palce, by zajrzeć do środka. Na dworze panowała kompletna cisza, a lufcik w oknie był uchylony, mogli więc przy okazji posłuchać toczącej się wewnątrz rozmowy.

— Jestem zmuszony przekazać panu wyrazy niezadowolenia naszej centrali, herr Śmigielski! — wysoki, szczupły blondyn cedził słowa z wyraźnie niemieckim akcentem, spoglądając niechętnie na adwokata — Doprowadził pan do tego, że polskie władze zaczęły panu deptać po piętach, zmusił mnie pan do wcześniejszego przyjazdu, a co najgorsze nie wykonał pan zadania!

— Robiłem, co było w mojej mocy, panie Hozelbain — bąknął niepewnie Śmigielski — Część planów wynalazku profesora Suciewskiego już przekazałem, trzy mikrofilmy mam przy sobie...

Nie wiem, co pan dzisiaj przywiózł, ale to, co otrzymałem od pana poprzednio, nie przedstawiało

żadnej wartości! — zachnął się Niemiec. — Nasi specjaliści niewiele skorzystali z tych wstępnych wyliczeń!

Nie moja wina, że syn profesora okazał się takim kiepskim współpracownikiem

— Delikatnie powiedziane, herr Śmigielski! Tego główniarza trzeba było znacznie wcześniej zlikwidować. Cóż. kiedy nawet taką prostą robotę musieliście sknocić. Można by -pomyśleć, że nie umie pan zorganizować dyskretnego usunięcia niewygodnego człowieka

— Zaplanowaliśmy wszystko bardzo dokładnie, ale w ostatniej chwili zaistniała groźba, że młody Suciewski nas zadenuncjuje ..

Plan też nie należał do najlepszych. Myślał pan. że polskie władze dadzą się nabrać na ten kawał z przystankiem autobusowym?

- Gdyby Witwicka i Zabawiec przeprowadzili akcję tak, jak im kazałem.

—Należy zacząć od tego, że otrzymał pan fundusze na dobranie sobie odpowiednich ludzi — Hozelbain przerwał niecierpliwie adwokatowi. — Tymczasem pracowali dla pana tylko jacyś niezbyt rożgarnięci główniarze, drobni kryminaliści i dziwka z ptasim mózdzkiem!

W Polsce nie każdego można kupić westchnął Śmigielski. — Dlatego też przyznaję, że większość zwербowanych przeze mnie ludzi to element bardzo nieciekawych.

— Mam nadzieję, że nie wiedzieli oni zbyt wiele?

— Otrzymali jedynie niezbędne informacje, a z Witwicką, Zabawcem i młodym Suciewskim kontaktowałem się wyłącznie za pośrednictwem Rosieckicgo. Jak pan wie, wszyscy zostali zlikwidowani

— Słyszałem, że były kłopoty z dziewczyną?

—Pan Molemba popełnił błąd. — Adwokat wskazał na siedzącego pod ścianą kioskarza. — Byłem więc zmuszony załatwić tę sprawę osobiście. Ofiarowałem Witwickiej papierosy specjalnie przygotowane na podobne okazje..

No tak! — Niemiec popatrzył z wyraźną dezaprobatą na Molemę. — Przez bite trzy miesiące szkoliliśmy pana w Monachium, a kiedy przyszło co do czego, nie potrafił pan uczyć głupiej dziewczyny?

- Zabawca i Rosieckiego załatwiłem jednak bezbłędnie — wychrypiał kioskarz. — Robiłem wszystko, co kazał mi pan mecenas, ale każdemu może się przecież zdarzyć, że spudłuje... Zresztą ona była wtedy w towarzystwie faceta z bezpieki...

Co za dureń! — sapnął ze złością Hozelbain. — Komu my płacimy? Przecież ty się nie nadajesz do takiej roboty!

— Zawsze się starałem...

— Milczeć! — ryknął groźnie Niemiec. — Masz jeszcze broń, w którą cię wyposażyliśmy?

— Oczywiście...

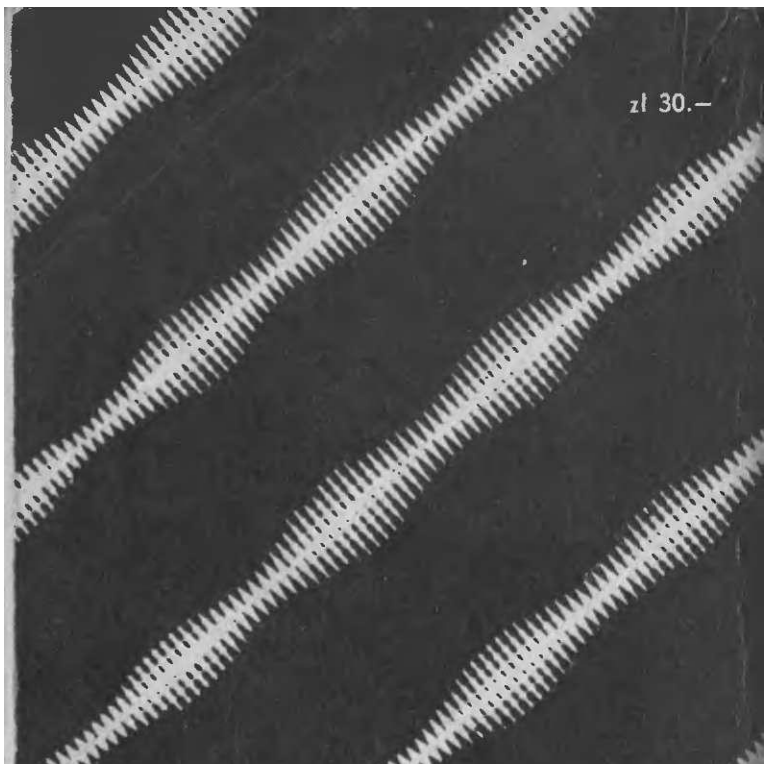
— Dawaj!

Molemba skwapliwie sięgnął do kieszeni marynarki i podał Hozelbainowi niewielkiego mausera. Niemiec sprawdził, czy pistolet jest nabyty, i uśmiechnął się złośliwie.

Przykro mi, ale na kutrze są tylko dwa miejsca, nie możemy więc wszyscy zabrać się do Republiki Federalnej! — Zdecydowanym ruchem skierował lufę mausera w klatkę piersiową kioskarza. — Przy okazji udzielię ci ostatniej lekcji, jak posługiwać się tą zabawką!

Brzęknęła szyba i w pomieszczeniu głucho zadudnił strzał. Molemba wrzasnął przeraźliwie, ale prawie natychmiast uświadomił sobie, że to nie *on* został ranny. Wypuszczony przez Hozelbainą pistolet stuknął cicho o podłogę, a przez okno wskoczyli do pokoju Stępień i Mazurek. Prawie w tej samej chwili za drzwiami zadudniły kroki Jodeckiego.

Printed in Poland.
Wydawnictwo Ministerstwa Obrony
Narodowej Warszawa 1981 r. Wydanie
I-IV
Nakład 120 000 + 333 egz. Objętość
9,65 ark. wyd. 8 u. »rk. druk a pier
druk = at. / 1 | Jel, s g. Folia G3 c. Z <ład 6v.
~ piermicyc s i mu ci ołazacn.
Idde&uO do składania V. pażc ierpu ku
111110 Druk ukonczono i. maju 1981 r.
Wojskowe Zakłady Graficzne w W;
rszawie. Zam 21116
Cena zi ao, —



ISBN 83-11-06612 

— Przystanek
— Przystanek